

Kronika
pechowych
wypadków

Coś tu nie gra

Joanna
Szarańska



Joanna Szarańska

Coś
tu nie
gra

Copyright © Joanna Szarańska, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka

Redakcja: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl

Korekta: Kamila Markowska / panbook.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Design Partners (www.designpartners.pl)

Fotografie na okładce: © santypan / Depositphotos, © filadendron / iStock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

• ROZDZIAŁ PIERWSZY •

Drogę w wąwozie pokrył puszysty śnieg. Miejscami zaspy były tak wysokie, że przejście umożliwiał tylko wąski, wydeptany chodnik, a o obecności młodej kobiety świadczył wyłącznie czerwony pompon od czapki, poruszający się rytmicznie nad zwałami śniegu. Lekki podmuch lodowatego wiatru unosił iskrzące drobinki śniegu i ciskał nimi idącej prosto w twarz, zmuszając do zaciśnięcia powiek.

Zojka Tuszyńska zatrzymała się w połowie pagórka i przetarła twarz dłonią obleczoną w grubą rękawiczkę. Z namysłem spojrzała na wydeptaną ścieżkę biegnącą w kierunku Lipówki, a potem na trzymaną w rękę reklamówkę.

Odkąd szefowa scedowała na nią sprawy związane z pozyskiwaniem reklamodawców, nosiła do redakcji ubranie na zmianę. Przyjmowanie ważnych kontrahentów w wytartych jeansach i sweterku wydzierganym na drutach przez babunię Łyczakową wydawało się jej zupełnie nie na miejscu, ale paradowanie w cienkich rajstopach i eleganckiej garsonce, kiedy termometr wskazuje minus piętnaście, było czystą głupotą.

Raz spróbowała.

Babunia przyglądała się jej sceptycznie.

– Przemrozisz dupsko w tym prezesowskim wdzianku! –

zawyrokowała, widząc kusy płaszczyk i skórkowe kozaki Zojki, spomiędzy których wystawał co najmniej trzydziestocentymetrowy fragment cielistych rajtek.

– Nie przemrozę!

– Mówię ci, ubierz ciepłe rajtuzy!

– A co to ja mam pięć lat i do przedszkola chodzę?! – Zojka wstrząsnął dreszcz na samą myśl o proponowanym elemencie garderoby.

– Nie chodzi się teraz w cienkich rajtkach! Śniegu nasypało po pas...

– Burkowi!

– Ale po pas! – Babunia upierała się przy swoim. – Ubieraj ciepłe rajtki!

W odpowiedzi Zojka tylko prychnęła i mocniej naciągnęła na głowę kaptur płaszczyka. Staruszka mruknęła pod nosem:

– Ciekawe, po kim to takie uparte...

Naturalnie babunia miała rację. Późnym popołudniem Zojka wróciła do domu z sinymi uszami, czerwonym nosem oraz skostniałymi dłońmi i stopami. Starszą panią interesowały jednak wyłącznie tylne partie jej ciała i zakrzyknęła triumfująco.

– A widzisz, przemroziłaś dupsko!

– Tera ino patrzeć zapalenia płuc! – dodała siedząca przy piecu Guzikowa.

Zojka miała na końcu języka, że od, hmmm, pupy do płuc daleka droga, ale gdy tylko otworzyła usta, kichnęła potężnie. Babunia natychmiast zagoniła ją pod pierzynę i napiła gorącą herbatą z własnoręcznie ususzonego kwiatu lipowego. Kuracja okazała się skuteczna, a Zojka od tej pory ubierała się adekwatnie do pogody, „prezesowe wdzianko” zaś nosiła w reklamówce.

Teraz popatrywała to na foliową torbę, to na wyślizgany chodnik w wąwozie, a na jej twarzy stopniowo wykwitał psotny

uśmieszek. W końcu wzruszyła ramionami, rzuciła reklamówkę na zdeptany śnieg, pupę usadziła na niej, złapała za uszy i odepchnęła się nogami, równocześnie lekko unosząc je w górę. I pomknęła z górki, objając się o śnieżne zasy i zaciskając powieki, pod które wciskały się lodowate drobinki śniegu. Jej śmiech niósł się po wąwozie i odbijał od przyprószonych białą dębów.

Zojka zatrzymała się u stóp pagórka i otworzyła załzawione oczy. Nad nią pochylała się osłupiała Guzikowa.

– Dzień dobry – powitała ją radośnie dziewczyna, gramoląc się na nogi i otrzepując ze śniegu tył płaszcza i podniesioną ze ścieżki reklamówkę. Przy okazji zauważyła, że trochę zmrożonych grudek dostało się do środka i przywarło do eleganckiej sukienki.

– Dobry. – Sąsiadka wpatrywała się w Zojkę podejrzliwie. – Poślizgłaś się?

– Nie. – Tuszyńska potrząsnęła głową przecząco, otrzepując szafirową sukienkę ze śniegu i na powrót umieszczając ją w reklamówce.

– To co? – Stara Leośka osłupiała.

– Zjechałam sobie. – Zojka uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Na...?

– Na worku. Cudowny śnieg. Żal nie skorzystać. Niech pani kiedyś spróbuje, polecam!

– Ja? – Sąsiadka wybałuszyła oczy.

– No. – Uśmiechnięta dziewczyna wzruszyła ramionami. Nagle z niepokojem zerknęła w kierunku pobliskiego przystanku kolejowego. – Oho, słyszę mój pociąg, lepiej się pospieszę! Miłego dnia!

Przebiegła tory kolejowe i pobiegła w kierunku nieczynnej kasy biletowej. Guzikowa powoli obróciła się na pięcie i odprowadziła ją wzrokiem. Wyraz konsternacji nie zniknął z jej twarzy, ale w końcu machnęła ręką i wróciła do przerwanej wędrówki do domku na wzgórzu. Zanim dotarła do połowy pagórka,

porządnie się zasapała, więc przystanąła na chwilę, opierając spracowane dłonie o kolana i oddychając głęboko. Jej oczy zawiesiły się na niewyraźnej koleinie, którą na ścieżce wyźłobiła reklamówka Zojki.

– Też mi coś... – parsknęła, myśląc o propozycji dziewczyny i wyprostowała się dumnie. – Przecie przemrozi nerki i gonić będzie jak kot z pęcherzem...

W tej samej chwili podmuch wiatru poruszył dębowym konarem. Czapa śniegu zachwiała się, jakby nie mogąc zdecydować, czy ma ochotę zetknąć się z udeptaną ścieżką, czy woli zostać na górze i po chwili pacnęła w dół, ładując wprost na głowie oszołomionej Guzikowej. Stara Leośka wstrząsnęła się ze złością i bez dalszej zwłoki pomaszerowała dalej.

Tymczasem w pociągu TLK „Bolek i Lolek” relacji Kraków Płaszów – Bielsko-Biała Główna zmachana Zojka Tuszyńska zademonstrowała konduktorowi bilet miesięczny i opadła na najbliższe siedzisko. W wagonie panował potworny zaduch, grzejniki umiejscowione pod siedzeniami pluły gorącym powietrzem, a okna były szczelnie zamknięte. Dziewczyna poczuła, że się dusi, i niecierpliwie szarpnęła za guzik pod szyją, potem kolejny i kolejny... Choć do przejechania miała tylko jeden przystanek, rozpięła płaszcz i zadowolona rozparła się na siedzeniu. Zerknęła w okno, potem w drugie, a kiedy przekonała się już, że po obydwu stronach torów kolejowych napadało równie dużo śniegu, zlustrowała wagon i nielicznych współpasażerów. Jej spojrzenie natychmiast spotkało się ze spojrzeniem siedzącego po drugiej stronie przejścia Marcina Kordeckiego.

– Niech to szlag! – wyrwało jej się.

– Dzień dobry – odparł grzecznie redaktor.

– Dzień dobry – mruknęła.

– Co poniektórzy zasady dobrego wychowania mają za nic, ale na szczęście można im o nich przypomnieć. – Kordecki zaśmiał

się sucho. Zojka zacisnęła dłonie w pięści i zazgrzytała zębami. Dobrze wiedziała, do czego pije mężczyzna. Po dramatycznej akcji w domu na osiedlu Kopernika i zatrzymaniu szajki zajmującej się uwodzeniem i okradaniem starszych osób pomiędzy nią a redaktorem „Kroniki Wadowickiej” zapanowały poprawne stosunki. Nie przyjacielskie, co to to nie! Nigdy nie przyszłoby jej na myśl, by je takimi określić, ale robiła, co mogła, by utrzymać dobre relacje. Jak wtedy, gdy spotkała Kordeckiego i Arletę w Pestce, podeszła do stolika, przy którym właśnie jedli obiad z jakimś waśniakiem, i uświadomiła redaktora, że do czubka nosa przykleił mu się strzępek sałaty. Co prawda nie uczyniła tego dyskretnie, ale przecież każdy chciałby wiedzieć, że uprawia na nosie warzywniak, prawda?

Kordecki najwyraźniej nie. Okropnie się zdenerwował i tego samego wieczoru zadzwonił do niej z dziką awanturą, jakoby próbowała bojkotować jego gazetę. Na samo wspomnienie tych krzyków Zojka cmoknęła i pokręciła głową. Na szczęście w tym secie piłeczka była po jej stronie. I zamierzała odbić ją naprawdę mocno.

– Co tu robisz? Dlaczego jedziesz do pracy pociągiem? – zagruchała słodko, z góry przewidując reakcję i odpowiedź Kordeckiego.

Twarz i szyję redaktora oblała purpura. Posłał dziewczynie niechętnie spojrzenie i wymamrotał coś niewyraźnie. Zojka nie zamierzała odpuścić, zbyt dobrze się bawiła! Teatralnym gestem nachyliła się w kierunku mężczyzny i przyłożyła do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń, a następnie powtórzyła pytanie.

– Samochód nie odpalił – przyznał z niechęcią Kordecki, odwracając się w stronę okna.

– Ach! – Zojka zmartwiła się nieszczerze. – Podobno psy upodabniają się do swoich właścicieli, może z autami jest podobnie?

– Co masz na myśli?

– Chyba rozumiesz, że w pewnym wieku niektóre układy zawodzą. No, ale nie rób takiej miny! To chyba żaden powód do

wstydu...

– W nocy było minus siedemnaście! – zbulwersował się redaktor.

– No, a jutro może być minus osiemnaście albo minus dwadzieścia dwa. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nagle się zaniepokoiła. – To znaczy, że będę musiała cię znosić w pociągu do końca tygodnia?

– Co najmniej – parsknął gniewnie Kordecki. Właśnie minęli most na Skawie i mężczyzna podniósł się z siedziska. Zojka poszła za jego przykładem. Razem ruszyli w kierunku wyjścia. – Ale muszę cię zmartwić: widywałaś mnie tak czy siak. Poproszono mnie o przygotowanie reportażu z przedstawienia w Lipówce.

– Przedstawienia w Lipówce? – jak echo powtórzyła Zojka, marszcząc brwi. – Jakiego przedstawienia w Lipówce, do cholery?

Kordecki spojrzał na Zojkę z wyższością.

– Jak to: jakiego? Chyba słyszałaś o amatorskim teatrze zainicjowanym przez księdza proboszcza i państwa Jedynaków? – dopytywał z lekceważącym uśmieszkiem. Zojka poczerwieniała. Energicznie pokiwała głową.

– Oczywiście, że słyszałam! – zapewniła, choć nie miała pojęcia, o czym bredzi ten nawiedzony redaktorzyna. Najwyraźniej coś mu się przyśniło, wbił sobie do głowy i teraz się cieszy, że może komuś zaimponować.

– Więc jak już wspomniałem, będę przygotowywał artykuł do „Kroniki”. Nasza gazeta objęła to wydarzenie honorowym patronatem – przyznał nie bez dumy. Nagle zerknął na Zojkę figlarnie. – Ale dziwię się, że ciebie nie zaproszono do współpracy. Masz więcej wspólnego z Lipówką niż ja!

Zojka poczerwieniała. Rozpaczliwie szukała ciętej riposty, nie mogła przecież przyznać, że nie tylko nie została zaproszona, ale nawet o planowanym przedstawieniu nie miała zielonego pojęcia. Najwyraźniej mieszkańcy Lipówki nadal traktowali ją nieufnie. Dla nich zawsze będzie tą, która we własnej torebce

znalazła uciętą dłoń, a potem musiała jeszcze zdzielić łopata przez łeb niezrównoważoną psychicznie morderczynię!

Kordecki najwyraźniej pomyślał o tym samym, bo klepnął Zojkę po ramieniu w udawanym geście pocieszenia.

– Cóż, może po prostu nie chcą komplikacji...

Tuszyńska zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

– Guzik prawda! Po prostu wiedzą, że mam inne rzeczy na głowie!

– Jakie? – zachichotał.

– Nie twoja sprawa!

W tej samej chwili pociąg wtoczył się na stację w Wadowicach. Kordecki szarmancko przepuścił Zojkę w drzwiach i zdusił cisnący się na usta uśmiezek, widząc jej wściekłą minę. Zaangażowanie w amatorski teatr Jedynaków zawdzięczał wyłącznie temu, że Piotr Jedynak od lat był jednym z głównych reklamodawców jego gazety, ale Tuszyńska nie musiała o tym wiedzieć. Kordeckiemu niechęcią przyjemność sprawiało obserwowanie wściekłej koleżanki. W jej przypadku powiedzenie „złość piękności szkodzi” nie miało racji bytu. Z zarumienionymi z gniewu policzkami i pociemniałymi oczyma wyglądała po prostu uroczo. Kordecki zaśmiał się pod nosem i zdecydował, że w drodze do redakcji dołoży jeszcze kilka szczegółów związanych z przedstawieniem i podniesie temperaturę krwi panny Tuszyńskiej.

W chwili gdy Zojka Tuszyńska dotarła do redakcji „Głosu Wadowic” i gorączkowo zaczęła przetrząsać internet w poszukiwaniu informacji na temat amatorskiego teatru zorganizowanego w Lipówce, aspirant Paweł Chochołek zasiadł za swoim biurkiem w komendzie powiatowej i nerwowo rozejrzał się naokoło. Pokój, w którym pracował, był pusty, a panującą w środku ciszę zakłócał jedynie szum przejeżdżających pod oknami samochodów. Mimo to stróż prawa poderwał się zza

biurka, dopadł drzwi, uchylił je na tyle, aby w powstałej szparze zmieściła się jego głowa, i zapuścił żurawia na korytarz. Wynik obserwacji najwyraźniej okazał się zadowolający, ponieważ rażnym krokiem wrócił na swoje miejsce, opadł na poskrzypujące krzesło i mocnym szarpnięciem otworzył szufladę biurka.

Na widok jej zawartości twarz aspiranta rozjaśnił promienny uśmiech.

Z namaszczeniem ujął w dłonie płaskie białe pudełko i umieścił je na blacie. Następnie zamknął szufladę, jeszcze raz rozejrzał się po pokoju i utkwiał wzrok w kartonowym wieczku. Bezwiednie oblizał wargi i podważył palcem zamknięcie, równocześnie zabawnie przechylając głowę w bok i usiłując zajrzeć przez powstałą, niewielką szparkę. Kiedy nie przyniosło to zadowolających efektów, jednym zdecydowanym ruchem otworzył pudełko. Z wrażenia zassał powietrze i wykrzyknął w uniesieniu:

– Och!

Aspirant Paweł Chochołek z zachwytem wpatrywał się w puchatego ptysia. Dwie warstwy złocistego, parzonego ciasta wypełniał blad różowy krem, dodatkowo posypany gdzieś tam drobnymi kolorowymi cukierkami. Ciastko wyglądało obłędnie, na sam jego widok policjant poczuł, jak w ustach gromadzi mu się ślinka. Delikatnie dotknął puszystej masy i z błogim wyrazem twarzy oblizał palec. Następnie spróbował złapać na opuszkę kilka kolorowych kuleczek. Delektując się słodkim przysmakiem, pomrukiwał zadowolony.

Poziomkowy krem. Jego ulubiony! Nie za słodki, rozplywający się w ustach, idealny! Musiał przyznać, że Klara była wyśmienitą kucharką. Dosłownie rozpieszczała go cudownymi deserami, a on, cóż, nie potrafił się im oprzeć. Od trzech miesięcy spotykał się z uroczą bibliotekarką, a przez ten czas już co najmniej cztery razy musiał dorabiać dodatkowe dziurki w pasku. Po prawdzie to jego pasek był już bardziej dziurawy niż droga między Kleczą a Lipówką, ale kiedy poszedł kupić nowy, życzliwa ekspedientka poleciła mu sklep dla puszystych.

Spłoszony aspirant stracił humor na resztę dnia, a po powrocie do domu ponownie sięgnął po śrubokręt i młotek. A także po ciasto czekoladowe na pocieszenie.

Ale kłopoty z kupnem paska były zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Prawdziwe problemy zaczęły się z chwilą, gdy w nagłym porywie zawodowych ambicji Adam Bryczka zdecydował się skontrolować zawodowe predyspozycje swoich podwładnych i zadysponował testy sprawnościowe. Niestety, Paweł Chocholek nie wypadł w nich najlepiej. Tak naprawdę wypadł w nich najgorzej. Lepsze wyniki od niego miał nawet pan Zyzio, staruszek, który w budynku komendy pełnił rolę przysłowiowej „złotej rączki” i do testów podszedł tylko dlatego, że nakłonili go do tego jacyś funkcjonariusze chcący spłatać mu psikusa. Sromotna porażka Chochółka nie pozostała bez echa. Koledzy nie szczędzili mu uszczypliwości. Powiększający się obwód pasa policjanta stał się tematem codziennych żartów, a każda drożdżówka z serem czy inna słodka przekąska była kwitowana znaczącym chrząknięciem. Wściekły Bryczka zagroził, że jeśli jeszcze raz zobaczy Chochółka mielącego gębą nad biurkiem, to mu nogi z dupy powyrywa. Biedny Chocholek nie wiedział, co ma gęba do dupy, a tym bardziej do nóg, ale pojął, że musi się pilnować. Doszło w końcu do tego, że zaczął ukrywać łakocie w szufladzie biurka, a na słodkie co nieco wychodził do toalety!

Niełatwe stało się życie amatora słodkości!

Aspirant kolejny raz nabrał na palec odrobinę różowego kremu i zlizął go szybko, rzucając niespokojne spojrzenie w kierunku drzwi. Wiedział, że jeśli zostanie przyłapany na konsumpcji ciastka, koledzy nie zostawią na nim suchej nitki, a szef dostanie ataku szału.

Na szczęście w to wtorkowe przedpołudnie na wadowickiej komendzie panowała leniwa atmosfera. Policjanci zgromadzili się przy automacie z ohydną, zalatującą plastikiem kawą, a Bryczka jeszcze nie dotarł do pracy i najpewniej pokonywał właśnie którąś ze słabo odśnieżonych dróg, pomstując na nieporadność służb drogowych, urzędu miasta i polityków. Chocholek mógł bez obaw skoncentrować się na słodkim upominku od równie słodkiej bibliotekarki.

Właśnie podnosił ciastko do ust, myśląc o apetycznych kragłościach swojej przyjaciółki, kiedy z korytarza dobiegł go odgłos charakterystycznych kroków. Tak skrzypiały zimowe buty Adama Bryczki! Chochołek zamarł z ptysiem uniesionym do ust i wybałuszonymi oczyma obserwował, jak klamka ustępuje pod zdecydowanym naciskiem silnej ręki. Szarpnięciem usiłował otworzyć szufladę, ale złośliwa bestia właśnie dzisiaj, teraz, w tej chwili, musiała się zaciąć! Spanikowany Chochołek rozejrzał się wokoło, ale nie znalazł pomysłu, gdzie mógłby ukryć zakazany przysmak, zrobił więc jedyną rzecz, jaka mu pozostała.

Gdy Adam Bryczka wtoczył się do pokoju i spojrzał na swego podwładnego, ten w najlepsze pochylał się nad klawiaturą i z mozołem wystukiwał jakiś raport. Przybyły uniósł brwi, mruknął, pokiwał głową nad sumiennością pracownika, którego tak bardzo pochłoneły obowiązki, że nawet nie zauważył nadejścia przełożonego, po czym wzruszył ramionami i wyszedł.

Paweł Chochołek podniósł głowę znad klawiatury, przetarł spocone czoło pod żółtawą grzywką i razem z krzesłem odsunął się od biurka. Potem rozsunał nogi i z rozpaczą spojrzał na to, co zostało ze smakowitego deseru.

Internet to prawdziwa kopalnia informacji, pomyślała zadowolona Zojka.

Popijając słodką kawę z mlekiem i chrupiąc kruche ciasteczka z marmoladą, dziewczyna wędrowała po kolejnych stronach internetowych i portalach społecznościowych. Po półgodzinie serfowania wiedziała już, że Helenka, z którą mieszkała w akademiku na pierwszym roku studiów licencjackich, właśnie urodziła trojaczki, a u Pawła, dalekiego kuzyna ze strony ojca, można zarobić trzy tysiące tygodniowo bez wychodzenia z domu. Do tego najmodniejsze tej zimy były pazurki ombre, ewentualnie takie ze wzorkiem sweterkowym, a pod budynkiem urzędu miasta znaleziono bezpańskiego kundelka i poszukiwano dla niego odpowiedzialnego domu. Internet

donosił także, że pierwsza rata podatku będzie przyjmowana do piętnastego marca, z kolei koło gospodyń wiejskich zapraszało na wieczór dziergania koronek. Na koniec Zojka przypadkiem natknęła się na zapowiedź wieczoru panińskiego Zosi, na który kuzynka najwyraźniej zapomniała ją zaprosić.

Żadna ze znalezionych informacji, nawet ta ostatnia, nie wzbudziła jednak w Zojce tak gorących emocji, jak wiadomość o sztuce teatralnej, o której wspominał Kordecki. Z wypiekami na twarzy chłonęła szczegóły zawarte w suchej, lakonicznej notce na stronie internetowej parafii w Lipówce.

Przedstawienie było wspólną inicjatywą proboszcza, księdza Seweryna, oraz lokalnego przedsiębiorcy, Piotra Jedynaka. Tego ostatniego Zojka kojarzyła bardzo mgliście. Wiedziała, że prowadzi jakiś dochodowy biznes i że jest mężem niespełnionej gwiazdy sceny teatralnej. Mężczyzna często udzielał się charytatywnie i był uznawany za miejscowego filantropa. Z krótkiego tekstu Zojka dowiedziała się, że także tym razem zamierzał wspomóc akcję budowy domu dla samotnej matki, przy okazji realizując reżyserskie ambicje małżonki oraz własne pasje.

Podeksycytowana Zojka wydrukowała artykuł, zaznaczyła neonowo zielonym zakreślaczem miejsca, w którym znajdowały się najważniejsze informacje, po czym złożyła kartkę i wsunęła ją do listonoszki. Zdawała sobie sprawę z tego, że Kordecki chciał jej dogryźć i specjalnie wspominał, że jego gazeta podjęła się patronatu medialnego nad wydarzeniem. Już ona mu pokaże, na czym polega patronat medialny!

Podeksycytowanie nie opuszczało Zojki przez cały dzień. Kiedy późnym popołudniem dotarła do domku na wzgórzu, już od drzwi wykrzyknęła:

– Babuniu, zgadnij, co się stało!

Siedząca za stołem staruszka utkwiała w niej spojrzenie. Jej oczy podejrzenie błyszczały.

– Halina wieszala firanki, spadła z drabiny i wybiła wszystkie zęby? – zapytała z nadzieją, składając sękaty dłonie jak do modlitwy.

Zojka spojrzała na starszą panią z nagana.

– Nie! Oszalałaś?

– No to czego mi cztery litery zawracasz? – Babunia wzruszyła ramionami i sięgnęła po szklanke w koszyczku. Siorbiąc głośno herbatę, mamrotała pod nosem. – Rozrywki staremu człowiekowi żałują. Ani siekierką rzucić, ani awantury nie ma komu zrobić, bo zaraz od wariatów wyzwą i do Kobierzyna wysyłać chcą...

Rzucała przy tym Zojce znad szklanki tak rozżalone spojrzenia, że wnuczka parsknęła śmiechem. Dziewczyna przewiesiła płaszcz przez oparcie krzesła i podeszła do pieca. Od rozgrzanych kafli było przyjemne ciepło, z którego zgodnie korzystały zwierzęta. Burek rozciągnął się na podłodze, skutecznie blokując potężnym cielskiem dojście do pieca, z kolei rudy kocur wtulił się w jego kudłaty zadek, zwinięty jak rogalik. Pomrukiwał zadowolony, ale kiedy Zojka zbliżyła się do pieca, wczepił się ostrym pazurkiem w nogawkę jej spodni, jakby chcąc przypomnieć o swoim istnieniu.

Dziewczyna pogroziła mu żartobliwie palcem, po czym przepchnęła się do pieca, umościła plecy na kaflach i uśmiechnęła się z błogością. Jak dobrze! Żeby jeszcze jakaś dobra dusza kawy zrobiła i podała!

Zerknęła w kierunku staruszki. Tymczasem babunia stwierdziła, że dosyć tych ceregieli. Obróciła się wraz z krzesłem w kierunku Zojki i skrzyżowała ramiona na piersi.

– No co? Powiesz wreszcie czy petycję trzeba do ciebie pisać jak do gminy?

– Powiem, powiem – odparła Zojka, którą chwila przy piecu skutecznie wybiła z myśli o przedstawieniu i Kordeckim. Teraz zaczerpnęła mocno tchu, jakby szykowała się do długiej przemowy i oznajmiła: – W Lipówce będzie teatr!

– Teatr? – Babunia się zaśmiała. – Teatr to my tu mamy na

okrągło. Wystarczy tylko, że stary Michniak popije swojskiego wina z porzeczek.

– Babciu! – Zojka pokręciła głową z wyrzutem. Starsza pani tylko zachichotała.

– No co: babciu! Mówię, jak jest! Ostatnio latał po peronie w halce i wykrzykiwał, że jest Marią Antoniną.

– Skąd u niego takie zamiłowanie do historii! – Młoda kobieta osłupiała. Starsza parsknęła śmiechem.

– Zamiłowanie to on ma do dymiona w piwnicy!

– No, ale jednak...

Babunia wzruszyła ramionami.

– Jego żona jest Maryśka, a na drugie jej Antonina!

Wizja Michniaka odzianego w zwiewne koronki i biegającego po peronie stacji kolejowej w Lipówce rozbawiła Zojkę do łez. Ciekawe, czy amator porzeczkowego wina założył też damskie pantofle. Może na obcasie?

– Skoro tak lubi przebieranki, powinien zgłosić się do prawdziwego teatru. – Wydyszała z trudem pomiędzy jednym a drugim atakiem śmiechu. – Tego organizowanego przez księdza proboszcza do spółki z Jedynakami.

Babunia przekrzywiła głowę i spojrzała na wnuczkę z namysłem.

– Teatr będzie, mówisz?

– Tak! Cały dochód z przedstawień zostanie przeznaczony na budowę domu samotnej matki! – opowiadała zaaferowana Zojka. Starsza pani skinęła głową z uznaniem.

– I bardzo dobrze! Bo od tych hien, cyganów jednych pier...

– Babuniu! – szybko zainterweniowała Zojka.

– No co? No co: babuniu? To już we własnym domu własnego zdania mieć nie można? Tyle się mówi o wolności prasy, a nawet o wolności sądów, a o wolności słowa biednych staruszek to się już nikt nie wypowie. Hipokryzja!

– Nie jesteś biedną staruszką!

– Ale mogłabym być. Gdyby mi Bozia poskapiła krzepy w ramieniu i zwinnych nadgarstków, byłabym całkiem bezbronna. Jak te owieczki zdane na łaskę urzędników, krwio pijców, hien piep... No już dobra, dobra, bo widzę, że apopleksji dostaniesz, a śniegi po pas przecież i ambulans nie dojedzie. Ale i tak jestem zdania, że sępy żałują biednym dzieciom, biednym kalekom, biednym zwierzętom i biednym nam, a tylko patrzą, żeby własne brzuchy napaść i przed wyborami naobiecować. Mają duże gęby i małe serca, o!

– Babciu, nie chciałabyś ty czasem zastąpić Maliszewskiego na stanowisku? – podejrzliwie zapytała Zojka.

– A w życiu! Gadaj lepiej, co z tym teatrem! Skąd o tym wiesz?

– Od Kor... – Młoda dziennikarka w ostatniej chwili ugryzła się w język. – Korzystam z internetu, to wiem! Zła tylko jestem, że tak późno! Siatka wywiadowcza Lipówki ostatnio coś zawodzi! – Zaśmiała się, nawiązując do pierwszej plotkary we wsi, czyli Leokadii Guzik.

Babunia Łyczakowa prychnęła lekceważąco, ale zdecydowała się bronić przyjaciółki. Posłała Zojce znaczące spojrzenie.

– Gdybyś chodziła do kościoła, to byś o pomysłe księdza wiedziała.

– Ty chodzisz za nas dwie, a nie wiedziałaś – zripostowała dziewczyna. Nagle zmrużyła podejrzliwie oczy. – Swoją drogą, jak na taką niesforną staruszkę często przed ołtarz latasz!

– Kto niesforny? Ja? – oburzyła się babunia Łyczakowa.

– Już nie bądź taka skromna! – Wnuczka się zaśmiała. – Swoje za uszami masz, ja się dziwię, że ksiądz Seweryn ci rozgrzeszenie daje!

– A kto powiedział, że daje?

Staruszka obróciła się do Zojki plecami i chlipnęła herbaty. Kiedy ponownie spojrzała na dziewczynę, daremnie próbowała ukryć zadowoloną minę. Tuszyńska zaśmiała się w duchu. Dobrze wiedziała, że babunia lubi, gdy podkreśla się jej

zadziorny charakterek!

– Wracając do teatru, zamierzam się zaangażować – oświadczyła starszej pani. Babunia pokiwała głową.

– Bardzo dobry pomysł! Ciekawe, jaką rolę ci wcisną?

– Nie chcę grać, chcę napisać artykuł! Może nawet cały cykl artykułów poświęconych przygotowaniom, aktorom, spektaklom, no i oczywiście charytatywnej akcji związanej z budową domu samotnej matki – wymieniała poruszona. – Nie może być tak, że ktoś ma monopol na temat.

– Monopol to będzie, jak się Michniak faktycznie o teatrze zwącha. A ty też powinnaś zagrać. – Starsza pani się upierała. – Zosia na pewno się zgłosi, więc miałybyście okazję, żeby się w końcu pogodzić.

– Zośka? Do teatru? – Zojka się zdziwiła.

– A co, zapomniałaś już, że wielką gwiazdą być miała? Że o karierze marzyła i ją Halina na kółko teatralne i balet wozila?

Zojka odruchowo pokiwała głową. Rzeczywiście, kuzynka od dziecka marzyła, aby zostać aktorką, i uwielbiała się przebierać w suknie i czółenka na obcasie wygrzebane z szafy matki. Tak wystrojona zmuszała Zojkę, by ta odgrywała z nią sceny z popularnych seriali. Zojka, która jak na prawdziwą chłopczycę przystało, wołała razem z Jankiem ganiać za piłką, wspinać się po drzewach i budować tamy z kamieni na Kleczance, niechętnie ustępowała i przeobrażała się we wskazane przez kuzynkę postaci. Zabawa w aktorki skończyła się jednak w dniu, kiedy przyszłe gwiazdy polskiej telewizji pobiły się o to, która ma być Marcysią, a która Marylką ze *Złotopolskich*. Awantura zakończyła się rozciętą wargą, zadrapanym policzkiem, stłuczonym wazonem z kryształu i urażoną dumą po obu stronach. Nigdy później panny Tuszyńskie nie stanęły razem na „scenie”. Czy to mogło się zmienić?

Zojką aż wstrząsnął dreszcz na samą myśl. Odruchowo dotknęła górnej wargi, nad którą nadal wyczuwała delikatną wypukłość.

– Nieee. – Potrząsnęła głową. – Będę się trzymać ustalonego

planu.

• ROZDZIAŁ DRUGI •

Wieczór panieński Zosi zaprzątał Zojkę bardziej, niżby chciała. Myśl, że kuzynka nie zaprosiła jej na tak ważną imprezę, była przykra. Pewnego styczniowego ranka dziewczyna stanęła przed oszklonym kredensem w pokoju babuni Łyczakowej i zamyślona spojrzała na oparte o filizankę eleganckie zaproszenie ślubne. Zastanawiała się, czy kiedy przyszli państwo Maliszewscy wręczali jej ten gustowny kawałek kartonu w kolorze écru, rzeczywiście pragnęli jej obecności. A może po cichu liczyli na to, że machnie ręką, zaśmieje się i powie: „Och, przykro mi, ale w ten weekend akurat nie mogę! Mam do zrobienia coś ważnego! Muszę przetrzeć półkę w lodówce, bo zrobiła się paskudna plama z musztardy!”.

Tymczasem kwestia zaproszenia na imprezę panieńską, o której dziennikarka dowiedziała się z internetu, czy raczej jego braku, rozwiązała się sama. Przygotowująca artykuł na temat zabaw karnawałowych Zojka udała się do największego w mieście sklepu z dekoracjami i natknęła się tam na Zosię i jej najlepszą przyjaciółkę, Weronikę. Dziewczęta trzymały w rękach balony w kształcie męskich członków i próbowały uzyskać kompromis w kwestii optymalnej kolorystyki.

Spłoszona Zojka chciała czmychnąć niezauważona między regały, ale zahaczyła piętą o pudło z bristolami. Kolorowe rulony potoczyły się po posadzce wprost pod nogi pochłoniętych

wybieraniem dekoracji młodych kobiet. Na widok Zojki Weronika rozplynęła się w uśmiechu, a Zosia pokryła buraczkowym rumieńcem.

– Zojka! – pisnęła przyjaciółka Zosi. – Dobrze, że jesteś! Już myślałam, że nikt nam nie pomoże z tymi cholernymi dekoracjami! Jak myślisz – wyciągnęła w kierunku dziennikarki dwa podłużne kształty – który kolor jest bardziej twarzowy?

Tuszyńska obrzuciła spojrzeniem najpierw paśową twarz kuzynki, a następnie dwa balony w kształcie męskich atrybutów. Jeden był różowy, a drugi cielisty i ozdobiony złotym brokatem. Pokręciła głową.

– Żeby stwierdzić, który jest twarzowy, musisz przyłożyć je do twarzy – zauważyła.

– Tak myślisz? – Weronika zrobiła zafrasowaną minę. Zaraz jednak wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A co mi tam”, i dotknęła balonami policzków, oczekując na werdykt.

Zojka z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem. Znowu zerknęła w stronę Zosi i przekonała się, że kuzynka nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Najwyraźniej przyszła panna młoda nie chciała, by Zojka dowiedziała się o planowanej imprezie, i teraz drżała z niepokoju, że sprawa wyjdzie na jaw! Tuszyńska pomyślała mściwie, że nie ułatwi jej sprawy. Uśmiechnęła się słodko i wskazała na Zosię.

– Osobiście uwielbiam kolor malinowy! Może poszukamy czegoś w kolorze policzków Zosi? – zaproponowała.

Oczy Weroniki, a także trzech przeciskających się właśnie obok nich klientek, spoczęły na nieszczęsnej narzeczonej. Zosia zarumieniła się jeszcze mocniej i odwróciła do zebranych plecami, udając, że czegoś szuka na półce z balonami.

– Może weźmiemy te? – mamrotała, biorąc do ręki ozdoby z rysunkiem Minnie.

Weronika prychnęła lekceważąco i gwałtownie wyrwała jej baloniki z sympatyczną myszką Disneya. Podsunęła Zosi pod nos balona w kształcie męskiego członka i mocno nim potrząsnęła.

– Wybij to sobie z głowy! To ma być gorąca impreza, a nie pizamówka dla przedszkolaków! Co nie, Zojka?

– Chyba tak. – Tuszyńska parsknęła śmiechem.

Weronika pokiwała głową zadowolona i pomachała balonem w cielistym kolorze.

– Ten pasuje do tortu. Zgadzasz się? – Spojrzała na Zojkę. Tuszyńska, która nie miała pojęcia, jak wygląda rzeczony tort, potwierdziła energicznym skinieniem. Usatysfakcjonowana Weronika sięgnęła na półkę i z ustawionego tam pudełka garściami zaczęła wyciągać baloniki. Szybko je przeliczyła i uśmiechnęła się do pozostałych dziewcząt. – Po jednym na głowę. Dziewięć, dobrze pamiętam? – Zerknęła pytająco na Zosię.

– Dziesięć... – wyszeptała nieszczęśliwym tonem przyszła mężatka.

– Co mówisz? – Weronika nie zrozumiała. Nie czekając na odpowiedź purpurowej Zosi, zaczęła wyliczać na trzymany w ręku skurczonych balonikach. – Zosia, Weronika, Kasia, Marylka, Magda, Sabina, Renata, Milka, Nikola i Zojka. Nie zgadza się. – Zmarszczyła brwi.

– Bo ma być dziesięć – wykrztusiła Zosia, sięgając do pudełka z balonami, i tak szybko rzuciła przyjaciółce przykurczonym kawałkiem gumy, jakby ten parzył ją w dłonie. Weronika potrząsała głową zdezorientowana.

– Ale przecież mówiłaś, że dziewięć! Czekaj, przeliczę jeszcze raz! – Upierała się.

– Zostaw te cholerne balony...

– Ale pamiętasz, że sama mówiłaś... – zaczęła Weronika, przesuwając cieliste baloniki między palcami.

– Nie licz! – wrzasnęła Zosia. Przechadzający się między półkami klienci z zainteresowaniem odwracali ku nim głowy. Zza lady wychylił się sprzedawca i zmierzył trzy kobiety przeciągłym spojrzeniem. Roztrzęsiona Zosia ponownie odwróciła się ku półce z balonami, a oszołomiona Weronika

rozchyliła usta w kształt wielkiego „O”. Zojce zrobiło się żal kuzynki i pozornie beztroskim tonem rzuciła:

– To moja wina, bo nie potrafiłam się określić, czy przyjdę na imprezę Zosi.

– Ale przyjdiesz? – nieufnie zapytała Weronika, wążąc w dłoni dziesiątego balonika. Zosia zerknęła przez ramię. Zojka nie potrafiła odgadnąć myśli kuzynki. Jej spojrzenie wyrażało nadzieję na pojednanie czy na to, że Zojka odmówi? Nie będę jej utrudniać, pomyślała i potrząsnęła głową.

– Niestety, mam inne zobowiązania. Ale chętnie pomogę w przygotowaniach. To które balony bierzemy? Cieliste?

Redaktor Marcin Kordecki zatrzymał się przed schodami prowadzącymi do budynku plebanii w Lipówce i poprawił na ramieniu pasek czarnej, sportowej torby. W torbie trzymał futerał z ulubioną lustrzanką, nieduży dyktafon i notatnik z wetkniętym za okładkę piórem kulkowym. Pióro pamiętało czasy, gdy redaktor chodził do podstawówki, i miało porządnie zgryzioną zatyczkę. Kordecki uważał je za szczęśliwe i zabierał na wszystkie egzaminy. Nawet zdając swój ósmy, szczęśliwy egzamin na prawo jazdy, wetknął je za ucho. Może wyglądał głupio z kawałkiem plastiku groteskowo sterczącym przy prawej skroni, ale liczył się efekt, prawda?

Kordecki zadarł głowę w górę i niepewnie wstąpił na pierwszy stopień. Przy drzwiach wejściowych ustawiono nieduże, chybotliwe krzeselko. Stojący na nim mężczyzna, jedną ręką nerwowo wczepiał się w futrynę, a drugą kreślił po przyklejonej kawałkiem plastra opatrunkowego kartce, posapując przy tym jak lokomotywa. Redaktor pokonał jeszcze dwa stopnie i spojrzał spod zmarszczonych brwi na dzieło piszącego.

KASTING

€KASTINK

CASTINK

DZIŚ

GODZINA: ZA 5 MINUT

Redaktor zerknął na przegub lewej ręki i stwierdził, że dochodzi siedemnasta. Potem odchrząknął, by zwrócić uwagę na swoją obecność. Mężczyzna obejrzał się przez ramię, a krzesło pod jego stopami rozchybotano się niebezpiecznie. Kordecki przez chwilę myślał, że będzie zmuszony podbiec do chwiejącego, aby uchronić go przed bolesnym upadkiem na oblodzone schody, ale ten w ostatniej chwili odzyskał równowagę i rozciągnął usta w przyjaznym uśmiechu.

– W samom porę! – oświadczył, zeskakując ze stołka i wskazując podbródkiem zawieszoną na drzwiach kartkę.

Kordecki skinął głową i bez słowa wdrapał się po pozostałych schodach. Zajął miejsce u boku mężczyzny. Zgodnie podziwiali wydymaną lekkim podmuchem wiatru kartkę. Autor informacji podrapał się po brodzie i wykrzywił usta.

– Moja stara mówi, że to źle napisałem, ale za cholere jej racji nie przyznam.

– No. – Kordecki dyplomatycznie skinął głową.

– Mężczyzna musi mieć swoje zdanie.

– Prawda.

– Poza tym nie mogę jej powiedzieć, że za cholere nie wiem, jak to się pisze.

– To rzeczywiście problem – przyznał redaktor, łapiąc za klamkę. Uchylił drzwi, jednak w progu zawahał się i obejrzał przez ramię na markotnego mężczyznę. Nagle zaprzagnął mu pomóc. – Niech pan napisze: przesłuchanie. To prawie to samo – poradził życzliwie, po czym wszedł do środka i zamknął za

sobą drzwi.

Natychmiast otoczył go mdlący zapach gotowanej kapusty, więc wtulił nos w rękaw kurtki. Gdzieś w głębi budynku rozbrzmiewały podniecone głosy. Kordecki ruszył w ich kierunku, posuwając się powoli ciemnym korytarzykiem. Nadal przyciskał do twarzy przedramię, przez co miał ograniczoną widoczność. Po krótkiej chwili napotkał okrągłą, miękką przeszkodę, więc wyciągnął przed siebie drugą rękę i wymacał...

– O, przepraszam! – usłyszał tubalny śmiech księdza Seweryna. – Ale to moja sutanna! Panu redaktorowi taki kostium nie przystoi!

Kordecki czym prędzej opuścił ramię, którym osłaniał nozdrza przed nieładnym zapachem, i spojrzał na kapłana. Natychmiast zreflektował się, co właśnie zaszło i poczuł gwałtowne uderzenie gorąca. Miał tylko nadzieję, że złapał księdza Seweryna za wydatny brzuch, a nie za pośladki! Patrząc na lipowieckiego proboszcza, niełatwo to było stwierdzić jednomyślnie, bo jego kształty były obfite z każdej strony!

– Właśnie idę na casting – wyjaśnił czym prędzej. – Ale z księdzem też chciałbym zamienić kilka słów. Bądź co bądź to ksiądz jest tu gospodarzem.

– Nie ma sprawy. – Proboszcz zaśmiał się tubalnie. – A na casting to do tych drzwi na wprost.

– Ksiądz też idzie? – Kordecki nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Ja właśnie wracam. I idę na łazanki – Odpowiedzi towarzyszyło znaczące mlaśnięcie. Redaktor odetchnął z ulgą. Skoro ksiądz wracał z castingu, zmierzał w stronę, z której on sam nadchodził. Tylne partie ciała proboszcza były więc bezpieczne. No chyba że lubił spacerować po plebanii rakiem, ale to się redaktorowi wydawało mało prawdopodobne.

Kordecki pożegnał kapłana i bez dalszej zwłoki ruszył w kierunku wskazanych drzwi. Kiedy je uchylił, znalazł się w dość dużym pomieszczeniu wyłożonym staromodną

drewnianą boazerią. Na ławce ustawionej pod ścianą siedziało kilka młodych kobiet. Redaktor domyślił się, że to kandydatki do gry w przedstawieniu, a ponieważ kilka twarzy wydało mu się znajomych, lekko skinał głową. Poza tym w sali zgromadziło się wielu gapiów niezamierzających przepuścić takiej atrakcji jak teatr. Amatorski co prawda, ale teatr. W pewnej chwili wydało mu się, że za drewnianym filarem mignęła mu twarz Guzikowej, ale doszedł do wniosku, że wyobraźnia płata mu figla.

Kordecki wymamrotał niewyraźne powitanie i rozejrzał się po sali, poszukując miejsca, w którym mógłby złożyć swoje rzeczy. Dostrzegłszy puste krzesło w rogu, szybko podszedł do niego i troskliwie ułożył na siedzisku torbę, a następnie wydobył z niej futerał z aparatem. Udając, że pochłania go ustawianie sprzętu, dyskretnie obserwował zebranych. Nie zamierzał się afiszować, bo dobrze wiedział, że najlepsze zdjęcia robi z zaskoczenia. Choć z tym może być ciężko, westchnął, obrzucając szybkim spojrzeniem ławkę pod ścianą i siedzące na niej niewiasty, które jak na komendę wyprostowały plecy, wypięły piersi i zredukowały tkankę tłuszczową przy pomocy mocnego wdechu.

Dziennikarz uniósł aparat i pstryknął im dwa zdjęcia. Zadowolone natychmiast wypuściły nagromadzone w płucach powietrze, a on skierował obiektyw w kierunku stojącej pod przeciwległą ścianą sceny i skupił uwagę na rozpoczynającym się właśnie przesłuchaniu.

Szybko przekonał się, że szykuje się przednia zabawa. Na prowizoryczny podest przykryty bordowym, nieco wytartym dywanem wkroczyła energiczna blondynka w liliowym płaszczku i wysokich kozakach. W pierwszym momencie Kordecki pomyślał, że to jedna z aktorek uczestniczących w castingu, ale po chwili rozpoznał w niej żonę Piotra Jedynaka, Karolinę. Blondynka zaklaskała w dłonie, by przyciągnąć uwagę zebranych.

– Proszę o ciszę! – wykrzyknęła. – Rozpoczynamy casting!
Najpierw obsadzimy rolę Balladyny!

– Calineczki. – Dobiegło gdzieś zza sceny. Blondynka spurpurowiała.

– Balladyny! – warknęła. – Przecież wiem, co mówię!

– Wystawiamy *Calineczkę*!

– Miała być *Balladyna*! – wykrzyknęła kobieta na scenie, tupiąc nogą. Nagle zreflektowała się i zwróciwszy w kierunku zebranych uśmiechnięte oblicze, wycedziła: – Przepraszam państwa najmocniej, mamy kłopoty natury technicznej.

Tym sposobem rozpętała się pierwsza burza. Zamiast zaplanowanej przez Karolinę Jedynak *Balladyny* postanowiono wystawić adaptację jednej z popularnych baśni Andersena. Oficjalną przyczyną zmiany repertuaru były problemy ze zdobyciem odpowiednich dekoracji, ale Kordecki uważał, że to grubymi nićmi szyte. Co to szkodziło ściąć trochę malinowych badyli i kupić kilo mrożonych owoców w pobliskim dyskoncie?

Piotr Jedynak odciągnął żonę na bok i półgłosem przekonywał ją do swoich racji. Negocjator był z niego pierwsza klasa, o czym Kordecki przekonał się już niejednokrotnie. Partnerzy biznesowi nierzadko lekceważyli Jedynaka, mając go za wiejskiego chłopka-roztropka. Redaktor jednak dobrze wiedział, że pod wysokim czołem okalanym przerzedzonymi ciemnymi włosami kryje się tęgi umysł. Jedynak mógł zakładać do sandałów grube frotowe skarpety i słuchać w samochodzie na cały regulator *Ruda tańczy jak szalona*, ale w kwestii interesów był twardy jak ściany bloków w centrum Nowej Huty.

X tym razem poszło mu świetnie. Zachmurzona Karolina wróciła na scenę, by spośród mieszkańców Lipówki wyłuskać talenty teatralne i wybrać aktorów, którzy zagrają w *Calineczce*, a jej mąż z miną kota, który skonsumował wyjątkowo dorodną myszkę, zniknął w tłumie. Kordecki uniósł aparat. Był przekonany, że dalsza część castingu przebiegnie bez zgrzytów.

Nie mógł się bardziej pomylić!

Kwadrans przesłuchania rzeczywiście upłynął spokojnie. Co prawda pierwsza z wezwanych na scenę kandydatek zemdląła z wrażenia na schodach i nabiła sobie na czole guza wielkości

kurzego jaja, ale szybko wyniesiono ją na korytarz i przystąpiono do przerwanych czynności. Na podeście pojawiały się kolejne kandydatki, demonstrując swoje zdolności wokalne i recytatorskie, a Karolina bezlitośnie wskazywała, kto zakwalifikował się do drugiego etapu, a kto obejdzie się smakiem i zadowoli rolą statysty.

Redaktor pstrykał fotki, układając w myślach pierwszy akapit tekstu poświęconego załączkom amatorskiego teatru. Zastanawiał się właśnie, czy w pierwszej kolejności powinien poprosić o komentarz proboszcza, czy biznesmena, kiedy na scenę z głośnym sapaniem wdrapała się Guzikowa. Dziennikarz oniemiał, starsza pani zaś splotła dłonie na podołku, stuliła usta w maleńki dzióbek i huknęła:

– Motylem jestem! Aha, aha, motylem jestem! Aha, aha motyyyyleem jestem!

Karolina Jedynak z wrażenia upuściła podkładkę, na której właśnie coś notowała. Wytrzeszczonymi oczyma wpatrywała się w zadowoloną z siebie Leoškę. Starsza pani powtórzyła refren kilkakrotnie, z każdym kolejnym razem wznosząc się na wyżyny swoich zdolności wokalnych, a potem dygnęła, krzyżując nogi w kostkach i unosząc opuszkami palców kwiecistą spódnice. Na sali rozległy się tłumione chichoty.

– I jak mi poszło? – Spojrzała na żonę Jedynaka ponaglająco.

– Oryginalnie – wyjąkała pani reżyser. Guzikowa skinęła głową zadowolona.

– No ja myślę. Przecie tydzień żem ćwiczyła. Miałam zaśpiewać *Dziewczyzna jak malina*, ale jak ma być o Calineczce to motyl lepsiejszy, nie?

– Zdecydowanie – zgodziła się Karolina. – A pani, przepraszam, to do roli Calineczki?

– Nie bardzo. – Zapytana pokręciła głową. – Ale jak trza, to się poświęcę. Dla sztuki.

Zakłopotana Karolina przestępowała z nogi na nogę, najwyraźniej nie wiedząc, co rzec w odpowiedzi na takie poświęcenie. Z opresji wybawiło ją jednak trzaśnięcie drzwiami.

Chwilę potem pod sceną stanęła ciemnowłosa kobieta. Żona Jedynaka obrzuciła ją krótkim spojrzeniem i poczerwieniała.

– No to jestem – oświadczyła nowo przybyła. Kordecki wyciągnął szyję, by lepiej widzieć. Dziewczyna była wysoka i szczupła. Mogła mieć dwadzieścia parę lat, jej śniada karnacja z pewnością nie była dziełem małopolskiego słońca. Szczególnie że małopolskiego słońca było ostatnimi czasy jak na lekarstwo.

– No to jesteś – zgodziła się Karolina i ruchem brody wskazała puste miejsce na końcu ławeczki stojącej pod ścianą. – Zajmij miejsce w kolejce i czekaj, aż cię zawołam.

Coś w tonie żony Jedynaka powiedziało Kordeckiemu, że przybyła dziewczyna nie jest jej całkowicie obca. Karolina była wyraźnie rozdrażniona. Ciemnowłosa ślicznotka również to wyczuła, bo uśmiechnęła się z wyższością i wzruszyła ramionami.

– Ale po co? Przecież mówię, że jestem!

Karolina westchnęła głęboko.

– No i co w związku z tym?

– Mam zagrać Calineczkę.

– A ja mam strzelić szóstkę w totka. Idź do kolejki – powtórzyła.

Dziewczyna potrząsnęła ciemnymi włosami.

– Szef powiedział, że mam zagrać.

– Ach, szef? – Karolina się zjeżyła. Kordecki przesunął się do przodu, by lepiej widzieć. Dopiero teraz dotarło do niego, kim jest dziewczyna, z którą sprzeczała się żona biznesmena. Widział ją parę razy za ladą ekskluzywnego salonu jubilerskiego Jedynaka. Z miną angielskiej królowej brała miarę z serdecznych palców i doradzała w kwestii najmodniejszych obrączek ślubnych.

– Tak, powiedział, że jestem stworzona do tej roli.

– Naprawdę? – zadrwiła Karolina. Nagle zaniósła się śmiechem. – A widział kto kiedy Calineczkę, która ma metr

dziewięćdziesiąt wzrostu? Czytałaś ty chociaż Andersena? W jakiej roślinie mamy cię niby znaleźć? W baobabie?

– Sama żeś jest baba! – syknęła niedoszła Calineczka. – Szeff powiedział, że mam grać, i zagram. A ty jesteś zazdrosna, bo nawet na castingu do *M jak Miłość* cię nie chcieli!

– Nie stawałam do żadnego castingu do *M jak Miłość*! To plotki! Pomówienia! – Purpurowa na twarzy Karolina zbliżyła się do krawędzi sceny. – Byłam aktorką teatralną! Grałam w prawdziwym teatrze!

– Chyba jak kręcili odcinek *W11* z zaszlachtowanym aktorem – prychnęła śmiechem ciemnowłosa.

– *W11*?! Ja ci dam *W11*!!! – wrzasnęła Karolina i skoczyła z podestu wprost na niespodziewającą się zagrożenia dziewczynę, wczepiając się w jej idealnie wyprostowane włosy. Wśród zebranych podniosły się głosy podniecenia, Kordecki zaśmiał się pod nosem i uniósł aparat, by udokumentować tak spektakularne zakończenie castingu, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem, a do kotłujących się na podłodze kobiet przedarł się wściekły Jedynak.

– Opanujcie się, do cholery! Jesteście na plebanii! Na plebanii, do kur... nędzy! Karolina, puść ją, puść ją, mówię!

Karolina z niechęcią wyplątała palce z czupryny rywalki i podniosła się z parkietu z dumnie uniesioną głową. Ciemnowłosa dziewczyna pochlipywała, malowniczo rozmazując na policzkach ciemne smugi tuszu do rzęs i popatrując na swojego pracodawcę. W sali zapadła cisza jak makiem zasiał.

Kordecki zerknął na wzburzoną Karolinę, wściekłego Jedynaka i siedzącą na podłodze dziewczynę, uznając, że tego dnia casting nie będzie już kontynuowany. Umieścił aparat w futerale i sięgnął po torbę.

W tej samej chwili skrzypnęły drzwi, a w progu stanęła wystraszona Zojka Tuszyńska. Zatoczyła wzrokiem po zebranych w sali ludziach i wyszeptała spłoszona.

– Przepraszam, czy to casting do przedstawienia?

– Nie, spotkanie anonimowych krajaczy sera – wycedził poirytowany Jedynak.

– A to przepraszam – mruknęła Tuszyńska i wycofała się na korytarz, cicho zamykając za sobą drzwi.

Redaktor Marcin Kordecki z trudem powstrzymał się, by nie ryknąć śmiechem. Zamiast tego zaniósł się gwałtownym kaszlem. Jego twarz pokryły purpurowe rumieńce, oczy zaszczyły łzami i nie mógł złapać tchu. Ostatkiem sił przepchnął się do drzwi. Po wyjściu na korytarz oparł czoło o chłodną ścianę i próbował uspokoić oddech. Kiedy jako tako doszedł do siebie, ruszył do wyjścia. Na schodach obejrzał się za siebie. Na widok kartki przyklejonej do drzwi wejściowych na plebanię uniósł brwi.

~~KASTING~~

~~CKASTINK~~

CASTINK

DZIŚ

GODZINA: ZA 5 MINUT

PSZESUCHANIE

Zojka stała przy bramie i grzebała w telefonie. Kordecki był gotów założyć się o swojego nowiutkiego smartfona, że szukała informacji o zmianie terminu i pory castingu. Uśmiechnął się pod nosem i ruszył w jej kierunku. Zamierzał rzucić jakąś ciętą uwagą na temat ważnych rzeczy, które najwyraźniej już jej tak nie pochłaniają, skoro zdecydowała się zajrzeć na plebanię, ale przypomniał sobie osobliwy występ Guzikowej i nie wiedzieć czemu, zanucił:

– Motylem byłam, ale przytyłam...

Dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem, poczerwieniała z wściekłości, a potem zgarnęła z belki płotu trochę śniegu, cisnęła mu w twarz i odeszła, głośno potupując o oblodzony chodnik. Oniemiały Kordecki został przy bramie, czując, jak grudki śniegu odklejają się od jego policzków i nosa, i toczą się w dół, wpadając za kołnierzyk. Pomyślał, że ma już dość atrakcji jak na to jedno popołudnie!

Cudowne popołudnie, pomyślał aspirant Paweł Chochołek, spoglądając z uznaniem na pokryte delikatnym białym puchem drzewa i zarośla porastające skwer Solidarności. Chociaż policjant nie zaliczał się do entuzjastów zimy, a na samą myśl o siarczystych mrozach dostawał bolesnej czkawki, potrafił docenić urok śnieżnego krajobrazu Wadowic. Szczególnie kiedy w perspektywie miał romantyczną przechadzkę ze swoją wybranką.

Chochołek zatrzymał się przy wejściu do dawnej restauracji Ogrodowa, z sentymentem wspominając wszystkie schłodzone piwa, jakie pochłonał tutaj w upalne, letnie popołudnia. W tej samej chwili ktoś objął go od tyłu i delikatnie zasłonił oczy. Aspirant natychmiast rozpoznał drobne dłonie Klary i poczuł, jak przyspiesza mu tętno.

Chwilę później, trzymając się pod ramię, spacerowali płyta rynku. Nieliczni turyści odporni na zimno fotografowali się na tle bazyliki. Towarzyszka Chochołka przystanąła w pół kroku, zapatrzyła się na dziarskich emerytów zbitych w ciasną grupkę i odchrząknęła.

– Muszę ci powiedzieć coś ważnego! To poważna propozycja...
– wypaliła nagle, jakby zainspirowana ich widokiem.

Aspirant z niepokojem zerknął na turystów ściskających w zmarzniętych dłoniach pudełka z logo lokalnych cukierni, w których bez wątpienia kryły się najsłynniejsze wadowickie wypieki, i poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa pełźnie mu

nieprzyjemny dreszcz. Chyba nie zamierzała namawiać go na pielgrzymkę? Co prawda Chochołek lubił piesze wyprawy, ale jedynie w przypadku romantycznych randek i wyjść po świeże pączki do piekarni znajdującej się nieopodal budynku komendy.

– O co chodzi? – zapytał lekliwie.

– Wiesz, że spotykamy się już od prawie trzech miesięcy? – Zerknęła na niego z ukosa. Chochołek przytaknął. Jego wzrok bezwiednie powędrował w kierunku lokalu, w którym przed trzema miesiącami mieściła się siedziba agencji matrymonialnej „Do zakochania jeden rok”. Można powiedzieć, że poznali się za jej pośrednictwem, choć tak naprawdę do ich spotkania doprowadziła śmiałość Klary, która zaczepiła go na ulicy i uświadomiła, że system zamierzał ich sparować. Myśli aspiranta mimowolnie poszybowały ku innej kobiecie, tej, która go oszukała, ale do rzeczywistości szybko przywołały go dalsze słowa bibliotekarki.

– Trzy miesiące to nie byle co. Uważam, że nasz związek powinien wspiać się na wyższy poziom. – Oświadczyła zadowolona i skinęła głową dla potwierdzenia przedstawionej propozycji.

– Taaak. – Chochołek machinalnie kiwnął głową. Nagle zreflektował się i wytrzeszczył oczy. – Coooo?

– Nie mów, proszę, co. To takie nieładne słowo. – Kobieta się uśmiechnęła, biorąc go pod ramię i ciągnąc lekko w kierunku ulicy Krakowskiej.

Oszołomiony Chochołek dał się wprowadzić w wąską uliczkę i manewrował ciałem między budynkiem urzędu miasta a zaparkowanymi przy trotuarze samochodami. Przy okazji wyczyścił połą kurtki bok jakiegoś wyjątkowo brudnego auta, ale nawet nie zwrócił na to uwagi. Jego myśli całkowicie zaprzętały słowa rzucone przez Klarę. Uśmiechał się rozmarzony, czując, jak krew w jego żyłach zaczyna szybciej krążyć. Nawet w tych newralgicznych miejscach. Jak przemarznęte palce stóp na przykład.

Rzeczywiście, spotykali się od niemal trzech miesięcy, kontemplując zmieniającą się przyrodę w miejskich parkach i zieleńcach, poznając tajniki menu lokalnych restauracji, kawiarni i budek z przekąskami, a raz to nawet wybrali się pociągiem do Bielska-Białej, żeby zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie przy Bolku i Lolku. Prowadzili niekończące się rozmowy o rzeczach mniej i bardziej ważnych (dobór optymalnej mieszanki ziaren dla ptactwa klatkowego i ograniczone środki na zakup nowości bibliotecznych), przytulali się i nawet kilka razy całowali, ale nic ponadto. Paweł Chochołek czasami marzył, że Klara zaprasza go do siebie, częstuje winem i pyta, czy zostanie na poranną jajecznicę ze szczypiorkiem, jednak na słodko-pikantnych marzeniach się kończyło. Czy w końcu miało się to zmienić?

– Co o tym sądzisz? – dopytywała Klara, wyrywając stróża prawa z przyjemnego oszołomienia.

– O tak! – wydukał ni z gruszki, ni z pietruszki rozanielony policjant. – To znaczy... sądzę, że... to świetnie!

– Bardzo się cieszę! – Klara wspięła się na palce i przycisnęła chłodne wargi do ust policjanta. Przez myśl Chochołka przemknęło, że chyba rzeczywiście powinien ograniczyć słodycze i popracować nad kondycją, bo zaokrąglony jak piłka brzuch poważnie ograniczał zasięg... – Martwiłam się, że może nie zechcesz... – westchnęła Klara, odsuwając się odrobinę i spoglądając na Chochołka spod malowniczo podkreślonych rzęs.

– Ależ bardzo chcę! – zakrzyknął z entuzjazmem.

– Cieszę się! To kiedy ci pasuje?

– Choćby teraz! – rzucił z pasją policjant, równocześnie próbując przypomnieć sobie, czy tego dnia założył niebieskie bokserki z delfinem, czy czarne, mocno sprane, ale wygodne i pozbawione nadruków, napisów i śmiesznych aplikacji. Z niepokojem pomyślał, że ani jedno, ani drugie nie pasują na tak wyjątkową okazję.

– Och, nie! – Klara potrząsnęła głową ze śmiechem. – Przecież

ja muszę się przygotować... – szepnęła i tak rozkosznie się przy tym zarumieniła, że aspirant natychmiast zapomniał o drętwieniu stóp.

– Rozumiem. – Kiwnął głową, z trudem kryjąc rozczarowanie. Ujął dłoń swojej towarzyszki i najpierw szarmancko ucałował jej palce, a potem wsunął ją sobie pod ramię i zadowolony wskazał pobliską kawiarnię. – Co powiesz na gorącą herbatę?

– Brzmi wspaniale! – Klara się ucieszyła. Aspirant kulturalnie uchylił przed nią drzwi. W progu kobieta odwróciła ku niemu rozpromienioną twarz. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że chcesz poznać moją mamusię!

Chochołek poczuł, jak z twarzy odpływa mu cała krew.

Nowy poziom związku? Więc o to chodziło? O... mamusię?

– Nie mogę się doczekać – wykrztusił. Klara zademonstrowała śnieżnobiałe uzębienie w szerokim uśmiechu.

– Ona powiedziała dokładnie to samo!

Chochołek przełknął głośno ślinę. Nie wiedzieć czemu, słowa Klary zabrzmiały dla niego złowieszczo.

• ROZDZIAŁ TRZECI •

Tego roku zima zaskoczyła nie tylko drogowców i kierowców, ale także babunię Łyczakową. Przez całe grudzień starsza pani uparcie powtarzała, że tej zimy śniegu i mrozu nie będzie, prognozę pogodową opierając na tylko sobie znanych znakach. Kiedy styczeń sypnął śniegiem i chuchnął mrozem, z niedowierzaniem pokręciła głową i obraziła się na pogodę. Stanowczo zapowiedziała, że nie będzie wychodzić z domu, dopóki ta nie zmądrzeje. Rozbawiona Zojka złożyła to na karb kolejnego „widzimisie” starszej pani, jednak po czasie zaskoczona stwierdziła, że babunia rzeczywiście ogranicza wyjścia. Zakupy może robić Zojka, na cmentarzu pod śniegiem i tak nic nie widać, a w kościele są tak straszliwe przeciągi, że jej stare kości wołają o gruby koc. Już lepiej posiedzieć przy piecu, dorzucać pod blachę i przeganiać zuchwałe zwierzęta, które roszczą sobie prawa do najmocniej nagranych kafelków!

Jednak mimo całej sympatii do ciepła bijącego od paleniska staruszka szybko poczuła znużenie. Kiedy poskarżyła się, że całymi dniami gada do kociego ogona i sama powoli dostaje od tego kota, Zojka nie wytrzymała, parsknęła śmiechem i żartobliwie pogroziła jej palcem.

– Lepiej uważaj! Jak ostatnio narzekałaś na nudę, skończyło się zgłoszeniem o zaginięciu na komendzie!

– Oj tam, oj tam! Masz mnie za głupią? Przy takiej pogodzie

kijem mnie z domu nie wygonisz! – zaciętrzewiła się staruszka.

– Ja tylko mówię...

– Nie bój żaby! Już ja sobie znajdę taką rozrywkę, że mucha nie siada! – Babunia uśmiechnęła się znacząco.

Po takiej deklaracji młodej dziennikarki nic nie powinno zdziwić. Mimo to, gdy we czwartkowe popołudnie znużona wróciła do domku na wzgórzu i przystanęła w drzwiach kuchennych, by zrzucić zaśnieżone botki, wstrząśnięta złapała się za głowę. Zadowolona z siebie babunia Łyczakowa posłała jej niewinne spojrzenie znad wachlarza kart.

– Jak ci minął dzień? – zagruchała wesoło.

Zojka porzuciła buty w progu i na bosaka ruszyła do kuchni, zdejmując okrycie i z niedowierzaniem rozglądając się naokoło. Miejsce spożywania codziennych posiłków zmieniło się w stół krupierski. Na kraciastej ceracie leżały sfatygowana talia kart, dwa pudełka rozsypanych zapalek i stosik grosików. Przy łokciu babuni Łyczakowej stał na wpół opróżniony kieliszek podejrzenie wyglądającego płynu. Drugi, pusty kieliszek stał przy krześle naprzeciwko, co świadczyło o tym, że starsza pani ma towarzystwo. Pod karafką z rżniętego kryształu, na dnie której zostało jeszcze trochę bursztynowej cieczy, leżała zmięta stówka.

– Widzę, że tobie mija ciekawie – zakpiła. Starsza pani wzruszyła ramionami.

– Nie narzekam.

Zojka potrząsnęła głową na znak, że brakuje jej sił do wyskoków babuni. Na końcu języka miała już, że za to matka i ciotka Halina na tryb życia starszej pani chętnie ponarzekają, ale w tym momencie stuknęły drzwi od łazienki i w kuchni zjawiała się Guzikowa. Z oszołomionym wyrazem twarzy zajęła swoje krzesło i szklistym wzrokiem spojrzała na leżące na ceracie karty. Zojka przełknęła głośno ślinę. Nie była pewna, czy

wygląd sąsiadki to wynik działania alkoholu, czy emocjonującej gry...

– Uczę Leosię grać w remika. – Babunia wyszczerzyła zęby, zupełnie jakby czytała w myślach dziewczyny.

Guzikowa wyrwała się z odrętwienia, sięgnęła po karty i spojrzała żałośnie na Zojkę.

– Przegrałam już pół renty – poskarżyła się. Zojka spojrzała na banknot wetknięty pod karafkę i pokręciła głową.

– Babuniu! – zawołała karcąco.

– No co: babuniu! Nie moja wina, że taka dobra jestem!

– Jak możesz ogrywać własną uczennicę? Nie wstyd ci?

– W ogóle – prychnęła starsza pani. – Uczę ją najlepszych sztuczek, nie moja wina, że nie potrafi z nich korzystać.

– Ale hazard?!

– Zaraz tam hazard! Próbowaliśmy grać na zapalki i grosiki z tego twojego słoika, ale to zupełnie nie to samo! Żadnej adrenaliny! A tak to przynajmniej tętno podskoczy pod koniec rozgrywki, co nie? Tylko spójrz – wskazała Guzikową, która zdezorientowana chwiała się nad stołem – jakich rumieńców Leośka dostała!

– No, ja się zastanawiam właśnie, czy to gra, czy...

– To lepsze niż te wasze teatry! – Babunia Łyczakowa przerwała jej bezceremonialnie. – A właśnie, co tam słyhać na scenie?

– Och! – Zojka się spłoszyła. – Tak naprawdę to nie wiem. Poszłam tam wczoraj, ale chyba zjawiłam się za późno, bo prowadzono jakieś dziwne spotkanie dla entuzjastów sera, a Kor... niektórzy już wychodzili.

– Przesłuchanie się przeciągnęło, bo repertuar zmieniać będą – Guzikowa ocknęła się z zadumy i wyłożyła karty na stół. – Szach.

– Trach – dopowiedziała babunia ze śmiechem. – Za dużo *Ojca Mateusza* oglądasz, to nie szachy! Nie będzie Słowackiego?

– Nie przyszedł żaden Słowacki. – Guzikowa zmarszczyła brwi.
– Ino ten cały Jedynak i zamieszania narobił, bo miała być jedna sztuka, a drugą robić będą. *Calineczkę*. To z klasyki duńskiej – dopowiedziała z nabożnym podziwem. Babunia skinęła głową, pochyliła się nad stołem, mierząc spod zmarszczonych brwi rozłożone karty, po czym z głośnym westchnieniem zaczęła je zbierać na schludny stosik. Na koniec kilkakrotnie uderzyła talią o blat i wsunęła wszystko do przybrudzonego pudełka.

– Na pewno miał jakiś powód. – Wzruszyła ramionami.

– Niby że tam z dekoracjami problem, ale ludzie mówili, że to przez żonę sponsora jakiegoś. Że ona niby własną siostrę chciała w beczce z deszczówką utopić, ale przymroziło i ta siostra tylko wstrząsu mózgu dostała, jak o lód prasnęła. I że nie pasuje przy niej wystawiać przedstawienia o miłości siostrzanej, bo szalu dostanie i jeszcze se przypomni, co własnej siostrze zrobić chciała.

– Ludzie mają różne kuku na muniu – stwierdziła zadowolona z siebie babunia, sięgając po kieliszek. Uniosła naczynie do ust, odchyliła głowę i zmrużyła oczy, ale w ostatniej chwili szelmowsko spojrzała na Zojkę. – A co z twoim udziałem w przedstawieniu?

– O, ja sobie chyba daruję. Na pewno mają wielu chętnych! – odparła szybko wnuczka.

– Mają – zgodziła się Guzikowa. – Ale jeszcze potrzebują, mówili. Do dekoracji.

– A coś ty taka doinformowana? – Babunia Łyczakowa zerknęła z zainteresowaniem na sąsiadkę. – Może na stare lata ci się kariery zachciało i grać poszłaś?

Twarz Guzikowej pokryła się rumieńcem. Lekko skinęła głową. Babunia otworzyła szeroko oczy.

– Kogo ci dali w tej *Calineczce*? – dopytywała z zainteresowaniem.

– Oj tam, szkoda gadać! – Sąsiadka machnęła ręką.

– No powiedz!

– Eeee!

– Pewnie czarownicę z bagien? Albo matkę? Calineczki?

– Matkę. – Guzikowa ponuro przytaknęła. – Ale nie Calineczki, ino tego ropucha francowatego, co to go Calinka miała poślubić.

– Ważna rola. – Babunia kiwnęła głową, walcząc z wesołością.

– Bardzo ważna – potwierdziła Zojka.

– Ja tam nie wiem. – Sąsiadka wzruszyła ramionami. – Może ważna, a może nie, ale jak trza, to trza. Poświęcę się dla sztuki i zagram najlepi, jak umim. A teraz do domu zbierać się będę, bo przecie kronika mi na trójce przepadnie.

Guzikowa wygramoliła się zza stołu i zarzuciła na siebie grubą, pikowaną kurtkę do połowy uda. Zmierzając do sieni, potknęła się o buty Zojki, wtarabaniła w futrynę i przydzwoniła czołem, aż jęknęło. Babunia przygryzła wargę i skinęła na Zojkę.

– Nie masz czasem ochoty na przechadzkę? Dopilnowałabyś, by nam Leośka w zaspę nie skrećła i do domu dotarła...

Zojka skinęła głową. Wzwała botki, założyła płaszcz i naciągnęła na uszy czapkę z pomponem. Stała już w progu, kiedy podeszła do niej babunia i wcisnęła coś w kułak. Zojka wyczuła palcami szeleszczący papierek.

– Podłóż no to dyskretnie – przykazała starsza pani, mrugając porozumiewawczo. Zojka parsknęła śmiechem i ruszyła w zimową noc za rozkołysaną Guzikową.

– Do dwóch razy sztuka, do dwóch razy sztuka... – podśpiewywała pod nosem Zojka, wdrapując się schodkami prowadzącymi na plebanię. Od doskonale poinformowanej Guzikowej dowiedziała się, że na sobotni wieczór zaplanowano kolejne przesłuchanie i tym razem nie zamierzała tak łatwo odpuścić. Czy to się komuś podoba, czy nie, napisze ten artykuł

o przygotowaniach do spektaklu!

Budynek plebanii znała jak własną kieszeń, ponieważ jako dziecko należała do ruchu oazowego i śpiewała w chórkach. Spotkania zazwyczaj odbywały się w dużej sali, którą zawłaszczył obecnie teatr Jedynaków, więc teraz bez wahania skierowała tam kroki. Zojka uchyliła drzwi i wsunęła się do środka. Nie chciała zwracać na siebie uwagi i miała nadzieję, że uda jej się bezszelestnie przemknąć do dużego kaflowego pieca w rogu. Raz, że była to znakomita kryjówka dla kogoś, kto chciał obserwować, samemu nie będąc obserwowanym, a dwa, że w drodze na plebanie potwornie zmarzła. Oliwkowozielone kafelki mrugały do niej zachęcająco, obiecując przyjemne ciepło.

Sunąc w kierunku pieca, Zojka napotkała drwiące spojrzenie Kordeckiego. Redaktor uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „No proszę, proszę! Jednak przyszła! Patrzcie, jaka uparta!”. Tuszyńska spiorunowała go wzrokiem. Przy okazji nie patrząc przed siebie, wpadła na stojącą pod sceną dziewczynę i pchnęła ją tak mocno, że tamta z trudem odzyskała równowagę.

– O Boziu! – Przerażona Zojka usiłowała pomóc dziewczynie ustać na nogach. – Strasznie przepraszam!

Poszkodowana zapewniła Zojkę, że nic się nie stało, ale na wszelki wypadek odsunęła się od dziennikarki na bezpieczną odległość. O dyskretnym przemknięciu za piec nie było już oczywiście mowy i nieszczęśliwa Tuszyńska opadła na najbliższe stojące krzesło.

Kordecki wykorzystał okazję i natychmiast się do niej przysunął.

– Nie myślałem, że przyjdiesz.

– Mam swoje powody. – Zojka dumnie uniosła głowę, równocześnie starając się głębiej wcisnąć w rękaw kurtki mały aparat cyfrowy, który przyniosła ze sobą. Redaktor zauważył ten manewr i lekko odkaszlnął, by pokryć rozbawienie. Następnie jakby mimochodem położył na kolanach swoją lustrzanekę. Zojka przewróciła oczami. Co poniektórzy nadal myślała, że

rozmiar ma znaczenie...

– Oczywiście. – Kordecki skinął głową z miną mówiącą „Dobrze, opowiadaj dalej te bajki”.

Zojka poczuła przyływ irytacji. Minęło pół roku, odkąd zaczęła pracować w „Głosie Wadowic”, a Kordecki nadal traktował ją protekcyjnie. Nie pomogło nawet to, że uratowała go z rąk zbirów odpowiedzialnych za oszustwa matrymonialne. Nagle pożałowała, że skoro miała już okazję, mocniej nie potraktowała go po żebrach i nie powetowała sobie z nawiązką tych wszystkich złośliwości.

Och, gdyby mu tak pokazać! Żeby raz a porządnie mu w pięty poszło!

Okazja trafiła się niespodziewanie szybko. Stojąca na scenie Karolina Jedynak potrząsnęła burzą jasnych włosów i nieprzytomnie spojrzała na widownię. Jej wzrok spoczął na Zojce, oczy błysnęły nieskrywaną ulgą.

– Chwała Bogu! Przysłaś mi pomoc! – zawołała z entuzjazmem.

Zojka najpierw wybałuszyła oczy, potem niepewnie zerknęła za siebie, jeszcze raz na scenę i bąknęła.

– Ja?

– No, a kto? Duch święty? Ja wiem, że na plebanii jesteście, ale bez przesady! Obiecałaś pomoc i co? Siedzisz sobie w najlepsze! – Karolina się gorączkowała, wymachując trzymaną w ręku tekturową łądygą.

Zojka już zamierzała wyjaśnić, że kobieta najwyraźniej z kimś ją pomyliła, kiedy kątem oka zauważyła zdumioną minę Kordeckiego. I choć wiedziała, że prędzej czy później omyłka zostanie odkryta, nie potrafiła odmówić sobie tej chwili triumfu. Uniosła się z krzesła, przerzuciła płaszcz przez jego oparcie i z dumnie uniesioną głową pomaszerowała w kierunku sceny. Stanąwszy na deskach, odwróciła się w stronę zgromadzonych i odszukała wśród nich dziennikarza. Zbaraniał. Pasuje mu, pomyślała z mściwą satysfakcją.

Tymczasem podeszła do niej Karolina. Zojka zauważyła, że blondynka często mruży mocno zaczerwienionym okiem. Na widok Tuszyńskiej gwałtownie je otworzyła.

– Nie jesteś Tanią! – wymamrotała niepewnie.

– Nie. – Zojka potrząsnęła głową, zerkając w kierunku siedzących pod sceną ludzi. – Ale chętnie pomogę! – dodała szybko.

– Niech będzie! – Karolina machnęła ręką, wciskając Zojce plastikową podkładkę z plikiem kartek. – Prosiłam o pomoc naszą gosposię, ale najwyraźniej mnie wystawiła! A sama nie dam rady, oko szczypie mnie jak cholera. O, przepraszam za „cholere”, zapomniałam, że to plebania!

– Co ci się stało? – Zojka spojrzała współczująco na załzawione oko pani reżyser.

– Smażyłam na śniadanie naleśniki.

– I olej ci prysnął? – domyśliła się Zojka.

– Nie – Karolina potrząsnęła głową. – Pochyliłam się nad miską z ciastem i nie zauważyłam wetkniętej do środka chochelki. Niech to szlag. Przepraszam.

– No, w takiej sytuacji szlag jest jak najbardziej na miejscu, żeby nawet gorzej nie powiedzieć – przyznała dobrodusznie Zojka. Mocniej złapała brzeg podkładki i pomagając sobie ustami, zerwała zatyczkę z długopisu. Zerknęła przelotnie na Kordeckiego, który bez skrępowania im się przyglądał. – Jeśli chcesz... – zaproponowała z uśmiechem – mogę pomagać ci codziennie!

Kiedy Paweł Chochołek uświadomił sobie, co dla jego słodkiej wybranki oznacza wejście na wyższy poziom w związku, poczuł paraliżujący strach. Spotkanie z mamusią nie wróżyło niczego dobrego, a tym bardziej namiętnego, więc nieszczęsny policjant popadł w przygnębienie. Nigdy wcześniej nie był na takim spotkaniu! Nie wiedział, jak się ubrać, jak zachować i co mówić.

Chciał wyrzucić na matce Klary jak najlepsze wrażenie, ale tak potwornie się denerwował, że obawiał się zrobić z siebie najgorszego pajaca!

Na szczęście pomocną dłoń wyciągnęli do niego koledzy z komendy. Bądź co bądź wielu z nich miało żony lub narzeczone, a więc w pakiecie również teściowe. Gdy tylko zmartwiony Chochołek nieśmiało wyłożył przed nimi źródło swego przygnębienia, natychmiast zasypali go złotymi radami.

– Po pierwsze i najważniejsze, to nie możesz sobie dać wejść na głowę, chłopie! – piał Radek z prewencji. – Raz sobie dasz i potem ani chwili spokoju! Piwko nie, bo alkoholizm, papieros to rak płuc, a schabowy – cholesterol!

– I nie pokazuj, że za bardzo się starasz! – dorzucił Patryk z drogówki, nerwowo drapiąc się po głowie. – Nie oferuj się, że wyniesiesz po drodze śmieci, że skoczysz do sklepu i odkręcisz słoik kiszonych ogórków. Ja tylko raz na nieszpory podwiozłem, a teraz co niedziela stoję pod krawatem przed samiuśkim ołtarzem!

Chochołek aż się wzdrygnął na samą myśl o krawacie i ołtarzu. Nerwowo przełknął ślinę i uczynił ruch, jakby chciał uciec, ale to jeszcze nie był koniec. Kazek, z którym pracował od ponad siedmiu lat i niejednego paczka już pochłonał pod Domem Chleba, posłał mu współczujące spojrzenie.

– Przytakuj, kiedy trzeba, pochwal rosołek i koniecznie chociaż raz wspomnij, że to niemożliwe, by nie były siostrami!

– Siostrami – powtórzył skołowany Chochołek. Kazek potwierdził skinieniem głowy i uniósł palec, jakby prosił o uwagę.

– Nie wspominaj, że jeździsz na ryby, lubisz piłkę nożną czy hodujesz kaktusa, bo ani się obejrzysz, a wszystko, co ma dla ciebie jakąkolwiek wartość, wyląduje pod śmietnikiem!

Na myśl o klatce z kanarkiem Kleofasem stojącej pod kontenerem na odpadki aspirant zaskamlał. Z paniką w oczach sięgnął po telefon, by jak najprędzej odwołać umówione spotkanie, jednak w tej samej chwili wtrąciła się stojąca

nieopodal Agata z Wydziału Ruchu Drogowego.

– Kup ładne kwiaty dla obydwu pań, ubierz się elegancko i zachowuj kulturalnie. To wystarczy!

Pokrzepiony Chochołek udał się do pobliskiej kwiaciarni i zamówił dwie imponujące wiązanki kwiatów. Ustalił ze sprzedawcą, że odbierze je późnym sobotnim popołudniem i uspokojony wrócił do domu. Postanowił raz jeszcze przeanalizować wszystkie rady udzielone mu przez kolegów, więc sięgnął na półkę po zeszyt i rozrysował stosowną tabelkę. Po dwóch godzinach notowania, kreślenia, przepisywania i mamrotania pod nosem przydatnych wskazówek Paweł Chochołek uznał, że jest odpowiednio przygotowany do spotkania.

W sobotni poranek aspirant odwiedził swojego ulubionego fryzjera i poprosił o skrócenie włosów. Następnie wstąpił do apteki w celu nabycia tabletek odświeżających oddech i kropli na uspokojenie. Przy okienku w oczy rzuciło mu się kolorowe opakowanie prezerwatyw, a ponieważ od rana towarzyszył mu wyśmienity humor, postanowił dorzucić je do sprawunków. Być może nie ośmieliliby się na poczynienie tak odważnych zakupów, ale na opakowaniu narysowana kanarka, co aspirantowi wydało się niebywale zabawne. Chichocząc pod nosem, pomyślał, że być może jest to jakaś dobra wróżba, i rozpromieniony wsunął pudełko do kieszeni płaszcza, natychmiast o nim zapominając.

W drodze do domu kupił jeszcze dwa pudełka czekoladek, pierwotnie z myślą o swojej wybrance i jej... mamusi, ale słodkości mrugały do niego tak zachęcająco, że zanim dotarł pod drzwi mieszkania, jedno pudełko było zupełnie puste. Zabranie ze sobą jednego opakowania wydało się Chochołkowi nie na miejscu, więc wzruszył ramionami, zerwał folię zabezpieczającą i zabrał się do pałaszowania kolejnej bombonierki.

W międzyczasie otworzył drzwi szafy, a skoro już otworzył, stwierdził, że właściwie mógłby się zacząć przygotowywać do umówionego spotkania. Założył koszulę, garnitur, krawat zawiązał w skomplikowany węzeł i zadowolony z efektu przejrzał

się w lustrze. W tej samej chwili zreflektował się, że przed założeniem odświętnego stroju powinien wziąć kąpiel, więc krytycznie obwąchał okolice pach i chcąc nie chcąc, powlókł się do łazienki. Po szybkiej ablucji na powrót wciągnął ubranie (było jakby bardziej zmięte, ale Chochołkowi nie chciało się szukać żelazka) i spojrzął na zegar. Z przerażeniem stwierdził, że jest dopiero parę minut po trzynastej, więc upłynie sporo czasu, zanim będzie mógł wyjść z domu. Już sięgał do węzła krawata, kiedy jego spojrzenie spoczęło na wymiętoszonych rękawach i zrezygnował. Stropiony usiadł na wersalce i gapiąc się na klatkę z Kleofasem, oczekiwał pory wyjścia.

Z domu wyszedł parę minut po piętnastej. Wstąpił do kwiaciarni i odebrał imponujące wiązanki. Idąc w kierunku kamienicy, w której wraz z matką mieszkała Klara, pomrukiwał zadowolony nad delikatnymi różami i gerberami miniaturkami. Piękny bukiet. Wspaniały! W pierwszej chwili miał problem z doborem kwiatów i kolorystyki, ale ostatecznie zdecydował się na szlachetną purpurę. I czyż czerwone róże nie są symbolem miłości? Chochołek pomyślał, że jego wybranka i jej mamusia z pewnością będą zachwycone!

Paweł Chochołek zatrzymał się przed drzwiami oznaczonymi jedyneką. Pociągnął lekko za świeżo przyciętą grzywkę, odchrząknął, a potem energicznie zapukał.

Zojka zdmuchnęła z twarzy upierdliwe pasemko, które wymknęło jej się z kucyka i uparcie łaskotało lewy policzek, po czym spróbowała skupić uwagę na tym, co działo się na scenie. Zarumieniona z emocji Karolina właśnie podziękowała kolejnej osobie i zerknąwszy w kierunku swojej pomocnicy, ledwie dostrzegalnie pokręciła głową.

Tuszyńska westchnęła cicho, spuściła wzrok na trzymaną w ręku podkładkę i odnalazła w naprędce narysowanej tabelce odpowiednie nazwisko, a następnie zakreśliła przy nim minus. Bożena Sala. Zojka pamiętała ją z podstawówki. Pracowała w szkolnej kuchni i chętnie wydawała dzieciakom repetę, tak

upragnioną, gdy na obiad były naleśniki z dżemem, ryż z jabłkami albo smakowita fasolka po bretońsku w rzadkim, pomidorowym sosie! Zojka przygryzła wargę i postukała końcówką długopisu w postawiony minus. Będzie musiała porozmawiać z Karoliną o pani Bożence. Dobra z niej kobieta i naprawdę uwielbia Andersena. Nie jej wina, że w dzieciństwie koń jej na ucho nadepnął...

Casting do przedstawienia o Calineczce okazał się totalną klapą! Nie żeby brakowało chętnych, wprost przeciwnie, było ich aż zbyt wielu. Wieść o planowanym spektaklu rozniosła się po okolicy lotem błyskawicy. Na przesłuchaniu zjawili się nie tylko mieszkańcy Lipówki, ale również sąsiednich miejscowości. Każdy chciał pokazać się z jak najlepszej strony i zademonstrować swój talent. Jedni mieli szczęście jak Guzikowa, która z racji brodawki na brodzie wprost idealnie nadawała się do odegrania ropuszej matki, inni dwoili się i troili, i fikali koziołki, by udowodnić, że do gry w *Calineczce* zostali stworzeni!

Atrakcyjne dziewczęta liczyły, oczywiście, na rolę tytułową, ale musiały obejść się smakiem. Piotr Jedynak był nieugięty: główna rola nie mogła przypaść amatorce, wszak na niej skupią się spojrzenia potencjalnych sponsorów! Calineczką została triumfująca ekspedientka i nie pomogły wrzaski, płacze i fochy wściekłej Karoliny. Zojka współczuła żonie przedsiębiorcy. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że Karolinie zależy na powodzeniu spektaklu i całej akcji charytatywnej, jednak – choć oficjalnie mianowana reżyserem – tak naprawdę nie miała nic do gadania. „Jesteś reżyserem, więc reżyseruj tak, jak ci mówię” – oświadczył jej małżonek.

Przesłuchanie ciągnęło się już trzecią godzinę i Zojka powoli miała już dosyć. Chciało jej się siku, marzyła o łyku gorącej kawy z mlekiem i czymś słodkim: na przykład kawałku drożdżowego placka z dżemem i kruszonką. Widok pani Bożenki pobudził jej apetyt i nagle poczuła, że żołądek przykleja się jej do kręgosłupa.

Dziewczyna rozejrzała się na boki i rozbawiona stwierdziła, że siedzący w trzecim rzędzie Kordecki uciał sobie drzemkę. Spał

z lekko uchylonymi ustami. Zojka rozejrzała się naokoło, ale w najbliższym otoczeniu nie znalazła niczego, co mogłaby w nie wrzucić, więc wróciła do swojej podkładki. Ze sceny właśnie schodziła zadowolona z siebie listonoszka, Anastazja, a delikatne skinienie głowy Karoliny pozwalało Zojce postawić przy jej nazwisku znak plusa.

Już w pierwszym kwadransie przesłuchania zrezygnowały z głośnego obwieszczania, kto otrzyma rolę, a kto nie. Do obsadzenia pozostało już niewiele postaci i kandydaci zaczęli się denerwować. Aprobowani – skakali po scenie jak pijane małpy, zupełnie jakby zakwalifikowali się do popularnego reality show. Odrzuceni – nie przyjmowali do wiadomości grzecznego „dziękuję” i domagali się drugiej szansy. Jeden wyjątkowo krewki mężczyzna zapowiedział przestraszonej Karolinie, że albo znajdzie mu jakąś obiecującą rolę, albo przy najbliższej sposobności wyleje na nią coś, co fiołkami nie pachnie. Oburzonego delikwenta wyproszono z przesłuchania i postraszonego wezwaniem żony. Posłusznie opuścił budynek plebanii, ale jego złorzeczenia słyszeli jeszcze dobre dziesięć minut...

Zojka dyskretnie zerknęła na wyświetlacz telefonu, aby sprawdzić, która godzina. W tej samej chwili Karolina zeskoczyła ze sceny i spojrzała na trzymaną przez Tuszyńską podkładkę.

– Kończymy na dzisiaj – wychrypiała z trudem. Ciągłe nawoływania, przekrzykiwania i upominania uczestników castingu sprawiły, że niemal straciła głos. – Proszę państwa! – zapiała, klaszcząc w dłonie dla zwrócenia uwagi ludzi zgromadzonych pod sceną. – Kończymy przesłuchanie do przedstawienia. Lista aktorów zaangażowanych do spektaklu zostanie odczytana w niedzielę na nabożeństwie o jedenastej.

– Że co? – Zojka nie kryła zdumienia. Karolina posłała jej figlarne spojrzenie.

– Ksiądz proboszcz prosił. Wizytację z kurii zaplanowano i chce pokazać, jakich ma oddanych parafian.

– Nieźle. – Tuszyńska uniosła brwi i pomyślała, że chyba

potowarzysz babuni na sumę. Bo ogłoszenie wyników castingu do przedstawienia mogło okazać się... niezłym przedstawieniem!

Po chwili sala opustoszała. Zojka przysiadła na krześle, żeby czytelnie przepisać nabazgraną naprędce tabelkę. Od czasu do czasu zerknęła w kierunku pochrapującego Kordeckiego, zastanawiając się, czy i w jaki sposób powinna go obudzić. Mogła huknąć tuż nad jego uchem albo potrącić „przypadkiem” stojącą w kącie wieżę z wazonów, ale może ciekawsze byłoby pozostawienie go w obecnym stanie i ukrycie się gdzieś w ciemnym kącie? Dałaby wiele, by zobaczyć jego głupią minę, kiedy się przebudzi w środku nocy!

Rozważania Zojki przerwało nagle głośne mlaśnięcie i redaktor otworzył oczy.

– Dzień dobry, śpiąca królowno – rzuciła drwiąco Tuszyńska. – A może raczej dobry wieczór?

– Dobry – wymamrotał Kordecki, nieprzytomnie rozglądając się na boki. – Co się dzieje? Gdzie są wszyscy?

– Już po castingu! Straciłeś okazję do cykania swoim wypasionym aparacikiem!

Kordecki dotknął palcami lustrzanki, prostując się na krześle, i odchrząknął. Spojrzał na Zojkę podejrzliwie.

– Przespałem przesłuchanie? Przecież to niemożliwe, do cholery!

– Cóż. – Zojka wsunęła podkładkę pod pachę i wzruszyła ramionami z dobrotliwym uśmiechem. – Zdarza się. Ogarnęła cię senność i nie byłeś w stanie z tym walczyć. To pewnie przychodzi z wiekiem.

– Z wiekiem? – ryknął Kordecki, podrywając się z krzesła. Zojka zapobiegliwie czmychnęła w kierunku drzwi, jednak zdętwiałe od długiego siedzenia kończyny odmówiły posłuszeństwa i mężczyzna na powrót opadł na krzesło z głuchym jękiem.

Zojka już miała na końcu języka odpowiedni komentarz, ale w tej samej chwili szczęknęła klamka, drzwi uchyliły się nieco,

a w powstałej szparze pojawiła się życzliwa, pomarszczona twarz księdza Seweryna.

– Czy wszystko w porządku?

– W jak najlepszym – pogodnie odparła Zojka. – Po prostu redaktor ma problem z zastaniem członków...

Trudno stwierdzić, kto był czerwieńszy na twarzy: zmieszany proboszcz czy wściekły dziennikarz. Panna Tuszyńska zrozumiała, że przesadziła, i czym prędzej uciekła na korytarz, dumając, że co poniektórzy powinni zainteresować się swoim nadciśnieniem i zamiast na przesłuchanie do spektaklu wybrać się do gabinetu kardiologa!

Kordecki dogonił ją u podnóża stromych schodów prowadzących na poddasze. Zojka zerknęła w ich kierunku. Karolina wspomniała, że ksiądz Seweryn udostępni im nieduży pokój na poddaszu, gdzie będą mogli urządzić prowizoryczną garderobę i zmieniać stroje. Tuszyńska otaksowała spojrzeniem zakręcające w mroku schody i pomyślała, że pokonywanie ich na wysokich obcasach będzie karkołomnym zadaniem. W sensie dosłownym!

Redaktor podążył wzrokiem za spojrzeniem Zojki i zaśmiał się cicho. W miejscu, w którym schody zakręcały, utworzył się niewielki podest i właśnie to miejsce na drzemkę wybrał sobie ogromny biały kocur. Leżał rozciągnięty na całej długości najwyższego stopnia i najwyraźniej był z siebie bardzo zadowolony, ponieważ jego głośne mruczenie dobiegało aż na dół.

– A to sobie miejsce na drzemkę wybrałeś, bracie! – mruknął Kordecki.

– No, lepsze to niż twarde krzesło jak u co poniektórych... – Zojka uśmiechnęła się znacząco.

– To wcale nie jest śmieszne – zachnął się dziennikarz. – Pomyśl, co będzie, gdy ktoś nie zauważy i stanie na tym biednym zwierzaku!

Zojka wyobraziła sobie ostry obcas zagłębiający się w miękkie futerko i zadrżała na samą myśl. Pał licha z tym, kto poleci na

leb na szyję, ale biedny kociak nie zasługiwał na to, by nadziano go jak futrzasty szaszłyk!

– Psik! – fuknęła na kota. Kocur otworzył jedno zielone oko i posłał jej obojętne spojrzenie, po czym przewrócił się na drugi bok i znieruchomiał w mruczącej drzemce. Kordecki uśmiechnął się z politowaniem, a Zojka zgrzytnęła zębami. Nie wiedzieć, czy bardziej na kota, czy na bezczelnego dziennikarza.

– To Śnieżek, kot gospodyni – wyjaśnił ksiądz Seweryn, który zmaterializował się nagle za plecami redaktora. – Ruszy go stąd dopiero zapach gotowanego rosołu. Ewentualnie odgłos otwieranych drzwi lodówki.

– Często tu przesiaduje? – dopytywała niespokojnie Zojka. Proboszcz skinął głową.

– To jego ulubione miejsce. Pod schodami idzie rura z ciepłą wodą. To nowoczesna plebania, mamy ogrzewanie podłogowe. Na jednym stopniu, ha ha ha!

Zojka uśmiechnęła się półgębkiem. Nowoczesna plebania, dobre sobie! Wiele można by powiedzieć o plebanii w Lipówce, ale na pewno nie to, że jest nowoczesna czy bogata. W swoim niezbyt długim życiu Tuszyńska widziała już różne plebanie: przed niektórymi stały piękne, błyszczące samochody, przed innymi zachwycaly wypielęgnowane ogrody i podjazdy z misternie ułożonej kostki brukowej. Przed plebanią w Lipówce stał jedynie zdezelowany volkswagen kościelny, bo ksiądz Seweryn prawa jazdy nie miał. Zresztą zachodziła obawa, że ze swoją piłkowatą sylwetką nie zmieściłby się do żadnego samochodu. Mówiono, że kiedy kościelny wozi proboszcza do chorych z wyżej położonych gospodarstw, musi wyciągać przednie siedzenie, by ten mógł swobodnie usiąść na tylnym. Ogrzewanie podłogowe? Na plebanii przeciągi hulały, że ho ho! Nic dziwnego, że kocur gospodyni wybrał sobie ten ciepłutki schodek!

Zojka obiecała sobie mieć go na oku. Nie chciała, by zwierzaka spotkała jakaś krzywda tylko dlatego, że ktoś naruszył miejsce jego codziennej drzemki!

– Nie mam ani jednego zdjęcia z dzisiejszego przesłuchania! – mamrotał tymczasem do siebie zmartwiony Kordecki. Zojka wyszczerzyła zęby i zademonstrowała mu swoją komórkę.

– A ja kilka mam i jeśli będziesz grzeczny, to się podzielę!

Redaktor zaklął szpetnie i posłał jej mordercze spojrzenie, ale posłusznie uruchomił funkcję Bluetooth w swoim telefonie. Wychodząc z plebanii, Tuszyńska uśmiechnęła się triumfująco.

Aspirant Paweł Chochołek poruszył się niespokojnie na krześle, konstatuując, że to jest wyjątkowo twarde i boleśnie wbija mu się w tyłek. Mimo to uśmiechnął się dzielnie i uniósł do ust widelec z nabitym kawałkiem kurczaka. Żuł mięso, czując, jak pod wpływem spojrzenia kobiety siedzącej naprzeciw, rośnie mu ono w ustach. Kurczak był soczysty i świetnie przyprawiony, był po prostu wyśmienity, ale mimo to policjant nie potrafił cieszyć się jego smakiem i aromatem. Czuł się jak skazaniec, któremu właśnie dostarczono zamówiony ostatni posiłek.

Tak bardzo chciał uczynić na matce Klary dobre wrażenie, a wszystko wychodziło na opak. Zupełnie nie rozumiał dlaczego. Czyżby ktoś rzucił na niego jakiś urok?

Ledwie Klara otworzyła drzwi i wpuściła go do ciasnawego przedpokoju, wpadł na sztywno wyprostowaną kobietę. Zdenerwowany Chochołek skinął uprzejmie głową, wykonując coś na kształt dygnięcia, a starsza pani oświadczyła z kamienną twarzą.

– Spóźnił się pan dwie minuty.

– To dlatego, że po drodze... – podjął z entuzjazmem Paweł Chochołek, ale gospodyni bez słowa odwróciła się na pięcie i zniknęła za najbliższymi drzwiami. Stropiony policjant przestąpił z nogi na nogę, nie wiedząc, co czynić. Na szczęście uśmiechnięta Klara zdarła z niego płaszcz, odebrała kaszkiet i pchnęła w kierunku wejścia do pokoju. Aspirant przelknął ślinę, zsunął półbuty, w panice sprawdzając kondycję skarpet, i przestąpił próg. Zatrzymał się przed imponującym pluszowym

fotelem, w którym siedziała starsza pani, i zaszurał stopami po błyszczącym parkiecie.

– Najmocniej przepraszam za spóźnienie, ale po drodze wstąpiłem po te oto kwiaty – mówiąc to, zadowolony Chochołek wyrzucił zza siebie ramiona i podetknął kobiecie pod nos wiązanekę w szeleszczącym celofanie.

Matka Klary uśmiechnęła się uprzejmie.

– Obawiam się, że nieco się pan pospieszył. Ale przyznaję, że to całkiem zgrabna wiązanekę pogrzebowa.

Oszołomiony Chochołek spojrział krytycznie na trzymany w ręku bukiet i poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa pełnie mu lodowaty dreszcz. Szkarłatne róże z dodatkiem asparagusa, jakiegoś egzotycznego liścia i złotej wstążki wyglądały niezwykle elegancko i imponująco. O cóż pytał go ten sympatyczny, młody człowiek stojący za ladą kwiaciarni? Co Chochołek chciałby wyrazić zamówionym bukietem. I cóż on odrzekł? Że chciałby złożyć wyrazy szacunku pewnej starszej pani, której nigdy nie spotkał. Najwyraźniej sprzedawca uznał, że chodzi o wiązanekę na pogrzeb. Przerażony aspirant spojrział na drugi bukiet, ten przeznaczony dla Klary, i dostrzegł na złotej wstążce napis „Ostatnie pożegnanie”. Czym prędzej zerwał kokardę, a ponieważ kieszenie w jego marynarce były wyłącznie atrapami, zacisnął ją w pięści. Uczynił to w ostatniej chwili, ponieważ jego wybranka właśnie weszła do pokoju, dzierżąc paterę apetycznie wyglądających ciasteczek. Na widok wiązaneki Klara rozplynęła się w uśmiechach i okrzykach zachwytu, więc podbudowany aspirant ośmielił się zerknąć w kierunku jej matki i jeszcze raz nieśmiało podsunąć kwiaty.

Tym razem starsza pani przyjęła bukiet i od niechcienia położyła go na oparciu pobliskiej kanapy. Zachęcony powodzeniem Chochołek stwierdził, że pora skreślić kolejny punkt z listy zatytułowanej „Jak zachwycić przyszłą teściową w jeden wieczór”. Odczekał, aż matka Klary zajmie miejsce za okrągłym, nakrytym śnieżnobiałym obrusem stołem, przysiadł na wskazanym krześle i z zachwytem spojrział na ukochaną.

– Trudno mi uwierzyć, że nie jesteście siostrami – obwieścił

z czarującym uśmiechem wybrance – bo wyglądasz na rówieśnicę swojej matki!

Klara zamarła w bezruchu, a blade policzki jej matki pokrył delikatny rumieniec. Chochołek poczuł się niewyraźnie. Miał wrażenie, że jego słowa nie do końca zabrzmiały tak, jak sugerowali mu doświadczeni koledzy. Niby powiedział wszystko jak trzeba, ale ten rumieniec starszej pani i spłoszone spojrzenie młodszej... Coś było nie tak, ale nie umiał powiedzieć co. Poza tym nie miał na to czasu, ponieważ właśnie podsunęto mu talerz z mocno zwiniętym dewolajem, dwoma pieczonymi ziemniakami i listkiem sałaty. Danie wyglądało i pachniało wprost oszłamiająco, a on poza pudełkiem mdlących czekoladek od rana nie miał nic w ustach, ochoczo złapał więc za widelec i zabrał się za jedzenie.

– Smacznego – lodowatym tonem wycodziła gospodyni. Chochołka tak przeraziły nieoczekiwane słowa, że bez gryzienia przełknął to, co akurat miał w ustach. Pech chciał, że był to dość duży liść sałaty, który przykleił się w przelyku i przyprawił biednego policjanta o wytrzeszcz oczu oraz żalosne charczenie.

– Dzie... dzie... – Usiłował zachować resztki kultury.

– Podaj panu wody, Klarciu! – szorstkim tonem poleciła starsza pani. – A może pan wolałby coś mocniejszego? – wycodziła.

Głowa Chochołka wykonała ledwo dostrzegalne kiwnięcie, ale w ostatniej chwili jakby zmieniła zdanie i potrząsnęła przecząco. Stróż prawa złapał podsunętą mu szklankę z wodą, splukał posmak sałaty i uporczywe pieczenie w przelyku, a potem skurczył się nad talerzem. Właśnie dotarło do niego, że matka Klary wzbudza w nim największe przerażenie i że najchętniej natychmiast wzięłby nogi za pas, zapominając o złotych radach kolegów i słodkiej bibliotekarce. Do tego to cholerne krzesło, zupełnie jakby złośliwie uciskało właśnie w tym miejscu...

– Zatem jest pan policjantem. – Starsza pani niespodziewanie przerwała milczenie.

– Tak, proszę pani – lękliwie odrzekł Chochołek.

– Cóż, w takiej spokojnej miejscince jak nasza zaszczytów to panu nie przyniesie.

Chochołek chciał zaprotestować i opowiedzieć o dochodzeniach, w jakich brał udział w ostatnim roku. O sprawie Klaudii Szczypczyk i oszustach z agencji matrymonialnej. Takich spraw nie powstydziliby się nawet Orest Możejko. Język odmówił mu jednak posłuszeństwa i aspirant wymamrotał tylko:

– A... bla... da.

– Słucham? – Matka Klary pochyliła się w jego stronę z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Mówię, że wcale nie mam kanarka. W ogóle – wyrzucił z siebie nieszczęśliwy Chochołek.

Kobiety wymieniły nad stołem porozumiewawcze spojrzenia, a policjant wrócił do obgryzania pieczonych ziemniaków. Nagle dotarło do niego, że Klara i jej matka rozmawiają na temat planowanych prac domowych.

– I trzeba przenieść tę ciężką biblioteczkę ze stołowego. Zajmuje za dużo miejsca. – podkreśliła starsza pani, popatrując na Chochołka znacząco.

– Tak, ale do tego potrzeba kogoś naprawdę silnego... – Klara uśmiechnęła się pod nosem. Muskuły na ramieniu aspiranta naprężyły się odruchowo, ale on sam nadal wgapił się w talerz, zupełnie jakby od ułożenia warzyw na porcelanie zależały losy świata. Dotarło do niego, że bibliotekarka podsuwa mu okazję do zaimponowania matce, ale pamiętał przestrogi kolegów i nie zamierzał występować przed szereg. Szczególnie teraz, gdy przekonał się już, że starsza pani jest bardziej przerażająca niż baśnie braci Grimm w oryginalnej wersji.

– Może pan znajdzie dla nas chwilę? – zaproponowała matka Klary z zimnym uśmiechem.

– Nie bardzo – odparł aspirant, nie podnosząc wzroku znad talerza.

– To zajmie tylko godzinę, góra dwie – wyjaśniła Klara.

Policjant spojrział na swoją wybrankę z namysłem. Była taka słodka, nie potrafił jej odmówić! No i nie mógł pozwolić, by sama dźwigała takie ciężary lub, co gorsza, szukała pomocy u innych siłaczy! Zerknął więc przelotnie na jej matkę i ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Dobrze, ale tylko raz, w drodze wyjątku – zastrzegłszybko.

Kolacja dobiegła końca, Klara podała do ciasteczek herbatę i talerzyk wyśmienitych konfitur wiśniowych. Zdenerwowany aspirant pochłonał wszystko bez mrugnięcia okiem i dopiero kiedy spojrział na niemal wylizany do czysta talerzyk, dotarło do niego, że był to dodatek do gorącego napoju przeznaczony dla wszystkich.

– Przepraszam, było pyszne... – wyjąkał zmieszany.

– Proszę się nie przejmować. Że lubi pan sobie zjeść, to akurat widać – zauważyła matka Klary. – Cóż, jest już późno... – Uniosła się zza stołu i spojrzała znacząco na zegar stojący na ciężkiej dębowej witrynie. Na widok tego masywnego mebla Chochołek poczuł zbliżające się zapalenie korzonków...

– Bardzo dziękuję za wspaniałą kolację – wybełkotał, podnosząc się z niewygodnego krzesła i dyskretnie pociągając za materiał spodni, które wpiły się wiadomo gdzie. Odprowadzany przez dostojnie kroczącą matronę, dotarł do przedpokoju, gdzie zaplątał się we własne buty i mało co nie klapnął na podłodze. Uśmiechnięta Klara wręczyła mu słoiczek wiśniowych konfitur i wyraziła nadzieję, że jeszcze je odwiedzi.

– Och, z pewnością! – Rozpromienił się na myśl o wspaniałym jedzeniu. – Kolacja była palce lizać!

– Chwała Panu Bogu, że nie wpadło to panu do głowy! – Gospodyni przewróciła oczami.

– To znaczy, hmmm, chciałem powiedzieć, że była przepyszna. Ale wcale mnie to nie dziwi, Klara wyśmienicie piecze, więc pewnie i gotuje.

– To mamusia piecze i gotuje! – Bibliotekarka zaśmiała się perliście. – Ja jestem totalnym beztalenciem kulinarnym.

– Naprawdę? – Aspirantowi zrzęda mina.

– Cieszę się, że smakują panu moje wypieki. – Po raz pierwszy w spojrzeniu gospodyni pojawiły się cieplejsze tony. Zaraz potem wyraz jej twarzy uległ zmianie, a w pokoju rozległo się donośne kichnięcie. – Najmocniej przepraszam, ta nieszczęsna pogoda przyprawiła mnie o katar...

Chochołek, który w międzyczasie zdążył narzucić płaszcz, dostrzegł okazję, by zaprezentować przyszłej teściowej swą rycerskość i sięgnął do kieszeni po chusteczki higieniczne. Bez namysłu wyciągnął w kierunku gospodyni prostokątne opakowanie, rejestrując ze zdumieniem, że jest ono jakieś twarde.

– Służę uprzejmie...

Spojrzenia trzech par oczu przyszpiliły spoczywające w jego dłoni pudełeczko z charakterystycznym uśmiechniętym kondomem. Policjant poczuł, że robi mu się słabo. Wcisnął dłoń w kieszenie płaszcza, wymruczał niewyraźne pożegnanie i czmychnął z mieszkania, myśląc z żalem, że o słodkich deserach może zapomnieć...

• ROZDZIAŁ CZWARTY •

Amatorski teatr Jedynaków pod chwalebnym patronatem księdza Seweryna i prasowym „Kroniki Wadowickiej” ruszył pełną parą w poniedziałek, 15 stycznia. Zarumieniona z emocji Zojka stwierdziła, że wbrew sobie zaangażowała się w jego działalność i obecność świeżo mianowanej asystentki reżysera na zakurzonych deskach sceny nie wiąże się już jedynie z chęcią „pokazania temu bubkowi Kordeckiemu”, ale po prostu sprawia jej sporą przyjemność.

W reżyserię *Calineczki* zaangażowała się także babunia Łyczakowa. Starsza pani z wypiekami na twarzy oczekiwała szczegółowych sprawozdań ze spotkań grupy teatralnej, komentując zasłyszane rewelacje z charakterystyczną dla siebie ironią. Złościła się także, bo pochłonięta przygotowaniem Guzikowa nie wpadała już tak często do domku nawzgórzu.

– Karolina rozdała aktorom scenopisy, uczy się roli – usprawiedliwiała sąsiadkę Zojka.

– Jest żabą! – skwitowała babunia. – Będzie rechotać! Cóż to za filozofia skakać po scenie i kumkać? Tyle to ja potrafię bez scenopisu!

– Ale chce kumkać najłepi jak umi – młoda dziennikarka żartobliwie przedrzeźniła Leoškę, po czym spoważniała. – Na pierwszy rzut oka widać, że podoba się jej udział

w przedstawieniu. Jest bardziej zaangażowana niż my wszyscy razem wzięci.

– Pamiętaj, żebyś mi wszystko opowiadała! – Starsza pani uniosła sękaty palec.

– Na razie nic ciekawego się nie dzieje! – Zojka studziła jej zapał.

– Dobrze powiedziałaś: na razie! – prychnęła babunia. – Ale prędzej czy później coś dzieć się zacznie. Nazwa zobowiązuje.

– Nazwa zobowiązuje? – Zojka zdębiała. – Jaka nazwa?

Babunia Łyczakowa błysnęła bielą sztucznej szczęki.

– Trupa teatralna. Z czymś ci się to kojarzy?

– Ach, jak chciałabym mieć dziecko!

– Nie, nie tak! Achhhh, jak chciaaałabym mieć dziecko.

– Achhh, jak chciałabym mieć dziec-ko!

– Nie tak! To brzmi, jak chciałabym znieść jaj-ko! – Rozzłoszczona Karolina tupnęła nogą. – Jeszcze raz!

Rozbawiona Zojka oderwała wzrok od podestu, na którym Karolina z groźnym błyskiem w oku szarżowała właśnie na przerażoną Anastazję. Listonoszka wcielała się w postać matki Calineczki i miała wyrazić, jak bardzo marzy o maleńkiej córeczce, ale według pani reżyser w jej wypowiedziach brakowało pasji. Tuszyńska podejrzewała, że pracownicy poczty jako matce pięciorga dzieci trudno okazać entuzjazm na myśl o kolejnym, choćby było czysto teoretyczne.

Zojka zerkała właśnie do scenopisu, aby sprawdzić, których aktorów powinna przygotować do wejścia na scenę, kiedy poczuła delikatne klepnięcie w ramię. Zaskoczona podniosła głowę i napotkała roześmiane spojrzenie ciemnych oczu.

– Cześć, jestem Patrysia.

– Patrysia – powtórzyła jak echo Zojka. Ciemnoooka wykrzywiła

się komicznie.

– Patrycja. Ale znajomi mówią na mnie Patrysia. Tak, wiesz, z angielska.

– No wiem – odruchowo potwierdziła Zojka i zamilkła wpatrzona w tęczowe powieki dziewczyny. Jej rozmówczyni natychmiast zauważyła zainteresowanie dziennikarki, bo teatralnie zmrużyła oczy i zademonstrowała barwnego motyla wymalowanego poniżej linii brwi.

– Fajne, nie? To moja interpretacja Calineczki. Królowa elfów powinna być kolorowa i radosna. Ale założę się, że ta raszpla każe mi wszystko zmasać. – Z ponurą miną wskazała miotającą się po scenie Karolinę. – Zero inwencji, wszystko według scenariusza.

– Stara się – mruknęła Tuszyńska, która polubiła żonę Jedynaka i chciała być wobec niej lojalna. Choć musiała przyznać, że i żywiołowa Patrycja, znaczy Patrysia, dała się lubić. Zojka z rozbawieniem słuchała paplaniny dziewczyny, która narzekała na sztywne ramy scenariusza stworzonego przez Karolinę.

– Przecież Andersena tyle razy wystawiali. Ileż można wałkować ten sam temat? Ja skupiłabym się na dalszym życiu Calineczki i pokazałabym, jak szczęśliwie żyła jako żona przystojnego księcia! Jak latała między kwiatami, spijała nektar, słuchała śpiewu ptaszków i wygrzewała się w słończku. Sielanka!

– Nuda! – Zojka uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Masz rację! – Patrysia zmarszczyła nos. – Ale na pewno dałoby się coś z tym zrobić i wprowadzić do scenariusza jakiś emocjonujący wątek. Coś, co wzburzyłoby w widzach krew! Rozwód albo, lepiej, morderstwo!

– Może lepiej zostanmy przy klasycznej odsłonie baśni – kwaśno skwitowała Karolina, która nie wiadomo kiedy zmaterializowała się u boku pogrążonych w rozmowie kobiet. – Bo inaczej ja popełnię morderstwo i nie zawaham się w obsadzeniu roli ofiary! Ale jeśli nie pasuje ci moja *Calineczka*

– uśmiechnęła się lodowato – zawsze możesz zrezygnować, prawda?

– O nie! – Ciemnooka potrząsnęła głową. – Szef powiedział...

– W takim razie bądź łaskawa wejść na scenę, królowo elfów! – Pani reżyser zazgrzytała zębami i Patrysia posłusznie powłokła się we wskazanym kierunku.

Zojka odprowadziła wzrokiem wchodzące na podest kobiety, a potem ponownie skupiła uwagę na trzymanym scenopisie. Jej spojrzenie jednak co rusz wędrowało na scenę, gdzie Karolina właśnie owijała Patrysię kolorową bibułą imitującą kielich tulipana. Tuszyńska zauważyła w jej ruchach jakąś nerwowość i zadała sobie w myślach pytanie, czy za niechęcią żony Jedynaka kryje się coś więcej niż tylko urażona reżyserska duma. Piotr Jedynak był przecież dość atrakcyjnym mężczyzną w sile wieku, a Patrysia śliczną, choć nieco głupiotką, dziewczyną. Zojka potrząsnęła głową. Gdyby tak było, awantura wybuchłaby szybciej, niż zdążyłaby przesyłabizować taklubiane przez babunię słowo: trupa!

Pogodny początek tygodnia dał mieszkańcom Małopolski złudną nadzieję rychłego zakończenia zimy. Pod wpływem rosnącej temperatury zalegające przy drogach zwały brudnego śniegu zmieniały się w szemrzące strumyczki równie brudnej wody. Wracająca z pracy Zojka przeklinała je pod nosem, bo natychmiast przemoczyła botki i mogła spodziewać się przeziębienia. A co jak co, ale katar nie był jej do szczęścia potrzebny, szczególnie teraz, gdy spełniała się jako asystentka reżysera.

Ale w środowe popołudnie niebo nad Lipówką zasnuły ciemne, skłębione chmury, a po chwili rozpętała się śnieżycą. Zojka, która właśnie wyskoczyła z pociągu, miała problem, by dostrzec czubki własnych butów, i tylko cudem uniknęła kąpieli w strumieniu, do którego nieopatrznie skręciła zaraz za torami kolejowymi.

Kiedy z trudem wspięła się na wzgórze i otworzyła zasypane śniegiem drzwi domku, stanęła jak wryta. Po tym, jak zastała babunię i Guzikową uprawiające hazard przy kuchennym stole, sądziła, że nic nie jest w stanie jej zadziwić. Ale widoku aspiranta Pawła Chochołka przepasanego kwiecistym fartuszkim, ugniatającego na umoczonej stolnicy nieforemną grudę kruchego ciasta zupełnie się nie spodziewała!

Przez chwilę stała w progu niezdecydowana, czy wejść do środka. Nie widziała Chochołka od jesieni, kiedy wspólnymi siłami doprowadzili do zdemaskowania oszustów matrymonialnych. Teraz poczuła irracjonalne ukłucie niepokoju. Co sprowadzało aspiranta do domku babuni Łyczakowej i skłoniło do przyobleczenia skrawka nylonu? Czyżby starsza pani uruchomiła akademię kulinarną? Co prawda ostatnimi czasy znów narzekała na nudę, ale żeby aż tak...?

Tymczasem siedząca za stołem babunia zauważyła nadejście Zojki i rozpromieniła się.

– No, jesteś nareszcie! Już myślałam, że cię przysypało gdzieś po drodze!

– Co tu się dzieje? – Zojka pominęła uwagę staruszki i od razu przeszła do rzeczy. Wolnym krokiem zbliżyła się do stołu i z góry spojrzała na kulkę brudnawego, twardego ciasta, na którą nacierał wałkiem posapujący policjant.

– Dzień dobry – przypomniała babunia.

– Jeszcze nie wiem, czy dobry, więc może się wstrzymam...

– Dobry, dobry – zapewnił Chochołek z błyskiem w oku i podsunął babuni pod nos twardą kulę. – I jak?

Zojka spostrzegła, że ciasto przybiera odcień Burkowej sierści i zanotowała sobie w pamięci, by w najbliższych dniach na wszelki wypadek nie jeść niczego na kruchym spodzie. Starsza pani pokręciła głową krytycznie.

– Niech władza gniecie porządnie! – oświadczyła i uniosła głowę ku wnuczce. – Aspirant problem ma sercowy i po pomoc przyszedł, bo teściowej przyszłej straszliwie się naraził i teraz

chce zaplusować. A że ona jest pasjonatką wypieków, postanowił nauczyć się co nieco o pieczeniu, by jej zaimponować! – wyjaśniała.

Zojka skinęła głową i obrzuciła podejrziwym spojrzeniem najpierw zarumienione z emocji policzki babuni, a następnie stolnicę, fartuszek i zadowolonego z siebie policjanta.

– To ja nie będę przeszkadzać, próbę mamy – bąknęła.

– Przy tej pogodzie to i tak pewnie nikt nie przyjdzie. – Starsza pani zerknęła przelotnie za okno, ale jej uwaga natychmiast została przyciągnięta podsuniętym pod nos ciastem. – Jeszcze, jeszcze, niech władza gniecie i się nie wykręca!

Rozbawiona Zojka poprawiła płaszcz, potarmosiła ocierającego się o łydki Filipa, który właśnie zwłókł się z posłania i liczył, że wracająca z pracy opiekunka przyniosła coś dobrego, po czym pospieszyła na spotkanie z teatrem amatorskim.

Kiedy wyszła na ganek i wiatr cisnął jej w twarz lodowatym śniegiem, straciła na moment dech i na poważnie zaczęła rozważać powrót do ciepłego, przytulnego wnętrza. Zaraz jednak przypomniała sobie, że tego dnia aktorzy mieli wybierać dostarczone z wypożyczalni stroje, i z werwą ruszyła w drogę.

Przed budynkiem plebanii natknęła się na Kordeckiego. Redaktor z ponurą miną obserwował, jak jego czerwony samochód znika pod puszystą śnieżną pierzynką. Na widok Zojki skrzywił się i wskazał maskę auta.

– Trzeba było posłuchać głosu rozsądku i zostać dziś w domu. Do wiosny stąd nie wyjadę! – mruczał gniewnie bardziej do siebie niż do dziewczyny.

– Pogoń za tematem wymaga poświęcenia – skwitowała Zojka.
– Poza tym mogło być gorzej.

– Czyżby? – Dziennikarz się zjeżył.

– Pewnie. Jest czerwony. I brudny. Gdyby był biały i czysty,

kierowca pługu śnieżnego na pewno by go nie zauważył. I mógłby wepchnąć go do strumienia.

Redaktor prychnął, obrzucił ostatnim zatroskanym spojrzeniem zaparkowany na poboczu samochód i ruszył za Zojką w stronę wejścia. Na schodach prowadzących do budynku stała gospodyni proboszcza. Zojka pomyślała, że kobieta musi mieć co najmniej sto lat. Już kiedy Zojka była małą dziewczynką, była siwiuteńką starowinką z lekko zaokrąglonymi plecami.

Teraz osłaniając oczy uniesioną dłonią, nawoływała kota.

– Śnieżek, Śnieżek! – niosło się po podwórku.

Kordecki otrzepał kurtkę z białych płatków, spojrzał na kobietę z uśmiechem i zażartował:

– No to przynajmniej wiemy, kto nam przywołał tę śnieżycę!

– Skaranie boskie z tym kocurem. – Zniecierpliwiona gospodyni pokręciła głową. – Normalnie nie idzie go odpędzić od miski, a dziś że taka bieda, wywiało go do pola! Śnieżek! – zaskrzeczała. Zojka pomyślała, że przy takiej pogodzie Śnieżek powinien zaszyć się w swoim ulubionym kąciku i cieszyć ciepłem płynącym spod schodów. Ona sama chętnie przytuliłaby się do rozgrzanych kafli pieca, ale przecież nie mogła pozwolić, by przygotowania do przedstawienia toczyły się bez niej. Szczególnie, że co poniektórzy zjawili się na miejscu, ryzykując życiem swojego samochodu!

Tuszyńska posłała Kordeckiemu rozbawione spojrzenie i zatrzymała się zaraz za progiem, by zrzucić obsypane śniegiem okrycie. Równocześnie pociągnęła nosem, bo zza najbliższych drzwi, prowadzących do kuchni, dochodził wyjątkowo nęcący zapach placków ziemniaczanych. Widząc jej rozmarzone spojrzenie, gospodyni zachichotała.

– Macie szczęście, bo zostało trochę ciasta! Ksiądz proboszcz dziś niedomaga, to i placków jeść nie chciał. Usmażyć?

– Usmażyć! – potwierdziła rozpromieniona Zojka. Kordecki posłał jej chmurne spojrzenie. – No co? Nie jadłam obiadu!

– Karolina na ciebie czeka – próbował jej uświadomić.

– A właśnie nie czeka – rzuciła przez ramię gospodyni, uchylając drzwi do swego aromatycznego królestwa. – Pojechała do miasta coś załatwić i widać śnieżycę ją złapała, bo jeszcze nie wróciła. W ogóle to mało kto się dzisiaj zjawił. Że też się wam chciało, w taką pogodę... Ja to nosa z tej mojej kuchni nie wyściubiam.

Zojka posłała Kordeckiemu triumfujące spojrzenie i zadowolona usiadła za stołem. Dziennikarz prychnął lekceważąco, ale i on nie potrafił się oprzeć złocistym placuszkom, które już po chwili zaskwierczały na rozgrzanym oleju, i pociągał nosem, łowiąc smakowite zapachy. Upłynęło kilka minut, a staruszka już stawiała przed nimi talerz pełen chrupiących placków ziemniaczanych. Zojka natychmiast wgrzyła się w gorący przysmak.

– Jeszcze wam usmażę – stwierdziła zadowolona gospodyni, widząc, że goście pałaszują poczęstunek, aż im się uszy trzęsą.

– Tylko po olej do spizarki pójdę, bo tu ino kropelka została. – Zmrużyła oczy, potrząsając plastikową butelką z resztką żółtawej cieczy na dnie.

– To może ja... – Kordecki rycersko poderwał się z miejsca, wciskając do ust resztkę mocno przypieczonego placka.

– Siedź, siedź! – Staruszka machnęła ręką. – Spizarka jest pod schodami, dwa kroki stąd! A i tak byś tam nic nie znalazł, bo ja mam na układanie swój system – obwieściła dumnie i poczłapała w kierunku drzwi.

Na talerzu został ostatni placek. Kordecki i Zojka równocześnie wyciągnęli po niego rękę i zamiast kulturalnie odstąpić sobie chrupiący przysmak, wyrywali go, brudząc palce tłuszczem i popatrując ponuro.

– Zjadłeś trzy... – wycedziła Zojka.

– Ważę więcej, potrzebuję więcej, to chyba jasne – mruknął redaktor. Tuszyńska chciała mu właśnie przypomnieć, że przecież w ogóle nie zamierzał jeść placków, a wizytę w kuchni od początku uważał za stratę czasu, więc czego teraz szuka przy

plackach, które jej zaproponowano, ale placek rozerwał się, każde dostało mniej więcej po połowie i szybko spałaszowało swoją część. Zojka mało elegancko oblizwała palce i wstała, by opłukać dłonie pod kranem. W tej samej chwili po plebanii poniósł się pełen przerażenia krzyk gospodyni:

– Rany boskie, Józefie święty!

Zojka zerknęła na Kordeckiego, Kordecki na Zojkę, po czym jak na komendę rzucili się ku uchylonym drzwiom. Gospodyni stała u podnóża schodów, twarz skryła w spracowanych dłoniach. Zojka podeszła do kobiety, spojrzała na tonące w mroku schody i poczuła, jak przeszywa ją nieprzyjemny dreszcz. Ubrana w długą, barwną suknię Patrysia leżała rozciągnięta na stopniach, w nienaturalnej pozycji, z głową skierowaną w dół. Całkowicie nieruchomo! Młoda dziennikarka dostrzegła strużkę krwi leniwie spływającą z jej skroni i wnikającą w ciemny chodnik pokrywający schody i nie wiedzieć czemu poszybowała myślami ku babuni. No to mamy trupe, pomyślała, przełykając ślinę. Trupe albo...

– Policję trzeba, policję! – lamentowała gospodyni, załamując ręce. Kordecki przykucnął przy nieruchomej dziewczynie i delikatnie zbadał jej puls. Szybko poderwał się na nogi, spoglądając na boki.

– Po co policję? – rzucił zirytowany. – Tutaj potrzebna jest karetka, nie policja! Gdzie moja komórka?

Mężczyzna pospieszył do kuchni, gdzie na oparciu krzesła zostawił kurtkę, a Zojka próbowała uspokoić roztrzęsioną staruszkę. Lada chwila i gospodyni będzie potrzebowała interwencji służb medycznych!

– Chodźmy, chodźmy do kuchni – powiedziała łagodnie, obejmując zaokrąglone plecy staruszki. – Jej i tak nie wolno ruszać, zresztą Marcin zaraz wróci i zostanie z nią do przyjazdu pogotowia. – Zojka uświadomiła sobie, że po raz pierwszy określiła Kordeckiego imieniem, i zrobiło się jej jakoś dziwnie.

Nigdy wcześniej nie pomyślała o nim jako o Marcinie. Zawsze był „pismakiem”, „redaktorzyną” albo „tym bubkiem Kordeckim”.

– Ale policję trzeba zawiadomić! – Kobieta nie ustępowała. – I księdza...

– Z księdzem się jeszcze wstrzymajmy – odparła Zojka, uznając, że staruszce chodzi o ostatnie namaszczenie dla nieszczęsnej Patrysi. Nie widziała też potrzeby wzywania policji. Dziewczyna potknęła się na schodach i zleciała na łeb na szyję. Chodziła z głową w chmurach, marzyła o księciu elfów i cholera wie o czym jeszcze i takie były efekty!

– Ksiądz musi wiedzieć, co się dzieje na plebanii! – upierała się tymczasem gospodyni, wojowniczo splatając ramiona na piersi i popatrując na Zojkę ponuro.

– A, no tak, racja. – Dziennikarka się zreflektowała. – A policji bym nie wzywała, przecież nic podejrzanego się nie stało!

– Nic podejrzanego się nie stało? – Staruszka spojrzała na Zojkę jak na kosmitkę. – Nie wiem, jak tam było w tym wielkim świecie, gdzie panienka wędrowała, ale u nas się ze schodów nie spada ot tak!

– No tak. – Zojka się zasepiła, dostrzegając nagle niezdrowo zaróżowione policzki gospodyni i małą, tycią dosłownie, żądę sensacji. A właściwie to co jej szkodzi sprawić staruszce przyjemność? Przecież nie musiała składać oficjalnego zawiadomienia, bo funkcjonariusz znajdował się dosłownie na wyciągnięcie ręki!

– Policję to sama wezwę – oświadczyła więc ściszym głosem, oglądając się nerwowo na Kordeckiego. – Akurat aspirant Chochołek z komendy powiatowej w Wadowicach jest u nas, więc pobiegnę po niego.

Gospodyni posłała Zojce zdumione spojrzenie, ale posłusznie podreptała do kuchni. Tuszyńska westchnęła głośno. Po sprawie feralnej torebki i jej niezwykłej zawartości mieszkańcy Lipówki traktowali ją z nieufnością. Cóż, nie każdy ma w zwyczaju przewozić pociągiem ludzkie szczątki. I nie każdy

podejmuje herbatką stróża prawa, jakby był dawno niewidzianą ciotką!

Tuszyńska zarzuciła na ramiona płaszcz i bez dalszej zwłoki wybiegła z plebanii. Śnieżycą powoli ustępowała i w powietrzu wirowały już tylko pojedyncze, duże płatki. Na ulicy natknęła się na wysiadającą z samochodu Karolinę. Na widok Zojki żona Jedynaka uśmiechnęła się promiennie i wesoło pomachała ręką.

– Wypadek! – wysapała z trudem dziennikarka, omijając bez zatrzymywania się luksusowy wóz Karoliny. Kątem oka zauważyła, że kobieta stanęła jak wryta i wpatruje się w nią okrągłymi ze zdumienia oczyma, więc rzuciła przez ramię. – Wydarzył się wypadek! Patrysia spadła ze schodów!

Pobladła Karolina trzasnęła drzwiczkami i biegiem rzuciła się ku drzwiom prowadzącym na plebanię, a Zojka pobiegła dalej, w kierunku przejazdu kolejowego i drogi w wąwozie.

Sprowadzenie Chochołka na miejsce wypadku nie było łatwym zadaniem. Najpierw należało stróża prawa pozbawić drewnianego wałka, którym wciąż nacierał na zagniecione przez siebie burawe ciasto, oraz wyplątać ze zwojów barwnego nylonu. To ostatnie okazało się szczególnie trudne, ponieważ tasiemki zaciśnięte spoconymi ze zdenerwowania rękami aspiranta wymagały użycia kuchennego noża.

Następnie trzeba było w miarę dyskretnie poinformować stróża prawa o charakterze zdarzenia, co było zupełnie pozbawione sensu, bo wszystko i tak dotarło do zarumienionych uszu babuni. A w następstwie tego, że dotarło, biedna Zojka musiała uświadamiać i tłumaczyć, że wcale nie chodzi o miejsce zbrodni, a nawet jeśli chodzi, to obecność starszych pań jest tam zupełnie zbędna.

Po krótkich przepychankach słownych obrażona babunia przykleiła się do pieca, a Zojka i Chochołek wyruszyli do wsi. Po drodze rozpromieniony aspirant tłumaczył młodej dziennikarce,

jak za pomocą rozwiniętego w sobie kunsztu cukierniczego zamierza wkraść się w łaski matki Klary, z kolei Zojka usiłowała przedstawić mu wszystkie fakty związane z wypadkiem biednej Patrysi. Po chwili jednak machnęła ręką, bo aspirant bujał w obłokach i to do tego stopnia, że gdyby w ostatniej sekundzie nie pociągnęła go za rękaw, wlaźby pod nadjeżdżający pług i sam stałby się ofiarą wypadku.

Na szczęście po przybyciu na plebanie Chochołek wskoczył w skórę profesjonalnego stróża prawa i przybrawszy surową minę, zabrał się do rzeczy. Do tego stopnia, że już na wstępie zaatakował nieświadomego księdza Seweryna, pytając, kim jest i czego, do cholery, tu szuka. Zojka, która szybko zainteresowała, wpychając Chochołka w głąb budynku, podejrzewała, że przepędzanie właścicieli sutanny jest kolejnym elementem wcielania się wadowickiego stróża prawa w serialowego Oresta Możejke.

Gdy aspirant i Zojka przepchnęli się na miejsce wypadku, przed budynek właśnie zajechała karetka pogotowia, więc pospiesznie rozgonili gapiów, którzy w międzyczasie zebrali się w korytarzyku. Nad nieruchomą Patrysią pochyłili się ratownicy medyczni, a pozostali – Chochołek, Zojka, pochmurny Kordecki i zapłakana Karolina – bez słowa obserwowali ich działania.

Po chwili dziewczyna została zabezpieczona na noszach, a do grupki stojącej pod ścianą podszedł lekarz.

– Na chwilę obecną możemy stwierdzić złamanie prawej ręki i silne stłuczenie głowy. Dalszą diagnostykę przeprowadzimy w szpitalu. Gdyby chcieli państwo powiadomić rodzinę, zabieramy pacjentkę do Wadowic.

– Przeżyje? – zapięła nieswoim głosem Karolina.

– Jest nieprzytomna, ale parametry życiowe są w normie. Więcej dowiemy się po wykonaniu badań.

– Miejmy nadzieję, że skończy się na złamanej ręce – mruknął Kordecki.

– I rozbitej głowie. – Na wspomnienie strużki krwi spływającej po skórze Zojką wstrząsnął dreszcz.

Nosze z nieruchomą Patrysią wyniesiono do ambulansu, a zebrani spojrzeli po sobie niepewnie. Ciszę przerwała Karolina, sięgając do kieszeni eleganckiego płaszcza.

– Zadzwoń do Piotra. Na pewno może się jakoś skontaktować z rodziną tej dziewczyny.

– A ja przyjrę się miejscu zdarzenia – chrząknął Chochołek. Kordecki uśmiechnął się krzywo.

– Pan aspirant już działa, jak widzę. Zojka trzyma pana w kieszeni i dobywa w razie potrzeby? – skomentował ciut złośliwie obecność stróża prawa. Zabrzmiało to dwuznacznie, więc policjant pokrył się buraczkowym rumieńcem, a Tuszyńska poczuła się zobowiązana do udzielenia wyjaśnień.

– Pan aspirant był właśnie u babuni. Na kursie cukierniczym – obwieściła. Redaktor spojrział na nią z politowaniem.

– Kursie cukierniczym, czego ty jeszcze nie wymyślisz...

Zojka wzruszyła ramionami i obróciła się do dziennikarza plecami. W takim momencie z pewnością był „tym bubkiem Kordeckim”, a ona z bubkami rozmawiać nie zamierzała. Nie miała ochoty tłumaczyć temu zarozumiałemu człowiekowi, że sprowadziła policjanta po to, by sprawić przyjemność gospodyni proboszcza. Tym bardziej, że po przeanalizowaniu całej sytuacji stwierdziła, że nie miało to większego sensu...

Zamiast tego obserwowała, jak Chochołek pochyla się nad ciemną plamą na chodniku i z miną znawcy taksuje spojrzeniem schody.

– Wygląda na to, że poszkodowana spadła z tych schodów.

– Na to wygląda – zgodziła się Zojka, zerkając nerwowo na oniemiałego dziennikarza.

– Ciekawe dlaczego – dumiał dalej aspirant.

– Może dlatego, że się potknęła? – podsunął uprzejmie redaktor.

– Może, może, ale czego tam szukała?

– Na górze jest pokoik, który ksiądz proboszcz udostępnił

aktorom na przebieralnię – wyjaśniła Zojka.

– To by tłumaczyło tę dziwną sukienkę. – Aspirant skinał głową. Zojka machinalnie przytaknęła. Kordecki wznosił oczy do sufitu. Policjant nic sobie z tego nie robił, wspiał się schodami na podest półpiętra, a następnie na poddasze. Uszu zebranych na dole dobiegło skrzypnięcie otwieranych drzwi i lekkie kroki. Po chwili drzwi ponownie skrzypnęły, a na schodach pojawił się zadowolony z siebie stróż prawa.

– Na górze znalazłem ubranie ofiary. – Obwieścił triumfalnie.

– Ofiary? – Kordecki się skrzywił. – To już pan aspirant stwierdził, że doszło do przestępstwa?

– Tak czy siak jest ofiarą – wtrąciła Zojka. – Wypadku, co nie?

– Jeśli sama się potknęła – dumął Chochołek – jest ofiarą losu. Ale jeśli ją na przykład zepchnięto...

– Zepchnięto? – Kordecki zdębiał. – Dlaczego, na litość boską, ktoś miałby ją spychać ze schodów?

– Może nadepnęła komuś na stopę... – zasugerował aspirant z dziwnym błyskiem w oku, a Zojka odruchowo obejrzała się w stronę drzwi wyjściowych, za którymi zniknęła Karolina.

Albo na odcisk, pomyślała i nagle poczuła, że zrobiło jej się zimno.

Wypadek Patrysi zaburzył rytm przygotowań do przedstawienia. Aktorzy nie mówili o niczym innym, jak o upadku nieszczęsnej Calineczki, a przejęty ksiądz proboszcz pół dnia spędził na kolanach, i to bynajmniej nie poświęcając się żarliwej modlitwie, ale wnikliwie badając powierzchnię schodów i szukając jakiegokolwiek nierówności czy wypukłości, o którą przyszła królowa elfów mogłaby zahaczyć obcasem.

Ze szpitala dotarły optymistyczne wieści, że ofiara wypadku żyje i żyć będzie, choć przez pewien czas w gipsie. Mimo to na plebanii zapanowała niewesoła atmosfera, podsycana

dotatkowo niepokojem o kota gospodyni, który niespodziewanie przepadł. Zojka, której los zwierząt był bliższy niż ludzi, pomagała staruszce w poszukiwaniach, przedzierając się przez skłębione zarośla w ogrodzie plebanii, zaglądając do przepustów drogowych i rowów melioracyjnych.

– Pewnie wrócił do domu, zobaczył, że jakaś taka leży rozciągnięta na jego miejscu i stwierdził, że pora zwijać żagle – snuła przypuszczenia babunia. – Ja go tam doskonale rozumiem. Mnie też próbowali pozbawić majątków, ale się nie dałam. No, ale kot jest mniejszy.

– I nie ma siekierki – dopowiedziała kąśliwie Zojka.

– Co prawda, to prawda. Idziesz dziś na próbę? Odbędzie się to całe przedstawienie w ogóle?

– Musi się odbyć! – Młoda dziennikarka gorączkowała się. – Data spektaklu ustalona, zaproszenia wydrukowane, sponsorzy przygotowani na wklepanie kodów pin czy innego diabelstwa do swoich rachunków bankowych. Nie można odwołać!

– W takim razie do dzieła – zagrzewała babunia. – A ja się chyba z tobą do wsi przejdę, bo dawno mnie tam nie widzieli. Jeszcze pomyślą, że umarłam.

Zojka parsknęła śmiechem, ale obrzuciła starszą panią przepelnionym ulgą spojrzeniem. W rzeczywistości to przesiadywanie babuni w czterech ścianach zaczynało ją niepokoić. Przecież Zofia nie cierpiała bezruchu, zawsze wynajdywała coś do roboty w obejściu. Najlepiej czuła się w swoim półdzikim ogrodzie, gdzie w wolnej chwili zajmowała ławeczkę pod modrzewiem i wyglądała w stronę wąwozu, czy jakie lichy nie skrada się po jej majątki. Lubiła też przeparadować główną ulicą wsi, zajrzeć do delikatesów, na cmentarz i do kościoła, odwiedzić Guzikową albo inną mieszkankę Lipówki i niestraszne jej były upały czy deszcze. Zojka ucieszyła się, że staruszka wraca na dawne tory!

– Idzie wiosna! – Starsza pani pociągnęła nosem, gdy tylko znalazły się na ganku.

– Jest druga połowa stycznia.

– Zobaczysz, w lutym będziemy zbierać stokrotki – prorokowała babunia. – Powinnaś mnie słuchać, bo jestem starsza i doświadczona. I zawsze mam rację. Jak z przedstawieniem. Mówiłam, że wypadek murowany...?

Zojka prychnęła pod nosem, równocześnie walcząc o zachowanie równowagi na śliskiej ścieżce. Już chciała przypomnieć babuni, jak ta zapowiadała brak zimy, a potem z niedowierzaniem witała śniegi i tęgie mrozy, ale ugryzła się w język. Istniały rzeczy, których babuni Łyczakowej lepiej było nie wypominać!

– Odwiedzę twoją matkę – zapowiedziała babunia, gdy przystanąły przed plebanią. – Muszę zasięgnąć informacji o ślubie Zosi i tego donżuana à la Fidel Castro!

Zojka potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Stojąc w bramie plebanii, odprowadzała wzrokiem drepczącą staruszkę, aż ta zniknęła za kępą brzoź rosnącą przed domem Tuszyńskich. Dopiero wtedy odetchnęła głęboko i ruszyła do wejścia, po drodze rozsypując szalik.

Zwariowany ten dzień.

Czy jeszcze coś ją dzisiaj zaskoczy?

– Policja kręci się na górze – szeptem zdradziła Zojce rozgorączkowana Guzikowa. Dziewczyna odruchowo rozejrzała się na boki, choć z oczywistych względów nie mogła dostrzec kręcących się funkcjonariuszy. Zauważyła za to wyraźne poruszenie wśród zgromadzonych aktorów, a także zdenerwowanie Karoliny, która nie potrafiła ich okiełznać.

– Cisza! – Żona Jedynaka trzasnęła plastikową podkładką o deski podestu z taką siłą, że ta pękła na dwie części. – Wracamy do pracy! To, co spotkało Patrycję, jest smutne, ale jak to się mówi: szołmastgołon!

– Jaki mołgon znowu? – Leośka posłała Tuszyńskiej spanikowane spojrzenie i z energią zaczęła przerzucać strony

scenopisu. – To jakaś nowa postać? Nie było tego w książce! – gulgotała oburzona.

Zojka uśmiechnęła się pod nosem. Czego jak czego, ale zaangażowania Guzikowej odmówić nie było można. Gdy tylko otrzymała rolę matki ropucha, pospieszyła do niedużej biblioteki działającej przy szkole podstawowej w Lipówce i wypożyczyła wszystkie dostępne wydania baśni Andersena. Czytała je potem długimi wieczorami, siedząc przy rozgrzanym piecu kaflowym i pogryzając włoskie orzechy „na działanie mózgu”.

– Ciii... – Zojka spostrzegła wściekłe spojrzenie, jakim obrzuciła je Karolina, i starała się uciszyć sąsiadkę. Guzikowa zatopiła się w scenopisie, poszukując tajemniczego mołgona, a pani reżyser obwieściła, że pora wybrać inną Calineczkę.

– A może Patrysia wróci? – Dobiegło gdzieś z tylnych rzędów. Zojka obejrzała się za siebie, aż krzesło, na którym siedziała, wydało nieładny, zgrzytliwy dźwięk. Spojrzenie młodej dziennikarki skrzyżowało się ze spojrzeniem siedzącego w ostatnim rzędzie Kordeckiego i mężczyzna ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Nawet jeśli wróci, to ja nie chcę widzieć na scenie Calineczki z ręką w gipsie! – warknęła w odpowiedzi Karolina. – No, sami powiedzcie, jak by to wyglądało?

– W takim razie kto?

– A kto jest chętny? – odpowiedziała pytaniem dowodząca.

Wśród ślicznotek, które z racji braku lepszej opcji zostały obsadzone w rolach kwiatów, drzew i barwnych motyli, natychmiast podniósł się las rąk. Karolina jęknęła, a Zojka zaśmiała się w duchu: wszystko wskazywało na to, że po raz kolejny będą musiały przeżyć horror castingu, przy którym *Lśnienie* Stephen Kinga było bajką dla pięciolatka. Zrezygnowana sięgnęła po kawałki plastiku i przyłożyła je do siebie, aby sprawdzić, czy uda się uratować podkładkę, kiedy drzwi do sali otworzyły się z hukiem, a do środka wparował czerwony na twarzy Jedynak, a za nim lekko zakłopotany Paweł

Chochołek.

Na widok aspiranta Zojkę tknęło złe przeczucie. Przez ostatnie dni starała się nie myśleć o tym, że być może w tę mało komfortową podróż po stromych schodach plebanii ktoś Patrysię wysłał, ale teraz, wpatrując się w zaciętą minę biznesmena, zrozumiała, że przedstawienie jest zagrożone. Jakby na potwierdzenie jej myśli Piotr Jedynak zamachał w kierunku żony potężnymi łapskami i wskazał stropionego Chochołka.

– Ten... – zawahał się, zmlął w ustach przekleństwo, po czym dokończył z krzywym uśmiechem – dżentelmen... mówi, że nasze przedstawienie nie może się odbyć!

– Jak to? – Karolina osłupiała.

– Mówi, że to nie jest bezpieczne!

– Bezpieczne? – powtórzyła Jedynakowa, marszcząc brwi, jakby nie rozumiała znaczenia tego słowa.

– Tak, droga pani. – Chochołek odchrząknął. Jego oczy wyłuskały wśród siedzących Zojkę i aspirant uśmiechnął się słabo. – Należy przerwać wszelkie przygotowania, ponieważ stanowią one zagrożenie dla uczestników.

– A co, dach nam zleci na łeb? – Jedynak obrzucił znaczącym spojrzeniem zniszczony sufit plebanii.

– Czy zleci? A kto wie, może zleci. – Chochołek wzruszył ramionami. – Ja tam się na dachach, proszę pana, nie znam. Znam się za to na przestępstwach i wiem, że właśnie tu jedno popełniono.

Wśród zebranych rozległy się stłumione głosy. Zojka zerknęła w kierunku Kordeckiego, a redaktor w odpowiedzi wzruszył ramionami, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Nie wiem, o co tu chodzi”. Karolina zeskokczyła z podestu i zbliżyła się do stróża prawa z groźnie zaciśniętymi pięściami. Chochołek odruchowo cofnął się o krok, a Jedynak poczerwieniał jeszcze mocniej.

– Co pan mi tu pierniczy? – wyrzucił z siebie, gniewnie parskając śliną. – Jakie pierniczone przestępstwo? No, jakie?

– Usiłowanie zabójstwa. Przesłuchałem w szpitalu panią Patrycję Oleś. Poszkodowana zeznała, że ktoś zepchnął ją ze schodów.

– Co?! Kto?! – warknął przedsiębiorca. Zojka przełknęła głośno ślinę, a Chochołek pociągnął się za żółtawą grzywkę i pokręcił głową.

– A tego, proszę pana, to ja się dopiero dowiem.

• ROZDZIAŁ PIĄTY •

– No i widzisz, tyle zamieszania było na castingach z odsiewaniem tych wszystkich utalentowanych aktorek. – Karolina poruszyła palcami w powietrzu, jakby wykonywała znak cudzysłowu. – A wystarczyło powiedzieć, że na odtwórczynię głównej roli poluje morderca, i same się odsiały!

Zojka niepewnie rozejrzała się po opustoszałej sali. Po tym, jak aspirant Chochołek podzielił się z nimi zeznaniami nieszczęsnej Patrysi, wśród potencjalnych kandydatek do roli Calineczki zapanowało gorące poruszenie. Jedna po drugiej dyskretnie zniknęły za drzwiami, aż wreszcie pod sceną pozostała tylko pochłonięta czytaniem scenopisu Guzikowa oraz pochrapujący w najlepsze Michniak.

– Oj tam, morderca zaraz! Może przez przypadek ją popchnął, a teraz boi się przyznać? – próbowała pocieszyć załamana kobietę Tuszyńska. Towarzyszyły jej małe wyrzuty sumienia. Oczywiście to nie jej wina, że nieszczęsna Patrysia została napadnięta, no ale kto sprowadził na miejsce policję, no kto?

– Kto w ogóle sprowadził na miejsce policję? – piekliła się żona Jedynaka. – Całe przedstawienie szlag trafił. Nie mamy Calineczki, a próby stoją w miejscu! Zresztą po co nam Calineczka i próby, skoro ten śmieszny aspirancik chce nam zakazać przedstawienia? To wszystko nie ma sensu! – zapłakała.

Zojka przełknęła głośno ślinę.

– Porozmawiam z nim.

– Ty? – Karolina nie kryła zdumienia. Zojka wzruszyła ramionami, siłąc się na obojętność.

– Znamy się. Trochę.

– Nie wiem, czy to w ogóle coś da. – Pani reżyser smutno potrząsnęła głową.

– Ale spróbować nie zaszkodzi. A o Calineczkę się nie martw. To prestiżowa rola, na pewno znajdzie się chętna.

– Pewnie – ironizowała Karolina. – Tak prestiżowa, że ktoś posunął się do przestępstwa, żeby wyeliminować dziewczynę, która ją otrzymała!

Zojka wytrzeszczyła oczy.

– Myślisz, że o to chodzi? O rolę w przedstawieniu?

– No a o cóż innego? – zachnęła się Karolina. Nagle wyraz jej twarzy uległ zmianie i w miejsce złości pojawiło się rozgoryczenie. – To przedstawienie musi się odbyć! Te kobiety liczą na budowę domu, w którym znajdą schronienie przed swoimi dręczycielami. Nie możemy ich zawieść!

– Nie martw się! – powtórzyła Zojka, niezdarnie klepiąc żonę Jedynaka po łopacie. – Wszystko pójdzie zgodnie z planem. Załatwię sprawę z aspirantem, a do roli Calineczki mamy co najmniej jedną chętną osobę!

– Kogo? – Oczy Karoliny powędrowały w kierunku zaczytanej Guzikowej i zmrużyły się podejrziwie.

– Jak to kogo? Sama mówiłaś, że ktoś zrzucił biedną Patrysię ze schodów, bo pozazdrościł jej roli. Skoro ta osoba była owładnięta chęcią odegrania Calineczki do tego stopnia, by dopuścić się ataku, teraz powinna się po nią zgłosić. Po rolę, znaczy, nie po Calineczkę. Upieczemy więc dwie pieczenie przy jednym ogniu. – Zojka się rozpromieniła. Zdumiona Karolina najwyraźniej nie nadażała za Tuszyńską, więc ta wyjaśniła z głośnym westchnieniem: – Wystawimy przedstawienie i jeszcze

wskażemy aspirantowi winnego napaści! Układzik taki.

– To nam chyba nie przejdzie... – Pani reżyser się zawahała.

– Pewnie nie – zgodziła się pogodnie Zojka. – Ale spróbować nie zaszkodzi, prawda?

Ulica Lwowska tonęła w roztopionej brei. Stojąca na przejściu dla pieszych Zojka z niechęcią spojrzała na swoje botki i westchnęła. Na prognozach babuni wyszła jak Zabłocki na mydle: skoro zimy miało nie być, doszła do wniosku, że zimowych butów nie potrzebuje. Teraz czuła, jak jej palce bawią się ze sobą w wodnego berka, i myślała, że chyba jednak zainwestuje w porządne obuwie. Najlepiej gumowce rybackie.

Kiedy sznur wolno sunących samochodów ustąpił jej miejsca, porzuciła myśli o przemoczonych stopach i pobiegła w kierunku budynku komendy. Wcześniej zadzwoniła do Chochołka i upewniła się, że grzeje wyściełane krzesło w swoim pokoiku. Co prawda aspirant na wszelkie możliwe sposoby odradzał jej wizytę, zasłaniając się ciężką pracą, ale Zojka nie zamierzała tak łatwo odpuścić. Zaćwierkała coś radośnie o niespodziance, porwała z półki pierwszą z brzegu książkę kucharską i pognęła wypełniać chwalebna misję.

Siedzący w dyżurce młody policjant spojrzał na nią podejrzliwie, ale ledwie uchyliła usta, by wyjaśnić, z jaką sprawą przychodzi, zamachał niecierpliwie ręką i ruchem brody kazał jej ruszyć w głąb budynku. Zojka wzruszyła ramionami, chlupnęła butem, czerwieniejąc po koniuszki uszu, i posłusznie oddaliła się we wskazanym kierunku. Pod drzwiami Chochołka zawahała się na moment i westchnęła. Swoją drogą, to chyba dziwne, tak dobrze znać budynek komendy? I jeszcze czuć się w nim tak swobodnie?

Za to Paweł Chochołek z pewnością nie czuł się swobodnie z kolejną wizytą panny Tuszyńskiej. Na widok Zojki sapnął niecierpliwie, pokręcił głową i zagapił się w okno. Młoda dziennikarka uznała, że nie ma czasu do stracenia, dobyte

z materiałowej torby opasła księgę i bezceremonialnie wepchnęła policjantowi do rąk.

– W toku najnowszych zainteresowań pomyślałam, że to panu podrzucę – oświadczyła zadowolona z siebie, zajmując krzesło naprzeciw Chochołka.

Zbaraniały aspirant obracał w dłoniach książkę, marszcząc wzrok nad jej frontem, tylną okładką i grzbietem. Zojka obserwowała to spod zmarszczonych brwi, aż w końcu nie wytrzymała, pochyliła się nad biurkiem i gwałtownie wyrwała Chochołkowi księgę, po czym trzasnęła nią o blat biurka, wskazując tytuł.

– Tu się zaczyna – uświadomiła, postukując palcem w połączone litery.

– Przecież wiem – warknął Chochołek niezbyt miło. – Po prostu zastanawiam się, na jaką cholere potrzebne mi *Tysiąc przepisów kuchni gruzińskiej?*

– Och! – Zojka na moment straciła rezon, ale zaraz wzruszyła niedbale ramionami i mruknęła. – No przecież w Gruzji też pieką placki, nie? Myślał pan, że tylko wino piją gruzińskie i jedzą te swoje chaczapuri? Byłam kiedyś w gruzińskiej knajpie na Floriańskiej i normalnie tam szarlotkę mieli! – paplała. Co prawda w gruzińskiej knajpie Zojka zamawiała wyłącznie kurczaka z frytkami i zestawem surówek, czyli danie nie całkiem gruzińskie, a obecności szarlotki do końca pewna nie była, ale tym się z aspirantem dzielić nie zamierzała. Za to zadowolona z faktu, że przygotowała grunt pod sprawę, z którą naprawdę zjawiała się na komendzie, rozluźniła się i obdarzyła aspiranta szerokim uśmiechem.

Na sam widok tego uśmiechu na czoło stróża prawa wystąpiły kropelki zimnego potu.

– O Boże – wymamrotał nieszczęśliwym tonem. – Czego pani chce?

– Ja? – Zojka potrząsnęła głową z niewinnym uśmiechem. – Pomyślałam, że skoro już jestem w Wadowicach...

– Przecież jest tu pani codziennie. Pracuje pani w mieście.

– ... to wpadnę i zapytam, czy trafił pan na ślad tego zwyrodnialca, który zaatakował biedną Patrysię.

– Biedną Patrysię – powtórzył Chochołek, drapiąc się po niedokładnie ogolonym policzku. – Przecież pani wie, że ja nie mogę, ani słoweczkiem...

– A pan chyba zapomina, z kim ma do czynienia. – Zojka przerwała mu bezceremonialnie. – Ma pan coś czy nie?

– Pani Zojko, prowadzone są działania operacyjne...

– To ja się domyślam. Słyszałam, że lekarze musieli tej nieboraczce zespalać kości śrubami. Ale mnie chodzi o działania policji...

– A mnie to o jakie chodzi? – Aspirant się obruszył i zaraz uściślił z ważną miną. – Moi ludzie przesłuchują świadków zdarzenia.

Zdezorientowana Zojka rozejrzała się po opustoszałym pokoju.

– Ma pan ludzi? – zapytała zdumiona.

– A owszem – nie bez dumy przyznał policjant. – Dodyspozycji – dodał zadowolony z siebie i przypomniał sobie, jak po wizycie u połamanej Patrysi zaszedł do gabinetu szefa i zaaferowany podzielił się z nim uzyskanymi od niej informacjami. Twierdzi, że została zepchnięta, ktoś próbował ją zamordować! Oczyma wyobraźni aspirant ujrzał swoje wymarzone śledztwo, a równie przejęty Bryczka pokiwał głową, mówiąc: „To brzmi poważnie, proszę się tym zająć. Sprawa wymaga delikatności, ponieważ wkraczamy na terytorium kościelne! Dostanie pan dwóch ludzi do dyspozycji!”.

Chochołek uśmiechnął się na samo wspomnienie, a Tuszyńska posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

– Świadków zdarzenia? Jakich niby? – skrzyżowała ramiona na piersi. – Przecież tam nikogo nie było!

– Toteż przesłuchania szybko nam poszły.

– A ze mną nikt nie rozmawiał! – uniosła się.

– Spokojnie, pani Zojko, spokojnie. Wszystko w swoim czasie.

Działyśmy dyskretnie i... – Zawahał się nagle. – A po co pani tu przyszła? Bo nie uwierzę, że chciała mnie pani skłonić do poszerzania tych, no, horyzontów kulinarnych.

– Czemu nie? – niewinnie spytała Zojka. – A przyszłam też, bo zaniepokojona jestem pana słowami. Chce pan zapobiec wystawieniu *Calineczki*?

Stróż prawa bezradnie rozłożył ręce.

– A jak inaczej mam zapewnić wam bezpieczeństwo? Dzisiaj Patrysia, jutro Guzikowa, a pojutrze pani może mieć kończyne na wyciągu!

– Kończynę to pan ma zamiast mózgu! – prychnęła Zojka. – Policja to naprawdę działa na łapu-capu i w ogóle nie myśli o konsekwencjach!

– Ja właśnie myślę wyłącznie o konsekwencjach – oburzył się Chochołek. – I chcę im zapobiegać!

– A nie pomyślał pan o tych biednych samotnych matkach, które nie mają się gdzie podziać? Może weźmie je pan do swojego mieszkania? – Tuszyńska spojrzała na policjanta z politowaniem. – Dzieci pobawią się z kanarkiem...

– Co?! – Na myśl o rozwrzeszczanych bacho... dzieciach ganiających naokoło klatki z Kleofasem, wpychających ciekawskie palce między jej pręty i zaczepiających biednego ptaszka Chochołek poczuł, jak zasycha mu w ustach. Posłał Zojce dzikie spojrzenie. – O czym pani mówi, do cholery?

– Jeśli przedstawienie się nie odbędzie, sponsorzy groszem nie sypną, to chyba jasne? – Zmarszczyła brwi. Chochołek również zmarszczył brwi, pociągnął się za wilgotną grzywkę i wolno skinął głową, więc kontynuowała. – A skoro groszem nie sypną, budowa ośrodka się nie rozpocznie i gdzie te biedne kobiety się podzieją? Na ulicę pójda?

– Wystawicie inne przedstawienie – niepewnie skwitował Chochołek. – Później. Kiedy sytuacja zostanie jużopanowana.

– Taaa! – Zojka parsknęła śmiechem. – A podobno ma pan na względzie nasze bezpieczeństwo? Wystawimy *Dziewczynkę*

z zapalkami i jakiś psychopata nas podpali. Albo *Szewczyka Dratewkę*, który skończy się ciasteczkami nadziewanymi siarką!

– Nic podobnego! Sprawca zostanie schwytany wcześniej! – zadeklarował płomiennym tonem aspirant, który nie brał pod uwagę innego scenariusza.

– Tere fere! – zakpiła Zojka. – I gdzie pan go będzie szukał?

– Tere...? – Chochołek wybałuszył oczy.

– Jeśli rozgoni pan towarzystwo, sprawca też pójdzie w diabły.
– Zojka wzruszyła ramionami. – Jedynym sposobem, by trafić na jego ślad, jest kontynuowanie przygotowań do przedstawienia jakby nigdy nic i prowadzenie dyskretnych, jak pan to określa, działań operacyjnych.

Chochołek milczał, wpatrując się w Zojkę ponuro. Powoli docierało do niego, że Tuszyńska może mieć rację, ale za nic nie zamierzał tego przyznać. Przecież wszystko zapowiadało się tak pięknie. Przesłuchanie oszołomionej Patrysi, przeszukania na starej plebanii, a do tego poczucie, że to właśnie w jego rękach ważą się losy przedstawienia i zagrożonych szaleństwem grasującego mordercy aktorów! Już wyobrażał sobie, jak odwiedza mieszkanie Klary, kładzie na stole przed jej matką porcelanowy talerz z własnoręcznie upieczonym ciastem i wtrąca mimochodem: przepraszam, że nieco przypalone, ale pochłonęło mnie prowadzone śledztwo. Właśnie schwyciłem napastnika, który na plebanii w Lipówce usiłował zamordować odtwórczynię głównej roli!

– I kto niby miałby prowadzić te dyskretnie działania operacyjne? – zapytał pozornie obojętnym tonem.

– No chyba że nie pan! – prychnęła Zojka, a widząc, jak jego oczy robią się okrągłe ze zdumienia, dodała szybko. – Dobrze pana znają i nikt swobodnie przy panu atakował nie będzie. Może wyśle pan kogoś ze swoich ludzi? Wcieli się w jakąś niewiele znaczącą postać i będzie obserwował, kto ma chrapkę na Calineczkę?

– Chrapkę na Calineczkę? – zdumiał się aspirant. – O co tu chodzi? – dopytywał, więc Zojka czym prędzej wyjaśniła, do

jakich wniosków doszła wspólnie z Karoliną Jedynak. Myśl, że ktoś zepchnął Patrysię ze schodów, by przejąć po niej tytułową rolę, wydała się jednak policjantowi mało prawdopodobna i kręcił nosem nad takim motywem. Zojka rozzłościła się.

– Pewnie! Bo panu to się zaraz marzy wielka zbrodnia z namiętności albo tajemnica rodzinna! – sarknęła. – A ludzkie pobudki są dużo niższe! Jestem przekonana, że chodziło o najzwyklejszą urazę lub zazdrość.

– Możliwe – zgodził się aspirant po chwili wahania. – Ale nawet jeśli jest tak, jak pani mówi, mam pozwolić, by kolejna dziewczyna uczyła się latać? Albo skończyła dźgnięta motylą nogą czy co wy tam jeszcze macie w rekwizytach? Nic z tego, pani Zojko! Nie zgadzam się!

– Gadał dziad do obrazu... – warknęła Tuszyńska.

– Pozwolę kontynuować przygotowania do przedstawienia, ale pod kilkoma warunkami.

– ...

– Po pierwsze, upchniemy gdzieś mojego człowieka, by miał na oku tych waszych aktorów.

– Popieram.

– Po drugie, usuniecie wszystko, co stanowi zagrożenie: noże, wykałaczki i detergenty. – Zojka przewróciła oczami, chcąc uświadomić aspirantowi, że wystawiają całkiem niewinną baśń Andersena, ale okazało się, że policjant jeszcze nie skończył. – No a po trzecie, zagra pani tę cholerną Calineczkę.

– Ja? – Tuszyńska zdębiała. – Ale przecież ten zwyrodnialec...

– Nie chce pani? – Chochołek uśmiechnął się chytrze. Zojka poczuła mrowienie w dole kręgosłupa.

– No skoro pan nalega...

Zojka wracała do domu w wyśmienitym humorze. Pnąc się drogą w wąwozie, rozmyślała, jak to dobrze, że przedstawienie

zostało uratowane i trafi na sceny lokalnych instytucji kulturalnych, podsypując groszem fundamenty domu samotnej matki. Do tego czuła to charakterystyczne łaskotanie w żołądku. Myśl, że kiedy oni będą ciężko pracować pod nadzorem Karoliny i powtarzać swoje kwestie, niedoszły morderca Patrysi być może zaplanuje kolejny niecny uczynek, była niepokojąca, a zarazem dziwnie podniecająca.

I jeszcze zakonspirowany policjant, i toczące się gdzieś w tle śledztwo! Zojka aż się paliła, by poznać tego tajemniczego funkcjonariusza, którego oddano do dyspozycji dumnego z siebie Chochołka, ale młody stróż prawa miał akurat wolne, więc musiała poczekać cierpliwie, aż osobiście zjawi się w Lipówce.

O prawdziwej tożsamości policjanta mieli wiedzieć tylko Chochołek, Zojka i Karolina, choć nad tą ostatnią aspirant długo kręcił nosem, tłumacząc, że im więcej osób wie o akcji, tym mniejsza szansa jej powodzenia. Tuszyńska nie mogła odmówić mu racji, ale nie potrafiła wyobrazić sobie zatajenia przed Karoliną obecności funkcjonariusza. Zastanawiała się też, czy do uszu Chochołka dotarło już, jak „ciepło” pani reżyser powitała na scenie podsuniętą przez męża aktorkę i czy Karolina wylądowała na samym szczycie sporządzonej przez stróża prawa listy podejrzanych. Ona sama nie raz i nie dwa zastanawiała się, czy pchnięta zazdrością o męża (lub o stery na scenie) Jedynekowa byłaby w stanie posunąć się do napaści. Na szczęście w chwili wypadku nie było jej na plebanii, więc Zojka porzuciła swoje niepokoje.

Ważne, że przedstawienie się odbędzie! Ależ Karolina będzie szczęśliwa! – cieszyła się Zojka, wychodząc z wozu i wkraczając na ścieżkę wiodącą do ganku. Przechodziła właśnie pod rozłożystymi konarami starej jabłoni, gdy tuż przed jej nosem przeleciała gruda śniegu i z głuchym pacnięciem rozbiła się u stóp. Młoda kobieta stanęła jak wryta i uniosła wzrok w górę. Na tle ciemniejszego nieba i płataniny omszałych gałęzi, drobnych gałązek i gałązeczek wyraźnie odcinał się jasny kształt.

Filip zwinnie dopadł pnia i wczepiając się pazurkami

w szorstką kore, tyłem pokonał odległość dzielącą go od ziemi, po czym majestatycznym krokiem zbliżył się do Zojki, zakręcił ósemkę wokół jej nóg, muskając wyprężonym ogonem kolana, i spojrzął na nią roześmianymi zielonymi oczyma. Tuszyńska parsknęła śmiechem i zagarnęła w ramiona ulubieńca.

– Bawisz się ze mną w śnieżki, łachudro? – przemówiła czule, a kot odpowiedział jej zachwyconym mruczeniem. – Mam ci pokazać, na czym polega ta zabawa? To ci się nie spodoba!

Rozbawiona Zojka uchyliła drzwi do sieni, wypuściła z objęć Filipa i zsunęła przemoczone botki. Koniec zabawy, pomyślała, poruszając palcami w kolorowych skarpetkach, jutro po pracy idę kupić porządne buty! Zadowolona z podjętej decyzji, wkroczyła do kuchni i stanęła jak wryta.

Babunia Łyczakowa siedziała za stołem ze spuszczoną głową. Pochylała się nad książeczką do nabożeństwa, ale jej myśli najwyraźniej błądziły gdzieś daleko, bo nawet nie zauważyła wejścia wnuczki. Widok babuni z książeczką do nabożeństwa nie był czymś powszechnym, choć starsza pani lubiła od czasu do czasu odśpiewać litanie Najświętszej Paniency, więc Zojka była w stanie przejść nad tym do porządku dziennego. Na widok trzech wilgotnych plamek na stronicach modlitewnika i samotnej łzy spływającej wolno po pomarszczonym policzku poczuła jednak, jak coś ściska ją za gardło.

Przestraszona podeszła do stołu i położyła dłoń na ramieniu staruszki.

– Babciu, co się dzieje?

Wyrwana z letargu babunia podniosła na Zojkę szkliste oczy, po czym energicznie potarła policzki i przyoblekła swój normalny uśmiech. Uwadze dziennikarki nie uszło, że modlitewnik został naprędce przetarty rękawem zielonego swetra i szybko zamknięty. Mimo to Zojka dostrzegła, że spomiędzy kartek wystaje nieduże kolorowe zdjęcie. Nie musiała pytać, kto na nim jest, bo sama podarowała je staruszce. Zostało wykonane pewnego wakacyjnego popołudnia w ogrodzie babuni, a ona, Zosia i Janek tak świetnie się wtedy bawili. Pomagali zbierać maliny, ale oczywiście większość wylądowała

w ich brzuchach i cóż, mieli to wypisane na twarzach, dosłownie.

– Nic się nie dzieje – zaskrzeczała nieswoim głosem staruszka i poklepała Zojkę po dłoni.

– Babuniu, ale ty płaczesz...

– Zaraz tam: płaczesz. – Starsza pani się obruszyła. – To już powspominać nie można w spokoju? Co się tak dziwisz, czasem polecą łza wzruszenia. Nie jestem z kamienia.

– Przecież wiem – westchnęła Zojka. Młoda kobieta zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie krzesła. Nie spuszczała przy tym wzroku z babuni, która wierciła się niecierpliwie na swoim miejscu i najpewniej miała ochotę czmychnąć spod tego spojrzenia. – Tęsknisz za Zosią? – stwierdziła domyślnie, siadając za stołem i ściskając spracowane dłonie staruszki. Babunia Łyczakowa skrzywiła się, jakby rozgryzła wyjątkowo kwaśną śliwkę, ale prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

– Tęsknię za czasami, gdy byliście małymi srajdami i jedynym problemem było dopilnować, żebyście się nie potopili w studni.

– Sarknęła swoim zaczepno-obronnym tonem. Zojka skinęła głową.

– Wszystko się zmienia – westchnęła. Na moment zamilkła, trawiając to, co zamierzała powiedzieć, a potem dodała ostrożnie:

– Wiesz co? Może ja Zosię odwiedzę i zapytam, czy nie potrzebuje jakiej pomocy przy tym ślubie? Głupio tak się nie pogodzić i w gniewie im życzenia składać na nową drogę życia. Nie lubię tego jej sołtysa, ale przecież to prawie moja siostrzyczka! – Tuszyńska poczuła, że udziela się jej nastrój babuni. Lada chwila sama zacznie pociągać nosem!

Opanowała się i spojrzała na babcię pytająco. Co staruszka myśli o jej pomysłe? Powinna być zachwycona, przecież tyle razy wspominała, że kuzynki powinny się pogodzić!

Jednak ku zdumieniu Zojki babunia pobladła.

– A co tak będziesz chodzić... – wymamrotała, gramoląc się zza stołu. – Mało masz zamieszania z tymi teatrami? Mów mi tu lepiej, co załatwiłaś na komendzie!

Zojka zmarszczyła brwi. Coś jej tu nie pasowało. Postanowiła, że i tak zajrzy niby przypadkiem do domu wujostwa i trochę powęszy. To dziwne, że babunia odradza jej zawarcie pokoju z kuzynką. Musiał być jakiś powód, a ona odkryje jaki.

– Na komendzie poszło bardzo dobrze... – wyznała, przyglądając się podejrzliwie, jak babunia przesuwająca czajnik na rozgrzaną blachę. – Przedstawienie się odbędzie, ale Chochołek upiera się, żebym przejęła rolę Calineczki.

– Ty? – Babunia osłupiała. – Rany boskie, a ona nie powinna być jakaś taka zwinna, eteryczna?

– A to ja nie jestem? – Zojka się obruszyła. – Jestem bardzo zwinna! Zatrzymałam się na ścieżce w samą porę, by nie dostać w łeb śnieżną czapą, którą zrzucił na mnie z jabłoni Filip. Mam refleks jak ta lala!

– Obyś miała rację! – prychnęła staruszka. – Akurat ci się przyda, jak polecisz ze schodów na łeb, na szyję!

Urażona Zojka tylko prychnęła pod nosem i udała, że zajmuje ją kocur, który właśnie doszczętnie ogołocił swoją miseczkę i oblizując się, wskoczył na kolana opiekunki. Babunia zakrzętała się przy parzeniu herbaty. Wnuczka obserwowała ją ukradkiem, gładząc rude futerko. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś tu nie gra.

• ROZDZIAŁ SZÓSTY •

Przewidywania Zojki sprawdziły się co do joty: rola Calineczki była na tyle nęcąca, że kandydatek nie odstraszyła nawet wizja ścigającego je po scenie psychopaty. Powróciły na kolejne spotkanie teatru amatorskiego, pokornie zapewniając, że o rolę uroczej dziewczynki z kielicha tulipana są gotowe zawalczyć podczas kolejnego castingu. Nieco zdezorientowana Karolina, która zaledwie parę minut wcześniej została uświadomiona przez Zojkę w kwestii warunków stawianych przez Chochołka, podziękowała im za zaangażowanie.

– Jestem przekonana, że będziecie wspaniałymi kwiatami, motylami i badyłami, to znaczy... drzewami. Ale w roli Calineczki postanowiłam obsadzić Zojkę Tuszyńską – wyjaśniła niepewnym tonem, zerkając na trzymaną w dłoni podkładkę. Podkładka biła po oczach jaskrawą nowością. Poprzedniej nie udało się uratować, choć Zojka nie szczędziła trudu i taśmy klejącej.

Słyszac przemowę pani reżyser, wspomniana uniosła się z krzesła, uśmiechnęła się nieśmiało i wymamrotała pod nosem, że postara się nie zawieść kładzionych w niej nadziei. Odpowiedziało jej kilka stłumionych jęków zawodu, aprobujące chrupknięcie Guzikowej oraz skrzekliwy rechot Kordeckiego. Zaciekawione oczy zebranych natychmiast zwróciły się w kierunku siedzącego w ostatnim rzędzie redaktora,

a Tuszyńska przeszła go morderczym spojrzeniem. Dziennikarz nagle spowaźniał.

– Mówisz serio? – zwrócił się do Karoliny. Kobieta niepewnie zerknęła na przyszłą Calineczkę i skinęła głową. Widząc to wahanie, Zojka poczuła przyływ irytacji i podparłszy się pod boki, prychnęła na Kordeckiego.

– Coś ci się nie podoba?!

– No, prawdę mówiąc... – Mężczyzna nerwowo poruszył się na krześle.

– Co?! – odwarknęła Zojka.

– To...

Spojrzenia zebranych wędrowały od Zojki do Kordeckiego i z powrotem: zupełnie, jakby śledziły wyjątkowo emocjonujący set tenisowy. Karolina, która była świadoma, że temu przedstawieniu bliżej jest do ringu bokserkiego niż zielonych muraw Wimbledonu, wyrwała się z odrętwienia i postanowiła interweniować, zduszając zbliżającą się awanturę w zarodku.

– Może wcielisz się w rolę księcia? – próbowała zażartować. – Bo właśnie nam się aktor wykruszył. Dostał zapalenia płuc! – Uśmiechnęła się szeroko, jakby zapalenie płuc było czymś tak słodkim i rozkosznym jak chmura bitej śmietany zdobiąca pucharek z galaretką albo szczeniaczek labradora.

– Ja? – osłupiał Kordecki. – Nie, nie, ja nie, nie. – Potrząsał głową spanikowany. – Przecież muszę zadbać o oprawę prasową, zrobić zdjęcia, napisać reportaż, przeprowadzić wywiady – tłumaczył się gorączkowo. – Poza tym nie mam, nie mam, nie mam... – Rozpaczliwie szukał odpowiedniego słowa. Zojka postanowiła przyjść mu z pomocą.

– Skoro nie masz, to siedź cicho – poradziła życzliwie. Kordecki zachmurzył się, ale słowem już nie skwitował jej nominacji na odtwórczynię głównej roli.

– A kto będzie księciem, szanowna pani? – zainteresował się tymczasem Michniak. Zojka wychyliła się w jego kierunku i głośno przełknęła ślinę. Pamiętała z przesłuchań, że

mężczyzna otrzymał rolę drzewa, czym był wyraźnie rozczarowany. Miał wyższe aspiracje, twierdził, i teraz łakomie zerkał w kierunku Tuszyńskiej. Karolina potrząsnęła jednak głową.

– To tylko żarty! Mamy już zastępstwo, panie Michniak.

Ciekawe kogo, prychnęła Zojka, popatrując spode łba na redaktora. Najpierw babunia, teraz ten bubek Kordecki – wszyscy byli zdania, że ona się do roli Calineczki nie nadaje. Ale jeszcze im pokaże, da z siebie wszystko i będzie najlepszą Calineczką w historii, będzie lepsza nawet od pierwowzoru Andersena.

– Kogo? – Zaciekawiony Michniak nie odpuszczał, ale głównodowodząca wzruszyła tylko ramionami.

– Dowie się pan w swoim czasie – wyjaśniła.

Zojka domyślała się, że Karolina zamierza obsadzić w tej roli zakonspirowanego policjanta Chochołka i spróbowała wyłowić z najodleglejszych zakamarków pamięci twarze funkcjonariuszy, z którymi zetknęła się podczas wizyt na komendzie. Wyobrażnia cały czas podsuwała jej jednak postać młodego policjanta z dyżurki albo zwalistego wąsacza, który dawno, dawno temu jako pierwszy zjawił się w pociągu, kiedy z jej torebki wychynęła makabryczna zawartość. Żadnego z nich nie widziała u swego boku, więc wstrząsnęła się z niechęcią i ponownie skupiła na słowach Karoliny.

– Musimy dać Zojce trochę czasu, by zapoznała się z rolą. Na szczęście bystra z niej dziewczyna, więc na pewno sobie poradzi – tłumaczyła pani reżyser. Gdzieś z tylnych rzędów dobiegło krótkie prychnięcie. Zojka zacisnęła gniewnie pięści, ale nie pozwoliła się sprowokować. Zamiast tego skupiła się na słowach Karoliny, która tłumaczyła właśnie, jakie to ważne, że spektakl się odbędzie. – Pamiętajcie, że od powodzenia naszego przedstawienia zależy hojność sponsorów i związana z nią budowa domu samotnej matki. Nie możemy zawieść, więc bardzo was proszę o ostrożność. Miejcie oczy naokoło głowy. Nie chcę więcej wypadków! – ostrzegła na koniec.

– Czy to prawda, że Patrycję zaatakowano? – Dobiegło gdzieś z drugiego rzędu.

– Tak twierdzi policja. – Karolina ucięła i zamachała podkładką na znak, że temat został już wyczerpany. – Wracajmy do pracy! Czy osoby odpowiedzialne za dekoracje załatwiły już meble do pierwszej sceny? Nie? To trzeba się tym zająć! Że w baśni nic nie było o meblach? A na czym siedzieli? Trochę kreatywności! Na scenę proszę matkę Calineczki, pani Anastazjo, zapraszam! – wydawała szybkie polecenia. Nagle jej wzrok spoczął na Zojce – Mam dla ciebie scenopis...

– Czy to...?

– Wydrukowałam ci nowy. Ten należący do Patrysi zabezpieczyła policja. Poza tym... trochę się pobrudził... – wyjaśniła pani reżyser.

Zojka dobrze wiedziała, czym „trochę się pobrudził” scenopis Patrysi, i poczuła nieprzyjemne ssanie w żołądku. Zacisnęła dłoń na podanym stosie kartek i zerknęła niepewnie w kierunku wyjścia.

– Nie skupię się przy tym jazgocie. Pójdę do kuchni i poproszę, by gospodyni zrobiła nam herbaty. I tak nie jestem ci teraz potrzebna.

Karolina, która wprost marzyła o rozgrzewającej herbacie z cytryną, uśmiechnęła się z wdzięcznością. Poklepała Zojkę po plecach, po czym odwróciła się na pięcie w kierunku sceny.

– Zaczynamy, pani Anastazjo! Z życiem! Niech sobie pani wyobrazi, jak marzy o malutkim, słodkim dzidziusiu! Jak to: nie pomoże? To niech sobie pani pięćset plus wyobrazi!

Zojka z ulgą zamknęła za sobą drzwi i ściskając scenopis, ruszyła do kuchni.

Kuchnia plebanii w Lipówce była dość obszernym, przytulnym pomieszczeniem ze skrzypiącą, drewnianą podłogą, białym kredensem i dużym piecem z blachą, pod którą wesoło buzował

ogień. Stojący w rogu stół przykrywała błyszcząca cerata w duże kwiaty, a w wąskich oknach wisiały falbaniaste zasłonki w niebieską kratkę. Parapety wypełniały niezliczone pelargonie. Krakowiaki, jak mówi babunia – poprawiła się w duchu Zojka. Zamiast patrzeć w scenopis, z zaciekawieniem rozglądała się po kuchni. Ciepło płynące od paleniska przyjemnie rozleniwiało.

Gospodyni pochylała się nad tacą z zaparzoną herbatą i kroić cytrynę na grube plastry. Miała spracowane, szorstkie dłonie jak babunia Łyczakowa. Nie oszczędzało się tamto pokolenie, zwłaszcza na wsi, pomyślała Zojka, patrząc na te dłonie i czując dziwne rozczulenie. Ona na stoliczku przy łóżku trzymała co najmniej cztery tubki różnych pachnących kremów i codziennie smarowała ręce. Miała na tym punkcie hopla. Kiedyś wyszła do supermarketu po kefir, ściskając w dłoni ostatnią piątkę. Wróciła z tubką kokosowego kremu i przekonaniem, że dwudniowy post jeszcze nikomu nie zaszkodził...

Staruszka postawiła przed Zojką kubek z herbatą i uśmiechnęła się smutno. Tuszyńska uświadomiła sobie, że gospodyni jest taka przygaszona od kilku dni i zrozumiała nagle, co jest tego przyczyną.

– Nie znalazł się? – rzuciła niepewnie. Starsza pani potrząsnęła głową i pociągnęła nosem.

– Nie.

– Wróci. – Zojka wcale nie była tego taka pewna, ale chciała dodać starszej pani otuchy. Gołym okiem było widać, że gospodyni jest przywiązana do swojego ulubieńca. Dziewczyna pomyślała, że na miejscu Śnieżka mógłby być Filip, i mocno zacisnęła dłonie na kubku z herbatą. Koty miały swój świat i swoje drogi. Dlatego tak ważne było, by je kastrować, ale czasami i to zawodziło i natura wędrowca wygrywała.

– Nigdy na tak długo nie znikał... – mamrotała pod nosem staruszka.

– Nasz Mruczuś wrócił kiedyś po miesiącu – pocieszała Zojka, przywołując wspomnienie kota, z którym bawiła się jako mała dziewczynka. – Pies sąsiadów go przegonił. Podobno

w Barwałdzie Mruczusia widzieli. Ale w końcu wrócił... – Wspaniałomyślnie przemilczała, że na trzech obolałych łapkach, bo nie chciała roztaczać wizji niebezpieczeństw czyhających w świecie na kociego wędrowca i niepotrzebnie denerwować gospodyni. Tym bardziej że jej przemowa najwyraźniej odniosła pożądany skutek i starsza pani się nieznacznie rozpogodziła.

– Mam nadzieję, że Śnieżek nabierze rozumu i wróci wylegiwać się w ciepelku – powiedziała. – No, a jak tam przedstawienie? – zagadnęła, zmieniając temat.

– Och, dostałam rolę Calineczki! – pochwaliła się Zojka. – Poza tym dopiero zaczynamy próby. Wszystko się opóźniło przez ten wypadek.

– Wypadek? – prychnęła staruszka, pochylając się nad stojącym na blasze garnkiem z bulgoczącą zupą i energicznie zamieszała łyżką. Pod wpływem smakowitych zapachów napływających od strony pieca Zojce zaburczało w brzuchu. – Na wsi gadają, że to żaden wypadek! Że pewnikiem ktoś ją z tych schodów zepchnął!

– Ona też tak mówi... – wymamrotała Tuszyńska pod nosem, popijając herbatę. – A co jeszcze gadają?

– Co gadają? – staruszka trwożliwie obejrzała się ku drzwiom, a następnie zbliżyła się do Zojki i zniżyła głos do półszepotu. – Różnie gadają. Jedni, że pewnie zobaczyła coś, czego widzieć nie powinna.

– Ale co? – Zojka zmarszczyła brwi.

– Tego nie gadają. Inni poszeptują, że chodzi o zaginiony skarb.

– Zaginiony skarb? – Zojka parsknęła śmiechem. – No tego jeszcze nie było! I że pewnie jakiś duch ją zepchnął, bo za bardzo zbliżyła się do kryjówki! – Rechotała. – A skąd niby na plebanii w Lipówce wzięłyby się skarby?

Gospodyni zerknęła przez ramię w kierunku zamkniętych drzwi.

– Ksiądz proboszcz nie lubi, żeby o tym opowiadać. Mówi, że

to bajki wyssane z palca i że ten wypadek tylko ludziom przypomniiał i niezdrowe zainteresowanie wzbudza. – Rzuciła tonem wyjaśnienia. – Ale ja tam nie wiem...

– A co pani wie? – Tuszyńska poczuła nagle zainteresowanie. – Skąd ten skarb?

– Jedni mówią, że jeszcze w czasach wojny ktoś ukrył. Inni opowiadają o chytrym proboszczu, który wszystkie datki w piwnicy zakopał i po dziuplach w ogrodzie pochował...

– Ona z poddasza spadła, nie z drzewa.

– Ale jak w piwnicy chował, to równie dobrze mógł na strychu, nie? Podobno przez lata ludzie poszukiwali. W różnych miejscach.

– I ludzie myślą, że Patrysia też skarbu szukała? – Zojka się zdumiała.

– Mniej więcej. – Nagle w korytarzu coś stuknęło i spłoszona gospodyni obejrzała się na drzwi. Zojka cmoknęła zniecierpliwiona. Chciała wypytać o ten tajemniczy skarb. Nigdy wcześniej o nim nie słyszała i choć podejrzewała, że to tylko lokalna legenda, która nic wspólnego z rzeczywistością nie ma, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wyszedłby z tego całkiem ciekawy artykuł. Może nawet przyćmi reportaż „Kroniki Wadowickiej”? Czytelnicy uwielbiali historie z dreszczykiem! Już sama myśl o przytarciu nosa Kordeckiemu była bardzo przyjemna. Tuszyńska spojrzała wyczekująco na gospodynię, ale przestraszona hałasem staruszka zasznurowała usta.

– A co jeszcze mówią o tym wypadku? – spróbowała więc podejść kobietę z innej strony, ale ta tylko uśmiechnęła się przebiegle.

– Co mówią? No jeszcze gadają, że to o rolę w teatrze poszło i że pewnie zepchnęła ta, co teraz Calineczkę grać będzie. Jaka rolę dostałaś, mówisz?

Zojka wzruszyła ramionami i pochyliła się nad scenopisem, a gospodyni z głośnym stęknieniem złapała tacę z herbatą Karoliny i ruszyła w kierunku drzwi. Tuszyńska zerwała się zza stołu, ale starsza pani potrząsnęła głową. Niech siedzi i czyta,

bo się nigdy tej roli nie nauczy. Ona zanieśie pani Jedynakowej herbatkę. Bardzo ją lubi, a poza tym musi do księdza proboszcza zajrzeć i zapytać, czy aby nie zgłodniał. Bo gulasz już prawie dochodzi. Na myśl o smacowym gulaszu Zojce ponownie zaburzało w brzuchu i natychmiast sobie przypomniła, że babunia coś napomknęła o racuchach na kolację. Racuchy podawała babunia wyśmienite. Puszyste, hojnie posypane cukrem pudrem przez siteczko. Zojka poczuła, że bez racuchów babuni nie wytrzyma ani chwili dłużej, i przygryzła wargę, dumając, czy roli nie mogłaby się pouczyć nad talerzem złocistych placuszków. Już podnosiła się zza stołu, kiedy skrzypnęły pchnięte drzwi, a do kuchni zajrzał ciemnowłosy mężczyzna.

Gospodyni zatrzymała się w pół kroku, a Zojka na powrót opadła na krzesło. Przybyły uśmiechnął się przyjaźnie i zagadał:

– Dobry wieczór, gdzie odbywają się próby teatralne?

– Coś mi się widzi, żeś się na casting spóźnił – mruknęła staruszka, ale Zojka, która natychmiast dodała dwa do dwóch i zidentyfikowała nieznanego przybysza, odzyskała rezon i na powrót poderwała się zza stołu. No w końcu! Zwinęła scenopis w ciasny rulon i uśmiechnęła się do policjanta znacząco. Niech wie, że ona wie, co on naprawdę tutaj robi, i że żadne castingi znaczenia nie mają. Liczyło się tylko to, że Chochołek miał młodego i przystojnego funkcjonariusza do dyspozycji, a teraz także i ona...

Zojka zreflektowała się, że buja myślami w obłokach, a staruszka i młody mężczyzna popatrują na nią zaniepokojeni. Uśmiechnęła się więc dziarsko, wcisnęła rulon pod pachę i prawie wyrwała tacę z rąk gospodyni.

– Zaprowadzę cię. I tak muszę wrócić do sali, bo zostawiłam tam, eee... szalik. Poza tym obiecałam Karolinie herbatę i pewnie biedulka ledwie zipie z pragnienia!

– To może ja... – mężczyzna uczynił gest, jakby chciał przejąć tacę z rąk Zojki. Dziennikarka wzruszyła ramionami i podała mu podstawkę, a następnie wskazała ręką kierunek. Na myśl, że na miejscu zdarzenia pojawił się podstawiony przez

Chochółka funkcjonariusz, zrobiło się jej dziwnie lekko.

Razem ruszyli w stronę sali, w której odbywały się próby do przedstawienia. Stojąca w kuchennych drzwiach gospodyni uniosła znacząco brwi, po czym wróciła do mieszania w garnku z gulaszem.

Redaktor Marcin Kordecki skierował obiektyw aparatu na scenę w samą porę, by uchwycić przewracającą oczami Anastazję. Zerknął na wyświetlacz, westchnął i usunął zdjęcie. Kadr był całkiem niezły, ale nie nadawał się do opublikowania w relacji z przygotowań do spektaklu. Jedynek wyraźnie podkreślał, że zależy mu na tym, by uchwycić radość aktorów grających w amatorskim teatrze. To miało pozytywnie nastroić przyszłych sponsorów. Znudzona mina Anastazji nastrajała co najwyżej do nabycia tabletek na zatwardzenie.

Kordecki zagapił się na pracownicę poczty i pomyślał, że wcale nie dziwi się jej nastawieniu. Kiedy spokojna i uśmiechnięta Karolina wcielała się w skórę reżysera, przeobrażała się w ziejącą ogniem bestię. Od aktorów wymagała perfekcjonizmu i pełnego zaangażowania. Do znudzenia powtarzali wyuczone kwestie, dopóki nie uznała, że natrafili na odpowiednią intonację głosu i mimikę. Nieusatysfakcjonowana tupiała nogami i rzucała tym, co akurat miała pod ręką.

Właśnie szarżowała na przerażoną Anastazję z groźnie uniesionym palcem, kiedy zaskrzypiały uchylone drzwi i do sali najpierw wsunęła się zarumieniona Zojka, a zaraz za nią ciemnowłosa mężczyzna z tacą w ręku. Kordecki zmierzył wchodzących ponurym wzrokiem i odruchowo pstryknął fotkę. W reakcji na błysk flesza Tuszyńska zmrużyła gwałtownie oczy i spojrzała ze złością w jego stronę.

– Co to za kelner? – zakpił pod nosem redaktor, nawiązując do tacy, której tamten nadal nie wypuszczał z rąk. Zerknął na wyświetlacz aparatu. Zamierzał usunąć przypadkowo zrobione zdjęcie, ale na widok uwiecznionej na nim miny Zojki parsknął

cichym śmiechem i pokręcił głową. Nie, lepiej zostawi je na karcie pamięci. Kto wie, w jakiej sytuacji przyda mu się podobizna koleżanki po fachu, szczególnie taka z komicznie wykrzywioną twarzą i lekko wystającym językiem?

Tymczasem Karolina zainteresowała się przybyłymi i lekko zeskoczyła ze sceny. Cała trójka stanęła w sporym oddaleniu od miejsca, w którym siedział Kordecki. Nie był w stanie dosłyszeć, o czym rozmawiali półgłosem, ale zauważył, jak żona Jedynaka mechanicznie potakuje głową, a Zojka wpatruje się w twarz tamtego błyszczącymi oczami. Poirytowany Kordecki odwrócił wzrok i spojrzał na siedzącą na podeście Anastazję. Kobieta wachlowała się trzymanym w dłoni scenopisem i trwożliwie zerknęła, czy Karolina wraca już na scenę.

– Hto to? – dobiegło nagle uszu Kordeckiego. Zaskoczony redaktor obrócił się i przez chwilę wpatrywał się z konsternacją w niewysoką postać w brunatnym kostiumie. Mężczyzna miał nieco przydługą, prostą grzywkę zaczesaną na czoło i wystające duże zęby. Kordecki z trudem się powstrzymał, by na widok tych zębów nie zawołać: „Co jest, doktorku?”. – Nofyahtor?

– Nie wiem – przyznał redaktor, marszcząc brwi. – Przepraszam, czy my się znamy?

– Jureh jestem. – Zagadnięty lekko seplenił. – Hakiem jestem.

– Hakiem? – Redaktor się stropił, bo co prawda Calineczkę czytał, ale w czasach dość odległych. I za cholerę nie potrafił sobie przypomnieć żadnej sceny z hakiem. Może to jakaś dziwaczna inscenizacja Karoliny?

– Jakim, hurfa, hakiem?! – Tamten się obruszył. – Hakiem!

– No, łapie, łapie – dyplomatycznie zgodził się Kordecki. – A tamtego to ja nie znam. Nowy jakiś przylazł. – Nie wiadomo po co, dodał w duchu, odwracając się w kierunku roześmianej trójki pod sceną i popatrując z byka na rozszczebiotaną Zojkę.

No proszę, jak toto się szczyrzy! Zupełnie jakby na starej plebanii zjawilo się pół obsady *Titanica*, a nie kompletny amator z żelem za uszami, najpewniej niepotrafiący nawet poprawnie przeliterować nazwiska duńskiego bajkopisarza! Zniesmaczony

redaktor odwrócił wzrok.

– O to właśnie mi chodziło. – Rozmówca Kordeckiego kiwnął głową i wrócił na swoje miejsce. Redaktor zerknął za nim odruchowo i zauważył, że z brunatnego kaftana wystają brzoźowe gałęzie, na które ktoś pomysłowo ponabijał listki z zielonego filcu. Krzakiem jest! – uświadomił sobie i nie wiedzieć czemu, poczuł nagłą radość. Zerknął w kierunku sceny i przekonał się, że Anastazja z rozanielonym wyrazem twarzy wpatruje się w popękany, belkowany sufit. Szybko pstryknął kilka zdjęć i zadowolony skinął głową. Wyraz szczęścia na twarzy aktorki, która choć na chwilę uwolniła się od reżyserskiego nadzoru, zdecydowanie nadawał się do publikacji! I to bez retuszu!

„Mamusia zaprasza na niedzielną herbatkę.”

Chochołek dwukrotnie przeczytał wiadomość od Klary, po czym wsunął telefon do kieszonki na piersi. Policjant nie był w stanie zapanować nad unoszącymi się kącikami ust i żeby ukryć zadowoloną minę, pochylił głowę i podrapał się po czubku nosa.

– No, panie Michniak – odchrząknął – dawno się nie widzieliśmy, co?

Siedzący naprzeciw mężczyzna nerwowo poruszył się na krześle.

– Nieprawda. Przecie żeśmy się widzieli na plebanii, jak pan aspirant przyjechał powiedzieć, że tamtą zepchnęli...

– Ale nie na komendzie. – uściślił Chochołek, znacząco unosząc brew i myśląc, że najwyraźniej nie zrobił z siebie takiego bęcwała, jak mu się wydawało, skoro matka Klary wystosowała kolejne zaproszenie. – A może pan nie pamięta? – zapytał lekko kpiącym tonem.

– Co mam nie pamiętać. – Michniak mlasnął językiem. – Ale od tamtej żeśmy przeszli długą drogę, pan i ja. Pan teraz

dochodzeniówka, kryminalni, wydział zabójstw... – wyliczał w uniesieniu, a zdumiony stróż prawa walczył z pokusą, by mu nie przerwać. Na szczęście mężczyzna zamilkł, a po chwili podjął wywód, drapiąc się po srebrzystej szczecinie na brodzie. – A i mnie przyszło sięść na dupie na stare lata.

– Słuszna decyzja, panie Michniak, bardzo słuszna.

– I nigdy żem nie zapomniał, że pan władza przed moją starą zataił prawdę o prawdziwym charakterze zdarzenia – wyrecytował nagle wzruszonym głosem – ratując moje święte małżeństwo...

I oszczędzając sobie roboty przy kolejnej awanturze domowej, dodał w duchu Chochołek, wspominając zaciętą minę Marii Michniak, gdy pewnej styczniowej nocy dostarczył do domu jej ledwo trzymającego się na nogach męża. Znalazł nieboraka w starej melinie, gdzie zostali wezwani do bijatyki. Gdy przybyli na miejsce, zastali tuzin opróżnionych butelek po taniej wódce, dwóch nieprzytomnych delikwentów, którzy w czasie konsumpcji tak solidnie wzięli się za łby, że je sobie wzajemnie roztrzaskali, i śpiącego niewinnie między nimi Michniaka. Gospodyni imprezy, znana w pewnych kręgach, nie tylko policyjnych, jako Czerwona Lola ze względu na zamiłowanie do jaskrawej bielizny, stanowczo protestowała przed zarekwirowaniem pozostałego alkoholu i śpiącego mężczyzny. Insynuowała nawet Chochołkowi, że na pewno zmieni zdanie, jeśli na trzy minutki wejdzie z nią do drugiego pokoju, ale stróż prawa okazał się odporny na jej wdzięki. Albo oporny, jak zwał, tak zwał.

– Tak... – Chochołek kiwnął głową, myśląc o świętości małżeństwa zbrukanej przez kawałek czerwonej koronki, i odchrząknął. – W każdym razie cieszę się, że wszedł pan na, hmmm, rozsądną drogę życia, panie Michniak.

– Moja Maryśka o to zadbała. – Mężczyzna wruszył ramionami. – Z oka mnie nie spuszcza i ledwie na dupie siadę, co by odzipnąć kapkę, zaraz mi coś nowego do roboty znajdzie. Teraz zimą trochę lży, to znalazłem czas, żeby się w teatr u księdza proboszcza zaangażować. Lubię teatr – obwieścił

z dumą. Chochołek skinął głową.

– No właśnie o ten teatr chciałem zapytać...

– Domyśliłem się, jak radiowóz po mnie przysłali. Maryśce mało oczy z orbit nie wyskoczyły, ale mówię jej: „Cicho, spokojnie, na świadka jadę”.

– Wie pan, że na plebanii doszło do wypadku? – Chochołek wygrzebał długopis ze stojącego na biurku kubka i sprawdził na jakimś karteluszk, czy pisze. Michniak śledził jego ruchy ze skrzywionym wyrazem twarzy.

– Co mam nie wiedzieć? Lipówka to mała wiocha, gdzie psy... znaczy, wszyscy o wszystkim wiedzą.

– Do zdarzenia doszło 17 stycznia w godzinach popołudniowych. Podobno był pan wtedy na plebanii, panie Michniak.

– A co mnie miało nie być? Ropucha gram, to jedna z najważniejszych postaci w sztuce. Poza tym pomagam pani Karolinie z dekoracjami. To równa kobita, nieraz piątka poratuje, gdy w gardle zaschnie.

Chochołek uniósł brwi.

– A podobno siadł pan na du... i wiecie pan spokojne życie.

– Wiodę. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Ale to nie znaczy, że piwka nie lubię wypić, co nie? A Maryśka to tego nie pojmuje, więc czasem trzeba się inaczej podratować.

– Jak na przykład? – Chochołek zmrużył podejrzliwie oczy, a Michniak uniósł dłonie w obronnym geście.

– Wszystko legalnie. Tu się komuś graty wyniesie z garażu, tam się zakupy do bagażnika wrzuci. Tu piątka, tam piątka. Biznes jest biznes. Pani Karolina to rozumie. Oni mieszkają, wie pan aspirant, przed Wadowicami. Na przedmieściach, jak to się mówi.

– Tak, na przedmieściach... – zgodził się policjant.

– Ale to kwadrans drogi i czasem tam zachodzę zapytać, czy nie ma dla mnie jakiejś roboty. Oni gospoście mają. Ukrainkę. –

Na wspomnienie gosposi Jedynaków mężczyzna wyszczerzył nieco poźółkłe zęby. – Ale ogrodnika nie mają, a tam hektary trawnika, krzaczki, kwiatki, ścieżki, duperelki. Po co ludziom takie wymuskane ogródeczki, jak wcale w nich nie siedzą. – Spojrzał pytająco na Chochołka.

– Nie wiem. – Aspirant się stropił.

– Ja też nie. – Michniak wzruszył ramionami. – Ja z moją starą lubię posiedzieć na ławce pod czereśnią i popatrzeć, jak słońko zachodzi.

Chochołek uznał, że pora tę rozmowę nakierować na właściwe tory, i znacząco postukał długopisem w blat biurka.

– Wróćmy do zdarzenia. Był pan na miejscu. Co może pan o nim powiedzieć?

– Że tak to ujmę: niewiele. Jak zwykle zebraliśmy się na plebanii w tej sali, gdzie imprezy rozmaite są. I gdzie sołtys zebrania wiejskie organizuje. Poznał pan naszego sołtysa? – zainteresował się nagle Michniak.

– Miałem nieprzyjemność – mruknął pod nosem Chochołek. Odpowiedź stróża prawa najwyraźniej nie usatysfakcjonowała Michniaka, bo splótł ramiona na wysokości wątlej klatki piersiowej i ponownie zamlaskał:

– Różnie o nim gadają, ale jedno panu powiem. Chodniki porobili i zębów na dziurawej drodze też nie idzie wybić. Najmłodszy sołtys w powiecie!

– I nie ma nic wspólnego z naszą sprawą – rzucił zgryźliwie przesłuchujący. – Więc zebraliście się w sali na plebanii. Kto tam był?

– Och, cała masa różnych ludzi, nie umiem wszystkich wymienić. Była Guzikowa, sąsiadka znaczy. Było sporo młodzieży, pan aspirant wie, wszystko to marzy o wielkim świecie, sławie i pieniądzach, chce się pokazać, choćby na scenie takiego maluśkiego teatrzyku na wsi. Potem do *Mam talent* albo innego *Idolu* idą i rzepolą jak, za przeproszeniem, stara piła na gwoździu. Pani Karolina była na chwilę, zostawiła stroje i pojechała załatwiać jakieś błyskotki. Wie pan,

aspirancie, baby bez błyskotek nie dadzą rady, sraczki by dostały. Anastazja, listonoszka nasza, okropnie się denerwowała, pamiętam jak dziś! No i przecie ta cała Patrysia była, co to ją potem kyyyk... – Zerknął na Chochołka, wykonując charakterystyczny ruch pod brodą. Chochołek przewrócił oczyma i ruchem głowy nakazał mężczyźnie kontynuować. – No, a potem jeszcze redaktor się zjawił z tą Zośką od Tuszyńskich...

– Zojką – odruchowo poprawił Chochołek.

– Poznał pan naszą Zojkę? – Michniak wyraźnie się ożywił, ale po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. – A, no tak, to przecież ona...

– Ona, ona. – Chochołek go ponaglił. – To wszyscy?

– No przecież mówię, że nie spamiętam wszystkich. Dużo ludzi się tam zawsze kręci, co rusz ktoś nowy przyłazi. Dziś też ktoś przyłaził.

No, ja myślę, prychnął w duchu stróż prawa. A głośno zachęcił przesłuchiwanego, by wysilił szare komórki i spróbował coś jeszcze dodać. Kiedy nic to nie dało (Chochołek podejrzewał, że szare komórki Michniaka już dawno zaróżowiły się od swojskiego wina), zapytał, co było dalej.

– Dalej – zamyślił się zapytany – to się trochę zamieszania z tymi strojami zrobiło. Pan wie, aspirancie... – Posłał policjantowi porozumiewawcze spojrzenie.

– No właśnie nie bardzo.

– No jak się baby rzuciły na te kiecki, to pióra w powietrzu latały! I nie było znaczenia, czy która gra krzaka, motyla, czy jaskółkę, każda przebierała w kreacyjach, jakby ze złota i jedwabiu były. Ta cała Patrysia to nawet Anastazji łokciem w żołądek wyrznęła i zapowiedziała, że to ona jest najważniejsza i musi mieć najpiękniejszą suknię! Baby w odpowiedzi rzuciły jej jakimś burym workiem i znowu rozpętała się awantura – Michniak wybuchnął śmiechem i zakołysał się na krześle, uderzając dłońmi po udach. – Lepsze niż kino!

– O, naprawdę? – Chochołek przygryzł wargę i spojrzał na

mężczyznę zamyślony. Skreślił kilka słów w notesie. – I co było dalej?

– Dalej? – Michniak podrapał się nerwowo po głowie. – Dalej to już nie bardzo wiem. Ta Patrysia cała chwyciła pod pachę kłębek ubrań i uciekła z sali, krzycząc, że gra główną rolę i że się jej przywileje należą. Chyba tę garderobę miała na myśli, co to ją ksiądz proboszcz pozwolił użytkować. Choć po mojemu to lepiej by zrobiła, jakby się w klozecie na dole przebrała. Tam na górze przeciagi hulają i jeszcze tego zbrodniarza spotkała! – wypluł z siebie Michniak.

– A jak ona zniknęła, ta cała Patrysia, to co się działo? Ktoś coś mówił? Może za nią wyszedł?

– Najpierw to oburzenie było, że wyżej sra... – Michniak nerwowo przełknął ślinę. – Ja bardzo przepraszam...

– A potem? – cierpliwie dopytywał Chochołek.

– Potem to nie wiem, bo kościelnego przez okno zobaczyłem... – Posłał policjantowi przepaszające spojrzenie. – A mnie w gardle zaschło i poszedłem za nim do przybudówki zapytać, czy czasem herbaty nie ma w termosie. – Uśmiechnął się chytrze.

– I nie widział pan, by ktoś wychodził z sali? – wolał się upewnić Chochołek.

– Och, nie, tego nie powiedziałem. – Michniak się obruszył. – Wiele ludzi wychodziło. Młodzi szukali zasięgów, bo na plebanii grube mury i kreski nie idzie złapać. Oni to, panie władzo, bez tych internetów dostają piż... pypcia, znaczy. A Anastazja to co chwila do klozetu ganiała, bo z nerwów sra... rozstroju żołądka dostała. A może to od tego łokcia?

– Rozumiem. – Chochołek zamknął notes i wsunął do ust końcówkę długopisu. Przez chwilę ssał ją, spoglądając w okno z zamyślonym wyrazem twarzy, a następnie podniósł się zza biurka i wyciągnął rękę w kierunku zadowolonego z siebie Michniaka. – Dziękuję, panie Michniak. Proszę podpisać zeznanie i trzymać się z daleka od kłopotów.

– Się rozumie, panie aspirancie. Ale jedno panu jeszcze

powiem. Pewnie ma pan rację, że któraś baba za nią poszła i spuściła manto za te kreacje. Bo kiedy żem wracał z przybudówki, z poddasza dochodziły łoskoty. Pewnikiem się tam kotłowały, baby głupie!

A to ciekawe, pomyślał zaskoczony aspirant.

Do tego momentu wersja Michniaka pokrywała się z zeznaniem obolałej Patrysi. Popołudnie na plebanii, przywiezione kostiumy, awantura przy sukienkach (niedoszła Calineczka była zdania, że wiejskie harpie zazdrościły jej talentu, urody i najważniejszej pozycji na scenie) i wizyta w garderobie w celu przymierzenia stroju. Wystrojona w olśniewającą kreację Patrysia zamierzała powrócić do sali i zademonstrować zebranym, jak wygląda królowa elfów, jednak na podeście natknęła się na niezidentyfikowaną postać i zanim się spostrzegła, runęła w dół. O bójce w garderobie nie padło ani jedno słowo!

– Dziękuję, sprawdzę to – rzucił w kierunku wychodzącego Michniaka, a potem opadł na krzesło za biurkiem i podrapał się po czubku głowy. – Hmmm, tych ludzi trzeba mieć na oku... – mamrotał pod nosem, sięgając po komórkę. Widok skrzynki odbiorczej przypomniał policjantowi o SMS-ie otrzymanym od Klary. Rozpromieniony przeczytał wiadomość po raz kolejny i na moment zapomniał o bożym świecie. Zaraz jednak uczucie zadowolenia zostało wyparte przez kiełkujący niepokój. Paweł Chochołek wiedział, że podczas poprzedniej wizyty nie uczynił na matce swojej wybranki najlepszego wrażenia i że być może to jego ostatnia szansa, by zaprezentować się z dobrej strony. Tylko jak? Lekcja pieczenia u babuni Łyczakowej jak na razie nie przyniosła spektakularnych efektów; stróż prawa nauczył się odmierzać składniki przy pomocy szklanki i poznał różnicę między wałkiem, stolnicą a mątwką. Na widok kruchego placka upieczonego z ugniecionej przezeń grudy uciekł w popłochu nawet Burek!

Aspirant nie należał jednak do ludzi, którzy poddają się po pierwszym niepowodzeniu. Sporządził notatkę dla swoich współpracowników i sięgnął po kurtkę. Postanowił pojechać do Lipówki i poradzić się starszej pani.

• ROZDZIAŁ SIÓDMY •

Zojka okręciła się wokół własnej osi, rzucając przez ramię spojrzeniem w duże, stojące lustro. Szafirowa sukienka, którą właśnie przymierzała, zaplątała się jej między kolanami i dziewczyna runęła na przykurzone deski podłogi, uderzając głową o siedzisko miękkiego, podniszczonego fotela. Przy okazji zahaczyła stopą o duży wiklinowy koszyk i przewróciła go. Uwolnione z koszyka plastikowe owoce i narzędzia niewiadomego pochodzenia rozsypały się po podłodze. Zojka zbierała je na kolanach, mamrocząc do siebie pod nosem.

Mogło być gorzej, pomyślała, sięgając po ostatnią plastikową pomarańczę. Mogłam uderzyć łepetyną w maszynę do szycia i stracić przytomność. Dopiero by ludzie mieli gadania o skarbach, duchach i klątwach, zaśmiała się pod nosem.

Zojka przysiadła na piętach, wspierając się łokciami o siedzisko fotela, i z zaciekawieniem rozejrzała się po wnętrzu niedużego pokoiku na poddaszu. Była to malutka klitka najwyraźniej przemianowana na graciarnię. Babunia też taką miała, w dawnym chlewiku, i z żądzą mordy w oczach broniła doń dojścia. Uważała, całkiem słusznie zresztą, że ktoś, kto dostałby się do tej zaczarowanej krainy zwanej Przydasie, mógłby uznać, że dziewięćdziesięciu procentom zgromadzonych w niej rzeczy należy wystawić bilet w jedną stronę. Do zakątka ogrodu, gdzie w prowizorycznej skrzyni zbitej z poszarzałych

desek czekały worki na odpady selektywne. Po co człowiekowi dwadzieścia słoików po musztardzie? – zapytała kiedyś Zojka. – Albo felgi do samochodu, skoro samochodu nie ma? Zrobię sobie kapelusz – odrzekła radośnie staruszka. – Tylko pomyśl, jaki będzie oryginalny! A słoiki napełnię piaskiem, szyszkami i sarnimi bobkami. A potem będę sprzedawać na odpuście po dziesięć złotych. Ludzie uwielbiają wydawać pieniądze na duperszmelce, a jak się im jeszcze powie, że są eko, po prostu sikają po nogach ze szczęścia!

Na wspomnienie rozmowy ze staruszką Zojka parsknęła śmiechem. Graciarnia, czy raczej garderoba, na plebanii w Lipówce zabawna jednak nie była. Jak pomieści wszystkich aktorów? Przecież sama Guzikowa ze swoim pluszowym kostiumem żaby zajmie trzy czwarte powierzchni? Zojka stwierdziła, że musi o to zapytać Karolinę!

Okazja nadarzyła się niemal natychmiast. Pani reżyser wtargnęła do pokoiku na poddaszu, ciągnąc za rękę kobietę w grubym kożuchu. Zojka rozpoznała w niej Janinkę, krawcową mieszkającą w niedużym domku nieopodal przystanku kolejowego. Mistrzynie igły była znana ze swojego talentu nie tylko w Lipówce, ale i w całym powiecie. Zamożne klientki ustawiały się w kolejce, by zamówić eleganckie sukienki, garsonki i żakiety. Zojka pamiętała, jak razem z babunią odwiedzała mały domek. Babcia dawała miarę na nową spódnicę, a ona siedziała pod stołem i bawiła się skrawkami kolorowych materiałów. Królestwo Janinki z majestatyczną maszyną do szycia z czarnym pedałem (Zojka trochę bała się tego pedału), szpulkami nici we wszystkich kolorach tęczy, miniaturowymi kawałkami mydełek do kreślenia i podłogą zaścieloną ścinkami było baśniową krainą!

Niecierpliwe szarpnięcie za łokieć wyrwało Tuszyńską ze świata wspomnień. Karolina bezceremonialnie wepchnęła ją przed oblicze uwolnionej z kożucha krawcowej.

– Musimy przerobić tę sukienkę. – Tłumaczyła kobiecie, gwałtownie gestykułując na wysokości klatki piersiowej Zojki. Dziewczyna modliła się w duchu, by nie oberwać w zęby, bo jak świat szeroki, szczerbatej Calineczki z pewnością jeszcze nie

widzieli. Na wszelki wypadek cofnęła się poza zasięg rąk pani reżyser.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Specjalistka od szycia kiwnęła głową. Karolina wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu, pomachała Zojce palcami i zniknęła za drzwiami. Tuszyńska jęknęła. Krawcowa spojrzała na nią przenikliwymi oczami. – Coś nie tak?

Zojka machnęła ręką.

– Nie, to nic takiego. Chciałam jej coś powiedzieć, ale uciekła tak szybko!

– Wszyscy dziś zagonieni. – Krawcowa wzruszyła ramionami.

– Chodzi o ten pokój, przecież jest za mały na garderobę dla wszystkich aktorów. Nie pomieścimy się. – Zojka się denerwowała.

– Odtwórczyni głównej roli na pewno nie musi martwić się o miejsce w garderobie. – Janinka uśmiechnęła się bladymi wargami. – No, niech się panienska zbliży do okna. Światło tu nie najlepsze.

Zojka uniosła palcami błyszczącą spódnicę i posłusznie podeszła do niedużego okna. Krawcowa zmrużyła oczy i taksowała sukienkę fachowym spojrzeniem, od czasu do czasu naciągając materiał, przyciskając go do ciała dziewczyny i mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem. Zojka zacisnęła zęby. Miała potworne łaskotki, była wrażliwa nawet na dotyk metek przyszytych po wewnętrznej stronie koszulek i teraz walczyła, by nie ryknąć śmiechem i nie uciec spod palców krawcowej. Kobieta zdawała się nic nie zauważać.

– Dobrze, tu trzeba będzie podnieść i przesyć – zawyrokowała. Cmoknęła przy tym jednak niezadowolona. – Sukienka straci nieco fason. Ale wyjścia nie ma, inaczej zapłacze się panienska w tych fałdach i wywinie fikołka na scenie.

Myśli Zojki mimowolnie poszybowały ku zagipsowanej Patrysi.

– Albo na schodach – mruknęła pod nosem.

– Co panienka mówi? Dobrze, niech panienka teraz wciągnie brzuch. Muszę tu spiąć szpilką... – Głos krawcowej przeszedł w niewyraźne mamrotanie. Zojka obrzuciła ją spojrzeniem i przerażona odkryła, że krawcowa trzyma między wargami szpilki z kolorowymi łepkami. – To tylko do wbicia szpilki! No, niechże panienka wciągnie, śmiało!

– Już wciągnęłam... – sapnęła Zojka, czerwieniąc się po czubki uszu.

– Och. – Krawcowa wyglądała na speszoną, ale prędko odzyskała rezon. – No nic, tu zszyjemy i tu. Żeby wygodnie było i oddechu nie brakło! I na wszelki wypadek przed przedstawieniem proszę nie jeść zbyt dużo... można puścić, już można.

– Dziękuję. – Zojka uśmiechnęła się z wdzięcznością i zerknęła w lustro, wygładzając na biodrach śliski materiał. Kostium Calineczki składał się z dwóch części. Spodnia sukienka była ciemnogranatowa i dość skromna, wierzchnia przypominała płaszcz z szafirowej satyny, przyozdobiony błyszczącymi szkiełkami i złotą koronką. W pierwszych scenach Zojka miała grać w skromnej sukience, a do ostatniej dołożyć płaszcz i przeistoczyć się w królową elfów. Zabieg ten miał ograniczyć trudności związane ze zmianą strojów i... przynieść oszczędności. Budżet jest napięty, poinformowała ją Karolina już w pierwszych dniach, szczerząc białe zęby w olśniewającym uśmiechu.

Zojka zdjęła kreację i podała ją krawcowej, która sprawnie złożyła suknię w kostkę i wsunęła do foliowej siatki z logo miejscowych delikatesów. Zojka z ulgą wciągnęła własne ubranie i poklepała się po brzuchu. Poprzedni kostium Calineczki przepadł gdzieś w policyjnym depozycie, ale Karolina bez trudu zdobyła kolejny. Zojka nie rozumiała, dlaczego nie może wystąpić we własnej sukience, o, choćby tej szmaragdowej, którą kupiła, tropiąc oszustów matrymonialnych. Sukienka to sukienka. Ale Karolina była innego zdania. Sukienka to sukienka, a kostium sceniczny to zupełnie co innego! Zgadza się, zgrzytała zębami Zojka. Kostiumy sceniczne najwyraźniej szyto na chude tyczki, które

tkankę tłuszczową oglądały wyłącznie w podręcznikach biologii!

– Panienska zapyta babunię, co z miarą! – odezwała się nagle krawcowa. Zojka wróciła na ziemię i spojrzała na stojącą przy drzwiach Janinkę. Kobieta miała już na sobie kożuch i trzymała rękę na kłamce. W drugiej dyndała reklamówka z sukienką.

– Babunię? – Wytrzeszczyła oczy. – Babunia zamówiła u pani ubranie?

– No... Tak naprawdę to nie ona.

– Jak to?

– Ubranie zamówiła panna Zosia. Elegancką garsonkę, na wesele.

– Garsonkę? Na wesele? Zosia? – Tuszyńska miała wrażenie, że nie nadaża. – Dlaczego Zosia zamawia garsonkę na wesele? Nie ma własnej sukienki?

– Oczywiście, że ma. Garsonka ma być dla babci panienski.

– Och! Nie wiedziałam... Zapytam, oczywiście, że zapytam! – zapewniła pospiesznie.

Kiedy za krawcową zamknęły się drzwi, Zojka potrząsnęła głową zdezorientowana. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Dlaczego Zosia zamawiała garsonkę dla babuni Łyczakowej? Przecież staruszka mogła to zrobić sama! Może kuzynkę dręczyły wyrzuty sumienia i chciała w ten sposób zadośćuczynić za podłe zachowanie sprzed kilku miesięcy? Jeśli tak, Zojka nie zamierzała stawać jej na drodze. Niech się babunia wystroi na wesele wnuczki! Koniecznie trzeba jej przypomnieć o tej przymiarce!

Zojka zebrała swoje rzeczy, narzuciła płaszcz i nucąc pod nosem, opuściła pokój na poddaszu. Zatrzymała się jeszcze w ciemnym korytarzyku, by owinać szyję szalikiem i wygrzebać z kieszeni ciepłą czapkę. Właśnie naciągała ją na głowę, kiedy jej uszu dobiegł dziwny dźwięk. Dziewczyna zamarła w bezruchu, z czapką na wpół nasuniętą na czoło, i powoli odwróciła się za siebie. Poddasze tonęło w nieprzyjemnym mroku. Zojka usiłowała przeniknąć

spojrzeniem te ciemności, ale poza dwiema parami drzwi po dwóch stronach korytarza i ciemnymi belkami dachu nad swoją głową nic nie dostrzegła. Wzruszyła ramionami i podjęła wędrówkę w kierunku schodów. To stary budynek, w którym wszystko trzeszczy, stęka i jęczy. Stary budynek zbudowany ze starego drewna. Nic ponadto, uspokajała samą siebie.

Mimo to, kiedy znalazła się na podeście, na którym zazwyczaj wylegiwał się kot gospodyni, jej serce galopowało, a czoło pokrywała cieniutka warstewka potu. Drżące dłonie upuściły rękawiczki i gdy się po nie schyliła, zauważyła na ciemnym wytartym chodniku pozostałości białych kłaczek. Dotknęła ich lekko opuszką palca. Ciekawe, czy Śnieżek wróci na swoje ulubione miejsce? Może czeka, aż hałaśliwi aktorzy się wyniosą i na plebanii zapanuje w końcu spokój? Ledwie to pomyślała, gdy za jej plecami trzasnęła kolejna deska. Zojka, nie zastanawiając się, szybko zgarnęła rękawiczki i pognęła w dół schodów, a potem do wyjścia.

Przystanąła dopiero w ogrodzie plebanii i opierając plecy o pień obsypanego śniegiem orzecha, obrzuciła poddasze nieprzychylnym spojrzeniem. Niech sobie inni walczą o miejsce w garderobie i martwią się ograniczoną przestrzenią. Ona przebierze się w łazience na dole. Przebierze się nawet w spiżarni pod schodami albo w mysiej dziurze, byle uniknąć upiornego poddasza. Zojka nie była specjalnie strachliwa, ale miała bujną wyobraźnię. A ta wyobraźnia karmiona cieniami zalegającymi w kątach starego drewnianego domu, opowieściami gospodyni i wypadkiem koleżanki, zaowocowała dziwnym przecuciem, że ktoś ją tego wieczoru obserwował.

W momencie, kiedy na starej plebanii Zojka poświęcała się mierzeniu kostiumu scenicznego, Paweł Chochołek po raz kolejny mierzył się z wałkiem do ciasta, stolnicą i kopczykiem mąki tortowej typu 450. Pod czujnym okiem babuni Łyczakowej przyodziął nylonowy fartuszek, przepłukał dłonie pod kranem, rozbił dwa jajka, odmierzył ćwierć kilo cukru i przystąpił do

zagniatania ciasta. Uczynił to z taką werwą, że już po pięciu minutach gospodarstwo na wzgórzu zostało uszczuplone o szklankę i pół tuzina jaj. Te ostatnie ucieszyły Burka, który porzucił okolice pieca i ze swoim wielkim, różowym językiem zmateriałizował się u stóp aspiranta.

Policjant zeszywniał i stanął na paluszkach jak baletnica.

– Nie zeżre mnie? – zapiszczał. Siedząca za stołem babunia przewróciła oczami.

– Niech się władza nie stresuje. Nie żre byle czego – prychnęła, ale cmoknęła na psa, a kiedy nie przyniosło to efektów, odciągnęła go od pogruchotanych skorupki i żółtawych kleksów zdobiących deski podłogi. Na widok bałaganu, jakiego narobił Chochołek, uniosła znacząco brwi. – Strasznie się władza angażuje w to zagniatanie.

– Oj, tak – potwierdził Chochołek, ocierając wilgotne od potu czoło rękawem koszuli i przy okazji nakładając na żółtawą grzywkę maseczkę mączno-jajeczną. – Już te, no, pęcherzyki widać! – pochwalił się.

Babunia nachyliła się nad stolicą i zmrużyła oczy. Spojrzała na policjanta kpiąco.

– To skorupki od jajek.

– Niemożliwe! – Chochołek się obruszył i zanurkował nosem w kleistych grudkach. – No, może jedna. Chyba nie zaszkodzi?

– Sam wapń. – Starsza pani machnęła ręką i siorbnęła herbaty ze stojącej na stole szklanki z koszyczkiem. – U władzy na nosie też – dodała rozbawiona.

– Jakim nosie? – Chochołek nie zrozumiał i z całej siły naparł na zagniatane ciasto. Stolnica przesunęła się po stole, zrzucając na podłogę torebkę z cukrem. Białe grudki posypały się po podłodze, a zachwycony Burek szczeknął radośnie.

– Niech no władza uniesie tę stolnicę... – wymamrotała babunia, wyżymając w zlewie niedużą ściereczkę.

– Unieść stolicę? Nie wybieram się do stolicy! – zaprotestował aspirant. – Mam śledztwo na głowie, poza tym ważniejsze

rzeczy... – Spojrzał znacząco na kluchy przylegające do rąk.

– Mówią, że sprawiedliwość jest ślepa. Ale że głucha? – Babunia się dziwiła. – O stolnicy mówię, desce znaczy, na której władza zagniata. Dociera?

– Dociera – potwierdził Chochołek i złapał kuchenne akcesorium w klejące ręce. Babunia sprawnie umieściła pod spodem wilgotną ściereczkę. Zadowolona skinęła głową.

– No, teraz jeździć nie będzie i większych szkód się nie narobi. Bo już się obawiałam, że władza z tą stolnicą wyjedzie do wygodki za chlewikiem...

Chochołek udał, że nie słyszy, za to hojnie podsypał ugniatane kluski mąką. Zapamiętał z poprzedniej lekcji, że tak się robi, gdy ciasto jest za bardzo lepiące i nie chce odrywać się od rąk. Cóż, grudy znajdujące się na drewnianej podstawie nie predysponowały jeszcze do miana ciasta, ale klejące były, oj były... Hojność aspiranta zaowocowała białą chmurą unoszącą się nie tylko nad stolnicą, ale również nad całym stołem i nim samym. Kiedy w końcu udało mu się ją przepędzić rękoma, przekonał się, że zarumieniona z emocji babunia Łyczakowa rozkłada się na drugiej połowie stołu z kolejną stolnicą. Wybałuszył na nią oczy.

– Zapomniał władza o margarynie – sarknęła, odbierając mu torebkę z mąką i usypując zgrabniutki kopiec. – Do wiadra na zlewki z tym – zarządziła, wskazując urażonemu stróżowi prawa kleiste grudki. – Niech władza zeszkrobie nożem, umyje ręce i robi to, co ja.

Kiedy po kilkunastu minutach do kuchni wpadła zziajana Zojka, dwie bryłki kruchego ciasta były już prawie gotowe. Dziewczyna opadła na kuchenne krzesło i bez słowa obserwowała zmagania aspiranta, który siekał swoje ciasto na chude plasterki w poszukiwaniu bąbelków powietrza. W tym czasie babunia przygotowywała dwie kwadratowe blaszki do pieczenia.

– No, jak tam w teatrze? – zagadał wesoło policjant, składając plasterki do kupy.

Zojka zarumieniła się nieznacznie i mruknęła.

– W porządku, dziękuję. Dzisiaj zajmowaliśmy się kostiumami.

– A jak mój człowiek? Nie wzbudził podejrzeń?

– Najmniejszych. W ogóle nikt nie zwrócił uwagi na to, że pojawił się nowy aktor. Księciem będzie. – Twarz Zojki pokryła się buraczkowym rumieńcem.

– Księciem? Miało być dyskretnie i... auć! – Pograżony w rozmowie z dziennikarką Chochołek natarł czubkiem noża na własny palec. Na stolnicy pojawiły się kropelki krwi.

– Wszystko będzie tak, jak trzeba! – zapewniła Zojka, sięgając po apteczkę stojącą na górnej półce kredensu. Choć określenie „apteczka” średnio pasowało do kartonowego pudełka po sandałach, w którym babunia Łyczakowa przechowywała syropy na kaszel, tabletki przeciwbólowe, plastry opatrunkowe i zwinięte w ciasne rulony bandaże.

Aspirant opłukał palec pod kranem, a Zojka hojnie polała skaleczenie wodą utlenioną. Mina policjanta wskazywała na to, co sądzi o stosowanych przez nią torturach, ale nic sobie z tego nie robiła i mocno zakleiła ranę plastrem. Naburmuszony mężczyzna wrócił do stołu i pod nadzorem babuni Łyczakowej dość nieudolnie umieścił surowe ciasto w przygotowanej blasze, a następnie wysypał na nie utarte jabłka z cynamonem i rodzynekami. Na koniec wciśnięto mu w rękę tarkę do warzyw i zachęcono do starcia pozostałego ciasta.

Umorusany, spocony i rozczochrany policjant opadł bez sił na krzesło. Wyglądał, jakby zamiast przyrządzać szarlotkę, przerzucił co najmniej dziesięć ton węgla. Mimo to był z siebie wyjątkowo zadowolony. Dwa placki z jabłkami wylądowały w szabaśniku. Ciasto aspiranta na górnej półce, babuni na dolnej.

– Kontynuuje pan naukę? – Zojka uśmiechnęła się znacząco.

Aspirant potrząsnął głową.

– Chodzi o coś więcej. Zostałem zaproszony na herbatkę –

wyjaśnił dumnym tonem. – Nie chcę iść z pustymi rękoma.

– Zamierza władza zabrać... to? Ze skorupką i w ogóle? – Babunia Łyczakowa wytrzeszczyła oczy, wskazując piekarnik.

– Oczywiście. Myśli pani, że nie dość eleganckie? – zaniepokoił się mężczyzna.

– Nic takiego nie powiedziałam – sarknęła staruszka. – Nie ma to jak kawałek dobrego placka z jabłkami. A jeszcze z szarą renetą z naszej jabłonki... – Uniosła palce do ust i cmoknęła. – Wszelkie masowce i torty mogą się schować.

– No, ja wiedziałem, że pani mi pomoże. – Aspirant się uśmiechnął, a widząc, że staruszka podchodzi do pieca i szturcha długim patyczkiem w uchylonym piekarniku, zwrócił się przyciszonym głosem do Zojki: – Pani pomocy też potrzebuję, pani Zojko!

– Hmm? – dziewczyna, która właśnie rozmyślała nad scenami, w których zagra z przystojnym księciem, spojrzała na niego nieprzytomnie.

– W toku śledztwa ustalono, że zanim Patrycja Oleś została zrzucona ze schodów, wdała się z kimś w bójkę.

– W bójkę? – Zojka szeroko otworzyła oczy. – No przecież...

– Do zdarzenia musiało dojść bezpośrednio przed wypadkiem, bo właśnie wtedy nasz świadek usłyszał rumory dochodzące z poddasza. Rzecz w tym, że ona nawet się na ten temat nie zająknęła, a na górze nie stwierdziliśmy żadnych śladów walki...

– Może zapomniała? – podsunęła zamyślona Zojka. – Przecież była w szoku, dopiero co zaliczyła przejazd kolejką górską w dół schodów. Bez wagonika.

– Możliwe – przyznał aspirant. – A może zataiła to z innego powodu? Niech pani tak na mnie nie patrzy, nie mam pojęcia jakiego.

– I na jaką pomoc pan liczy?

– Chciałbym, by odwiedziła ją pani w szpitalu i odrobinę wy badała. Bez nacisków. My ją i tak przesłuchamy

uzupełniająco, ale może przy pani łatwiej się otworzy?

– Czemu nie. – Zojka wzruszyła ramionami. Polubiła Patrysię i nie miała nic przeciwko temu, aby odwiedzić ją na oddziale i złożyć podpis na zagipsowanej ręce. Tak się chyba robi? Pamiętała z podstawówki!

Dalsza część wieczoru upłynęła na porządkowaniu kuchni (babunia wcisnęła aspirantowi ryżową szczotkę i zażądała usunięcia plam z jajek z podłogi) i picia herbaty z sokiem malinowym. Gdy po domku rozszedł się przyjemny aromat pieczonego ciasta, policjantowi zaburczało w brzuchu, więc Zofia dobyła z kredensu bochenek chleba, postawiła na stole słoik dżemu z leśnych malin i zaprosiła na kolację. Kiedy mężczyzna delektował się słodkim smakiem kanapek, starsza pani zbliżyła się do piekarnika, wydobyla blaszkę spoczywającą na dolnej półce i trzymając ją w grubych kuchennych rękawicach, zademonstrowała policjantowi.

– No, może władza być z siebie dumna – obwieściła dziwnie stłumionym głosem.

Zojka, która ze swojego miejsca doskonale widziała machinacje staruszki, nie mrugnęła nawet okiem i aprobująco skinęła głową.

– Pachnie obłędnie! – Uśmiechnęła się łakomie.

Po pewnym czasie aspirant Chochołek opuścił domek na wzgórzu, wynosząc z niego nie tylko blaszkę z apetycznie pachnącym ciastem, ale także przekonanie, że tym razem uczyni na matce swojej wybranki najlepsze wrażenie. Babunia stała przy oknie, dopóki mężczyzna nie zniknął w mroku wawozu, a potem skinęła na Zojkę.

– Wynieś, dziecko, ten drugi placek kurom. Im te skorupki na pewno nie zaszkodzą...

Następnego dnia Zojka wyrwała się wcześniej z pracy, by spełnić prośbę aspiranta Chochołka i odwiedzić nieszczęsną

Patrysię. Nie widziała koleżanki od wypadku i cieszyła się na tę okazję. Młoda, żywiołowa pracownica Jedynaka szybko zdobyła jej sympatię.

Po drodze skręciła na plac handlowy i na jednym ze stoisk kupiła kilogram pomarańczy. Z woreczkiem dyndającym przy kolanach ruszyła w kierunku budynku szpitala. Chciała zdążyć na pociąg o szesnastej, więc na rozmowę z Patrysią nie miała wiele czasu! Mimo to na moment przystanęła przy jednej z oszklonych witryn sklepowych. Ułożone na wystawie pierścionki, naszyjniki, obrączki, kolczyki i bransolety migotały zalotnie, puszczając do niej szlachetne oczko. Zojka może i była kiedyś chłopczycą w obszarpanych szortach ze starych jeansów, może i preferowała na co dzień wygodne trampki i nie pogardziła ciepłą bluzą z kapturem, gdy za oknem wiał porywisty wiatr, ale była też stuprocentową kobietą. Na widok wysokich szpilek (w których chodziła dość koślawo), zwiewnych sukienek, a także misternie wykonanej biżuterii jej serce uderzało mocniej.

Przez krótką chwilę podziwiała cudeńka wystawione na atlasowych poduszczykach, po czym westchnęła i z ociąganiem ruszyła dalej. Odchodząc, rzuciła okiem na elegancką markizę z nazwą sklepu i przełknęła ślinę. No, tak! To przecież salon jubilerski Piotra Jedynaka. „Ta jedyna!” A więc to tutaj pracowała Patrysia, zanim za poparciem pracodawcy wylądowała na teatralnej scenie w Lipówce! Zojka raz jeszcze zbliżyła się do wystawy i usiłowała dojrzeć, kto stoi za ladą, ale niestety była ona tak usytuowana, że sprzedający pozostawał poza zasięgiem wzroku przechodniów. Dziewczyna nie miała czasu na niezaplanowane odwiedziny w sklepie, więc podjęła wędrówkę do szpitala.

W budynku przy ulicy Karmelickiej panował względny spokój, mimo to Zojka poczuła dziwny niepokój. Nie lubiła szpitali. Jako mała dziewczynka odwiedzała z matką znajomą, która złamała nogę. Niestety, na miejscu okazało się, że dzieci nie są wpuszczane na oddział. Zdenerwowana matka postanowiła jakoś Zojkę przemycić i dziewczynka całą wizytę siedziała jak na szpilkach, czekając aż przyjdzie jakiś lekarz i wyrzuci ją na

ulicę. Kiedy w końcu czarny scenariusz się ziścił i w drodze do wyjścia napotkały lekarza w głośno stukających, białych chodakach, Zojka bez zastanowienia rzuciła się do ucieczki. Przerażona Krystyna odnalazła ją dopiero po dwóch godzinach, ukrytą w jakimś ciemnym schowku, wciśniętą między wiadro do mopa a przykurzoną drabinę.

Zojka odetchnęła głęboko, dodając sobie odwagi, i podeszła do dyżurki, by zapytać o Patrysię. Na dowód, że przychodzi w pokojowych i całkiem niewinnych zamiarach, zamachała reklamówką z pomarańczami. Po korytarzu rozszedł się przyjemny aromat cytrusów.

– Sala numer piętnaście – oświadczyła beznamiętnym tonem siedząca za szybą kobieta, przerzucając strony kolorowego tygodnika o życiu gwiazd.

Dziennikarka bez najmniejszych kłopotów odnalazła właściwą salę i zapukała do drzwi. Ponieważ nikt jej nie odpowiedział, lekko nacisnęła klamkę i zajrzała do środka. Na widok postaci leżącej na łóżku poczuła, jak unoszą się jej włoski nakarku.

– Biedactwo – jęknęła, wpatrując się w leżącą na łóżku pacjentkę. Lekarz z pogotowia wspominał o złamanej ręce i stłuczonej głowie, jednak najwyraźniej w szpitalu stwierdzono znacznie więcej obrażeń. Sądząc po ilości bandażu i opatrunków, Patrysia sama była jednym wielkim obrażeniem. Nie było widać nawet jej ładnej twarzy!

Zojka przełknęła ślinę i zbliżyła się do łóżka. Bez słowa opadła na niewygodny metalowy stółek stojący obok posłania Patrysi.

– Tak mi przykro – szepnęła, delikatnie gładząc zagipsowane ramię. Wychodząc z redakcji, na wszelki wypadek zabrała ze sobą czerwony zakreślacz. Pomyślała, że podpisując się na gipsie koleżanki, trochę poprawi jej humor, ale teraz, patrząc na te potworne obrażenia, stwierdziła, że mazak jest zupełnie nie na miejscu. Przecież biedna dziewczyna nie będzie w stanie podnieść głowy, by odczytać podpis Zojki!

– Hym, hym, hym – wymamrotała nagle Patrysia. Zojka spojrzała z niepokojem w obandażowaną twarz.

– To ja, Zojka, nie martw się. Przyszłam cię odwiedzić i zapytać... nie, to nieważne. Po prostu przy tobie posiedzę i dotrzymam ci towarzystwa, dobrze?

– Hem, hem – dobiegło z posłania.

Zojka w zamyśleniu spojrzała na nieruchomą postać na łóżku. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie tę wizytę! Chciała pogawędzić z Patrysią, a przy okazji wypytać o tajemniczą bójkę, o której wspomniał świadek Chochołka, a teraz nie miała pojęcia, jak się zachować i czuła się po prostu niezręcznie. Nie знаła Patrysi dobrze, nie wiedziała nic o jej życiu. Jedynym łączącym je tematem był amatorski teatr Jedynaków, a ten wydawał się nie na miejscu. Co, jeśli na samą wzmiankę o starej plebanii i przygotowaniach do spektaklu niedoszła Calineczka wpadnie w histerię? Zojka widziała to na filmach. Pacjent rzucał się na łóżku, aparatura piszczała, zapalały się różne kontrolki, a do sali wpadał lekarz i wrzeszczał: „Proszę poczekać za drzwiami!”. Co prawda w pokoju numer piętnaście nie było żadnej aparatury, a nieszczęsnica w bandażach nie sprawiała wrażenia zdolnej do rzucania się po łóżku, ale Zojka wolała nie ryzykować. Błądziła wzrokiem po metalowej szafce stojącej nieopodal, szukając czegoś, czego mogłaby się ucześcić, by podtrzymać rozmowę, jednak szafka była idealnie wysprzątana i poza butelką niegazowanej Cisowianki nic na niej nie stało. Milczała więc Zojka dalej, od czasu do czasu poklepując obandażowane ramię pacjentki z miną, miała nadzieję, pokrzepiającą.

Kiedy sama poczuła na ramieniu delikatne klepnięcie, o mało nie podskoczyła na twardym, niewygodnym krześle. Z przestrawieniem obejrzała się za siebie i ze zdumieniem spojrzała prosto w roześmiane oczy Patrysi.

– Zojka! – Przybyła zaśmiała się perliście. – Co tu robisz? Odwiedzasz kogoś bliskiego?

– Tak. – Tuszyńska wolno skinęła głową. – Ciebie.

– Mnie? – Starannie ukształtowane brwi dziewczyny uniosły się w wyrazie zdumienia.

– Powiedziano mi, że to twój pokój. – Zdezorientowana Tuszyńska spoglądała to na koleżankę, to na leżącą na łóżku zabandażowaną postać. – A że jest tu tylko jedno łóżko... – wzruszyła ramionami, nie dopowiadając reszty. Przez ponad pół godziny głaskała po ramieniu zupełnie obcą osobę, która musiała ją wziąć za jakąś nawiedzoną samarytanę!

– To był mój pokój – uściśliła Patrysia, zniżając głos. – Przeniesiono mnie dzisiaj rano, bo pani bardzo chrapie. Robi więcej hałasu niż młot pneumatyczny na ulicy pod moim blokiem!

– Jak się masz? – dopytywała wstrząśnięta Zojka, ruszając za Patrysią do sąsiedniej sali.

– Dobrze, ale cholera mnie już bierze w tym szpitalu. Straszne tu nudy!

– Chochołek wspominał o złamaniu ręki... – Zojka obrzuciła krótkim spojrzeniem temblak, którym unieruchomiono ramię koleżanki. Patrysia zmarszczyła brwi. Poprowadziła Zojkę do łóżka pod oknem i stopą przysunęła jej białe, szpitalne krzesło. Sama opadła na posłanie i oparła się o poduszkę.

– Chochołek? Masz na myśli tego policjanta? – Spoglądała na koleżankę podejrzliwie.

– Tak. – Zojka skarciła się w duchu. – Wiesz, zjawił się na plebanii, żeby nam powiedzieć, że to nie...

– Że ktoś mnie zepchnął ze schodów – dopowiedziała pogodnym tonem Patrycja. Nagle spoważniała. – Mam nadzieję, że złapie tego psychola.

– Miałaś dużo szczęścia – wykrztusiła Tuszyńska, przypominając sobie ciało koleżanki rozciągnięte na schodach.

– Lekarze mówią tak samo. – Patrysia skinęła głową. – I teraz jestem tu uziemiona, a na dodatek czeka mnie długa rehabilitacja.

– Bardzo ci współczuję, ale... – Zojka zawahała się. – Co się tam stało?

– Wiem tyle, co ty. – Patrycja zaśmiała się niewesoło. –

Chciałam zejść na dół, by któraś z tych starych kwok pomogła mi dopasować sukienkę. Choć pewnie prędzej nadziałyby mnie na jakiś drut – stwierdziła z goryczą. – Wyszłam na schody, poczułam pchnięcie, a następną rzeczą, jaką pamiętam, jest twarz pochylającego się nade mną lekarza i polecenie, żebym leżała spokojnie!

– I nikogo nie widziałaś?

– Och, wiesz, jak jest na takich starych strychach. Ciemne kąty, wszędzie pajęczyny... Nie rozglądałam się na boki, patrzyłam pod nogi.

O tak, wiem, jak jest na starych strychach, zachnęła się w duchu Zojka, którą nadal niepokoiły dziwne hałasy i trzaski, które usłyszała poprzedniego wieczora.

– Wiedziałam, że prędzej czy później ktoś zleci z tych schodów – mruknęła trochę bez sensu. – Potknie się na rozciągniętym kocie albo coś...

– Nie widziałam żadnego kota, a i tak zleciałam. – Patrysia zarumieniła się z emocji. Zojka zastanawiała się w duchu, czy rozmowa o wypadku w jakiś sposób nie zaszkodzi rekonwalescentce. Przecież została napadnięta, ktoś, kto zrzucił ją ze schodów, bynajmniej nie wyrażał w ten sposób sympatii. Chciał wyrządzić jej krzywdę i uczynił to!

– Masz jakieś podejrzenia? – Zojka zniżyła głos do szeptu i niespokojnie obejrzała się przez ramię. Leżąca na łóżku przy drzwiach pacjentka posłała jej przeciągłe spojrzenie znad czytanej książki. Zojka zerknęła na okładkę i rozpoznała popularną sagę Karoliny Wilczyńskiej. Niedawno przyniosła ją z biblioteki.

– Podejrzenia?

– Podejrzenia, kto mógł cię zaatakować. Może się z kimś pokłóciłaś? Może ktoś zaatakował cię wcześniej?

– Nic takiego nie miało miejsca. – Patrysia potrząsnęła głową. – A co do kłótni, sama widziałaś, co działo się na castingu. One wszystkie mnie znienawidziły. Zazdrościły mi, że to właśnie ja zagram główną postać. Szukasz winnego? Poszukaj tej, która

wzięła po mnie rolę Calineczki! – Obruszyła się.

– Tej akurat szukać nie muszę – burknęła Tuszyńska. – Ja ją dostałam...

– Ty? – Oczy Patrysi zrobiły się duże i okrągłe.

– Tak, ale ja mam alibi! – Zojka uniosła dłonie w obronnym geście. – Kiedy ciebie zrzucano ze schodów, ja walczyłam z tym bubkiem Kordeckim o kawałek placka ziemniaczanego!

– Ale przecież byłaś asystentką tej starej krowy!

– Byłam – potwierdziła Zojka, myśląc, że określanie Karoliny mianem starej krowy jest bardzo niesprawiedliwe. Żona Jedynaka nie przekroczyła jeszcze czterdziestki. – Ale Chochołek, podobnie jak i ty, uważa, że napad powodowany był zazdrością o rolę. Uważa, że ja sobie poradzę...

– Cóż, ja na twoim miejscu bym się zastanowiła, czy warto ryzykować...

– Może wcale nie chodziło o rolę? – głośno zastanawiała się Zojka, popatrując przenikliwie na zarumienioną Patrysię. – Jesteś pewna, że nie próbowano zaatakować cię wcześniej? Według świadków ze strychu dochodziły podejrzane rumory!

– Rumory? Hałasy znaczy? – Dziewczyna zmarszczyła mocno brwi. Nagle pobladła. – Och. To prawda. Wdałam się z kimś w utarczkę, ale to nic ważnego. Nie chcę o tym mówić. To nie ma nic wspólnego z wypadkiem.

– Skąd ta pewność? – zdumiała się Zojka. – Skoro doszło do bójki... Powinnaś poinformować Chochołka!

– To nie była bójka! – W oczach Patrysi zalśniły łzy. – Po prostu pokłóciłam się z kimś... bliskim. I potraçałam jakiś idiotyczny koszyk z plastikowymi owocami. Sama wiesz, jaka graciarnia jest na poddaszu.

– Tak, widziałam. – Zojka przytaknęła. – Jesteś pewna...

– Tak, jestem pewna i proszę, nie wypytuj mnie więcej, bo i tak nie powiem, o kogo chodzi. – Patrysia posłała Zojce błagalne spojrzenie. – Miej oczy naokoło głowy i uważaj na

schodach. Nie chciałabym, żeby spotkała cię krzywda...

– Będę uważać. – Zojka kiwnęła głową.

Młode kobiety zamilkły i popatrywały na siebie zmieszane. Dalej rozmowa wyraźnie się nie kleiła i zerknąwszy na wyświetlacz smartfona, Zojka z ulgą stwierdziła, że pora zbierać się na pociąg. Rozejrzała się w poszukiwaniu torebki. Z przerażeniem uświadomiła sobie też, że pomarańcze, które przyniosła dla Patrysi, zostały na posłaniu zabandażowanej kobiety z piętnastki. Patrysia machnęła ręką lekceważąco.

– I tak nie lubię!

Zojce nie pozostało nic innego, jak delikatnie uściskać koleżankę i życzyć jej szybkiego powrotu do zdrowia. Opuściła szpital i ruszyła w kierunku stacji kolejowej. Po drodze zastanawiała się, kim była tajemnicza osoba, która spotkała się z Patrycją tamtego popołudnia w garderobie, a następnie wdała się z nią w kłótnię. Piotr Jedynak? Jego żona? Któraś z kobiet przetrząsających pakę z kostiumami scenicznymi? Zojka pokręciła głową zdezorientowana. Nic do siebie nie pasowało.

• ROZDZIAŁ ÓSMY •

Przygotowania do przedstawienia nabierały rozpędu.

Ksiądz Seweryn łapał się za łysiejącą głowę, obrzucając przerażonym spojrzeniem liczne rekwizyty teatralne znoszone na plebanie, aktorzy przewijali się przez scenę, by pod surowym wzrokiem pani reżyser ćwiczyć kolejne akty teatralne, Kordecki wypełniał kartę pamięci nowymi ujęciami, a Zojka zamówiła w hurtowni papierniczej pakiet trzech plastikowych podkładek, otrzymując do tego gratis temperówkę przedstawiającą uśmiechniętą kupę.

– Dwa tygodnie do premiery – mruknęła pod nosem Karolina.

– I jest coraz lepiej – dodała Zojka.

– Czyżby? – Pani reżyser skrzywiła się i zerknęła w kierunku siedzącego nieopodal Michniaka. Nie dalej jak godzinę wcześniej odgrywający rolę drzewa mężczyzna zasnął i z głośnym hukem zwałił się z podestu. Przy okazji zahaczył rozcapierzonymi gałązkami o stojącą nieopodal Anastazję i przyozdobił jej twarz czerwoną pręgą ciągnącą się przez czoło, lewe oko i jeden policzek. Zachodziła obawa, że matka Calineczki będzie zmuszona wystąpić w opasce pirata.

Zojka wzruszyła ramionami.

– Niskie ciśnienie.

– Albo wysokie procenty – Karolina, która cierpiała na nadwrażliwość węchową i na odległość czuła zapach nawozu, na którym wyrosło drzewo Michniaka, zgrzytnęła zębami. – Jak mi Bóg miły, mam ochotę wyrzucić go na zbity pysk, ale Piotrek mi głowę suszy, że jestem zbyt wymagająca! I że to tylko amatorzy!

– Co fakt, to fakt. – Tuszyńska kiwnęła głową. – Poza tym lepiej mieć Michniaka na scenie. Pomyśl, co by było, gdyby się szwendał między sponsorami...

Karolina jęknęła.

– Masz rację. Między innymi dlatego chciałam, by premiera odbyła się w Wadowickim Centrum Kultury, ale Piotr uważa, że to nie byłoby w porządku wobec księdza Seweryna. Przecież udostępnił nam budynek plebanii. Wystawimy potem *Calineczkę* w innych miejscach, ale pierwszy spektakl musi się odbyć właśnie w Lipówce.

– Będzie dobrze. Zrobimy furorę! – zapewniała Zojka.

Karolina uniosła znacząco brew.

– No ty i Kacper z pewnością... – Zaśmiała się.

Spojrzenia obu kobiet powędrowały w kierunku grupki aktorów stojących pod ścianą. Młody mężczyzna jakby to wyczuł, bo uniósł głowę, popatrzył wprost na nie i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Karolina odchrząknęła, a Zojka uświadomiła sobie, że na jej szyję i twarz wpełza zdradliwy rumieniec. W tej samej chwili poczuła, jak oślepia ją flesz aparatu. Przez czarne mroczki szalejące przed jej oczami dostrzegła zarys sylwetki Kordeckiego. Zacisnęła pięści i już miała ruszyć w jego stronę, ale powstrzymały ją słowa Karoliny.

– Nie da się ukryć, redaktorze, że przykłada się pan do pracy...

– Tego wymaga pani mąż. – Kordecki wzruszył niedbale ramionami. – A ja nie chcę, by coś mi umknęło.

– I najwyraźniej nic panu nie umyka. – Pani reżyser skinęła głową. – To mi przypomina, że powinniśmy wrócić do prób.

Biegnij na górę i załóż sukienkę! – zwróciła się wesołym tonem do Zojki.

– Na górę? – Młoda kobieta zawahała się. – Po co na górę? Przebiorę się w łazience, będzie szybciej.

– Ale krawcowa zostawiła sukienkę na poddaszu. No wiesz, w garderobie. – Kobieta puściła do Tuszyńskiej oko. Zojka głośno przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

– A nie szkoda takiej pięknej sukienki na próbę? Stanie mi na drodze jakiś... – spojrzała ze złością na Kordeckiego i przekonała się, że ten przygląda się jej z zaciekawieniem. – ... konar, i będzie po sukience!

– Zaryzykujemy. – Śmiech Karoliny poniósł się po scenie. – Ale na wszelki wypadek odeślemy pana Michniaka do domu. Niech pośpi dla odmiany we własnym łóżku.

– No, tak. Ale ja... – jęknęła Zojka, posyłając Karolinie rozpaczliwe spojrzenie.

Pani reżyser natychmiast spoważniała. Przez krótką chwilę wpatrywała się w Zojkę szeroko otwartymi oczami, po czym wykrztusiła:

– Ty się boisz?!

– Skąd – mruknęła Tuszyńska, spuszczać wzrok. Jej uszu dobiegło pogardliwe prychnięcie Kordeckiego i gwałtownie poderwała głowę. – Czego miałabym się bać? – zapytała ze złością, nie wiedząc na kogo: na Karolinę czy dziennikarza.

– Nie wiem, ale na wszelki wypadek dam ci obstawę – zakpiła Karolina. – Pan redaktor na pewno okaże rycerskość, pójdzie z tobą i poczeka pod drzwiami, aż się przebierzesz!

– A czy ja jestem przedszkolanką? – Mężczyzna się obruszył.

– Chwała Bogu, nie! – warknęła Zojka. – Te biedne dzieci nigdy by się po tym nie pozbierały... A za obstawę dziękuję, dam sobie radę. Ja po prostu... – Rozpaczliwie szukała wyjaśnienia dla swojej historycznej reakcji. – Mam problem z wejściem po schodach. Upadłam na oblodzonym chodniku i potłukłam się.

– Przecież jest odwilż – zauważył Kordecki.

– Chyba u ciebie w lodówce! Poza tym upadłam kilka dni temu – warknęła Tuszyńska.

Karolina spojrzała na nią z widocznym niepokojem w dużych oczach.

– Jezu, nic ci nie jest? Dasz radę zagrać?

– Nic mi nie będzie. – Zojka machnęła ręką.

Kordecki splótł ramiona na wysokości klatki piersiowej i uśmiechnął się chłodno.

– Nie utykasz...

Zojka obrzuciła dziennikarza nienawistnym spojrzeniem i pomyślała, jak by to było pięknie, gdyby ten wypasiony aparacik wypadł mu z ręki i roztrzaskał się na miliony kawałeczków. Z pewnością ten uśmieszek raz-dwa spelzłby z twarzy bubka Kordeckiego! A gdyby tak lekko zarzucić ręką? Konar zahaczył, ręka też mogła, czyż nie?

Nieznacznie przysunęła się do nieświadomego zagrożenia mężczyzny, ale Karolina, która najwyraźniej wyczuła, co się święci, złapała ją za łokieć i popchnęła w kierunku schodów.

– Nie utykasz, nie utykasz, ale jak zlecisz ze schodów, to na utykaniu się nie skończy. Myślę, że redaktor tym chętniej otoczy cię opieką i dopilnuje, żeby w drodze na poddasze nie spotkała cię żadna krzywda. Prawda? – zaczęła radośnie.

– Będę zachwycony. – Kordecki zgrzytnął zębami i odwrócił się na pięcie. Szybkim krokiem opuścił salę, a Karolina zaklaskała w dłonie i poleciała ustawić na scenie dekoracje do następnej sceny. Chcąc nie chcąc, Zojka poczłapała za redaktorem.

Kordecki zatrzymał się u podnóża schodów.

– Poczekam tu na ciebie – oświadczył.

Zojka skinęła głową. Kordecki drażnił ją bardziej niż okruchy chipsów na prześcieradle, ale w głębi ducha cieszyła się, że mężczyzna jej towarzyszy. Chociaż tłumaczyła sobie, że jej obawy związane z ciemnym poddaszem są zupełnie

irracjonalne, i wiedziała, że nic złego jej tam nie spotka, nie potrafiła pozbyć się dziwnego niepokoju. Poczucie, że on stoi, czeka i w razie zagrożenia pospieszy z pomocą, było po prostu, hmmm, przyjemne.

Zdażyła pokonać trzy stopnie, kiedy Kordecki zawołał ją cicho. Odwróciła się i spojrzała na niego z góry.

– Nie utykasz – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Czegoś się boisz. O co tu chodzi, do cholery?

– Ja? – Zojka przybrała minę niewiniątka. Kordecki zrobił krok w jej kierunku, a ona odruchowo się cofnęła.

– Dlaczego dostałaś główną rolę? Znowu kombinujecie?

– Nie wiem, o czym mówisz!

– Och, naprawdę? A mnie się wydaje, że dobrze wiesz! – Zmrużył podejrzliwie oczy. – Kim jest facet, z którym masz zagrać? Pojawił się ot tak i od razu dostał rolę księcia? Skąd się wziął?

Zojka parsknęła śmiechem. Podparła brodę kciukiem i palcem wskazującym, udając, że się nad czymś intensywnie zastanawia. Nagle otworzyła szeroko oczy i przybrała minę zatytułowaną „Już wiem!”.

– Może wyskoczył z tulipana? – zapytała. Kordecki prychnął i spojrzał na nią z ukosa.

– Żartuj sobie, żartuj! Coś tu nie gra, a tobie...

– Za to tobie – Zojka bezceremonialnie przerwała dziennikarzowi, dla podkreślenia swoich słów tupiąc nogą – tym razem coś umknęło.

– Co? – warknął Kordecki, ale Zojka wzruszyła tylko ramionami i odwróciwszy się na pięcie, pędem pokonała resztę schodów. Wściekły redaktor odwrócił się plecami do stopni i wcisnął dłonie w kieszenie jeansów.

Zojka wpadła do przymierzalni i szarpnięciem zerwała z wieszaka sukienkę Calineczki. Walcząc z zaciętym suwakiem, pomyślała, że Kordecki zachowuje się zupełnie, jakby był

zazdrosny, ale po chwili dotarła do niej absurdalność tego spostrzeżenia i potrząsnęła głową, śmiejąc się z samej siebie.

Szarlotka Chochołka, czy może raczej należałoby powiedzieć: szarlotka babuni Łyczakowej, zrobiła furorę. Zadowolony z siebie policjant rozparł się za stołem i popijał herbatę z porcelanowej filiżanki, która była tak maleńka, że w pierwszej chwili wziął ją za część serwisu dla lalek. Na widok maleńkiego uszka, w które miał wsunąć swój ogromny palec, Chochołek poczuł, jak oblewają go siódme poty. Na szczęście podpatrzył, jak matka Klary chwyta swoje naczynie, odginając mały palec pod dziwnym kątem i najzwyczajniej w świecie ją zmałpował. Pić się dało, ale wygodne to to nie było, oj nie! Chochołek podejrzewał, że ten wieczór zakończy się porcelanową katastrofą.

Na szczęście jak do tej pory wszystko przebiegało gładko. Tym razem stróż prawa zrezygnował z kwiatów, choć sprzedawczyni w kwiaciarni, w której kupował ozdobne pudełko na szarlotkę, namawiała go na zakup designerskiego kaktusa w równie designerskiej doniczce. Chochołek, który nie miał pojęcia, co to słowo oznacza, wpadł w lekką panikę. Na szczęście pudełko na ciasto ogołociło jego portfel do cna i z czystym sercem (i niemiłym posmakiem gdzieś w przelyku) mógł odmówić. Ponadto zaniósł koszulę do pralni, zamawiając usługę czyszczenia z prasowaniem, a zanim sięgnął do dzwonka przy drzwiach, dokładnie skontrolował zawartość kieszeni. Dobrze przygotował się do drugiego spotkania z matką swej wybranki!

Klara najwyraźniej uważała tak samo, bo uśmiechnęła się do niego ciepło nad stojącym na stole serwisem w różyczki. Chochołek ponownie uniósł filiżankę do ust. Była już pusta, ale chciał czymś zająć ręce, a sięganie po pękaty dzbanek i dolewanie sobie aromatycznego naparu uważał za zbyt kuszenie losu. Zerkał przy tym na starszą panią, która z wyrazem błogości na twarzy sięgała po kolejny kawałek ciasta.

– Muszę przyznać, że miło mnie pan zaskoczył, aspirancie –

rzekła, wbijając widelczyk w żółciutką kruszonkę. Policjant na sam widok poczuł napływającą do ust ślinę. Ale zjadł już dwa kawałki i nie chciał pokazać się jako łakomczuch, który rzuca się na przyniesione przez siebie ciasto. Pocieszał się, że aby zmieścić ciasto do ozdobnego pudełka, musiał je nieco okroić. Po powrocie do domu zamierzał urządzić sobie ucztę z przechowywanych w lodówce skrawków.

– Och, ciasto jest pyszne – dodała Klara.

Chochołek zarumienił się po korzonki żółtawej grzywki i głośno chlipnął herbaty, której nie było. Nie uszło to uwagi starszej pani.

– Klarciu, dolej panu herbaty.

Mężczyzna spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Proszę mi mówić po imieniu – zaproponował wielkodusznie.

– Będzie mi bardzo miło. – Matka Klary kurtuazyjnie skłoniła głową. – Miałam kiedyś wuja o tym imieniu. Był ulubieńcem mojej matki i babki.

– Musiał być wspaniałym człowiekiem – palnął Chochołek. Matka Klary skrzywiła się.

– Wprost przeciwnie. Był hazardzistą i kobieciarzem.

– Ja nie gram w karty – zastrzegł szybko policjant.

– Och, szkoda. – zmartwiła się starsza pani, wsuwając do ust ostatni kawałek ciasta. Chochołek przełknął ślinę. – Wuj nauczył mnie kilku sztuczek. Chętnie bym sobie je przypomniała.

– Układam pasjansa – wykrztusił trochę bez sensu stróż prawa. – W komputerze.

Matka Klary uśmiechnęła się pobłaźliwie, odsunęła talerzyk i wstała zza stołu. Chochołek poderwał się jak pociągnięty na sznurku. Nadeszła pora, by przyjrzeć się bliżej biblioteczce, przy której przenoszeniu miał pomagać. Policjant niepewnie podszedł do masywnego mebla i oparł dłoń na ciemnym boku. Pięć półek, ustawione jak od linijki książki, kilka bibelotów i ramek ze

zdjęciami. Na jednym z nich małeńka Klara z zaślinioną brodą. Chochołek odruchowo potarł własną.

Starsza pani dostrzegła wahanie gościa i pokrzepiająco poklepała po ramieniu.

– Nie jest taka ciężka! Poradzi pan sobie śpiewająco, panie Pawle. Uważam, że jest pana na tyle!

Chochołek pospiesznie wciągnął brzuch i naprężył mięśnie. Równocześnie poczuł, jak szew koszuli pod lewą pachą cokolwiek popuszcza. Matka Klary wzruszyła ramionami i posłała mu znaczące spojrzenie.

– Oczywiście panu pomożemy, gdy zajdzie taka potrzeba. Jeśli uzna pan, że taka praca przystoi damom...

Aspirant posłał jej nieszczęśliwe spojrzenie. Nie, nie śmiałyby uznać, że sapanie pod masywną biblioteczką przystoi damom, i nie zamierzał zniżać się do proszenia o pomoc. Nawet jeśli zalegnie pośrodku dużego pokoju z dziwacznie rozkraczonymi nogami i językiem przyklejonym do brody. Może uwiecznią go na zdjęciu i umieszczą w posrebrzanej ramce?

– Zabierajmy się do roboty! – Gospodyni energicznie zatarła ręce.

Klara i jej matka raz-dwa zakrzętały się przy biblioteczce, opróżniając ją z książek i ozdobnych przedmiotów, a Chochołek dyskretnie poluzował pasek przy spodniach i sprawdził szew koszuli pod drugą pachą. Następnie zbliżył się do ciężkiego mebla, zatarł dłonie, ugiął kolana, złapał za boki i... Biblioteka ani drgnęła. Ani o milimetr. Stropiony policjant wyprostował się, obszedł mebel, oparł ramię o bok i pchnął. Nic. Podszedł więc do drugiego boku, ponownie pchnął i przerażony stwierdził, że wszystko na nic.

– Wyjmijmy półki – zaproponowała Klara. – Będzie lżejsza.

– Dobry pomysł – wychrypiał policjant.

Wydobycie półek nie zdało się na wiele. Biblioteka nadal nie dała się poruszyć. Zasapany Chochołek spoglądał na nią nienawistnie. Podejrzewał, że lekko nie będzie, na oko to

cholera ważyła z dwieście kilo, ale żeby tak ani drgnąć? Przez myśl przemknęło mu coś o złośliwości rzeczy martwych. Po raz pierwszy w życiu aspirant przekonał się, ile prawdy tkwi w głupich porzekadłach!

Nie, nie pokona go byle kawałek drewna! Nie zepsuje tak pięknie przebiegającego wieczoru!

– Dziwne – mruzczała nieopodal matka Klary. – Wydawałoby się, że pan aspirant ma więcej krzepy!

Słowa starszej pani dotknęły policjanta tam, gdzie dotknąć miały. Sięgnęły do najgłębszych pokładów męskiego ego i nieprzyjemnie je podrażniły. Mężczyzna z furją w oczach natarł na oporną biblioteczkę. Pod żółtawą grzywką pojawiły się nabrzmiałe żyły, skóra policzków i szyi przybrała barwę soku malinowego.

– Ty cholero! – wyrwało mu się nieopatrznie i na moment znieruchomiał. – Znaczy, chciałem powiedzieć, złośliwy gracie! – wymamrotał, ocierając czoło.

Nie wiadomo, co bardziej zgorszyło matkę Klary: pospolita cholera czy sugestia, że jej ulubiona biblioteczka jest gratem. Dość że wybałuszyła na zmordowanego mężczyznę oczy, po czym uniosła dłoń, zasłoniła usta i zachichotała:

– Oj, zapomniałam, że jest przykręcona do ściany...

Teraz dla odmiany oczy wybałuszył Chochołek. Przez chwilę wpatrywał się w starszą panią z niedowierzaniem, po czym opadł na błyszczący parkiet i siedział tak dłuższą chwilę, szybko oddychając i wachlując się jedną ręką. Sprowadzony naprędce sąsiad z wkrętarką rozdzielił biblioteczkę i ścianę, a Chochołek podszedł do mebla na drżących nogach, złapał go za boki i pociągnął. Tym razem regał nie sprawiał mu żadnych trudności i pozwolił przetransportować się we wskazane przez gospodynię miejsce. Choć określenie ich wspólnej drogi do sąsiedniego pokoju łatwą i przyjemną byłoby sporą przesadą...

Kiedy Klara układała książki, Chochołek podziwiał porcelanowy serwis ustawiony na półkach lśniącej serwantki w kącie i usiłował uspokoić przyspieszony oddech. Ponieważ

półki mebla nie były oszklone, mógł dokładnie przyjrzeć się misternym cudeńkom ozdobionym rysunkami kwiatowych pączków. Na cukiernicy dostrzegł nawet maleńkiego ptaszka, którego przy odrobinie dobrej woli można było wziąć za kanarka. Aspirant uśmiechnął się pod nosem, myśląc, że w tym domu jest wiele pięknych i delikatnych przedmiotów.

Matka Klary zauważyła jego zainteresowanie i przystanęła obok.

– To serwis mojej babki. Klara otrzyma go w posagu ślubnym.
– Uśmiechnęła się znacząco.

– Ślubnym? – powtórzył Chochołek rozmarzonym tonem. I nagle oczami wyobraźni ujrzał siebie samego, przyklekającego na jedno kolano, wydobywającego z kieszeni spodni ozdobne puzderko i zadającego to jedno, ważne pytanie: „Czy chcesz być częścią życia mojego i Kleofasa?”. Uważał, że to bardzo romantyczne! Widział wyraz zaskoczenia na ładnej twarzy ukochanej, łzy wzruszenia w jej ślicznych oczach, zachwyt na widok złotego pierścionka z uroczym oczkiem. Chochołek poczuł nagły niepokój. Czy uda mu się kupić pierścionek z żółtym oczkiem? Ale jego rozważania przerwał głos starszej pani, która na krótką chwilę wyszła z pokoju, a teraz wróciła i wpatrywała się w policjanta przepraszająco:

– Obawiam się, że ściana, na której stała biblioteczka, z tą obrzydliwą dziurą po śrubie... – wypluła z siebie – ... nie wygląda ładnie.

Chochołek wytrzeszczył oczy, zadając sobie pytanie, czego tym razem od niego zażądają. Ma złapać za kielnię i murować? Tynkować? Malować? Okazało się, że starsza pani wpadła na pomysł po stokroć gorszy.

– Obawiam się, że musimy przesunąć biblioteczkę z powrotem w to samo miejsce. – Wzruszyła ramionami.

Chochołek jęknął i zachwiał się na nogach. Próbując odzyskać równowagę, wyciągnął na oślep rękę i wsparł się na pierwszej rzeczy, na jaką natrafił. Pech chciał, że była to półka serwantki. Porcelanowe cudeńka posypały się na podłogę z ogłuszającym

brzdękiem, a przerażony policjant pomyślał, że przeczucie go nie zawiodło. Porcelanowa katastrofa właśnie się dokonała!

• ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY •

Redaktorowi Kordeckiemu nie dawało spokoju dziwne zachowanie Zojki i tajemnicze słowa, które rzuciła, wbiegając po schodach. Myśli o dziennikarce zaprzętały go nawet podczas kolegium redakcyjnego, które zwołał na poniedziałkowe przedpołudnie, w efekcie czego wracając do swojego pokoju, sam nie wiedział, jakie tematy zlecił podwładnym. Stropiony redaktor drapał się po świeżo ogolonym policzku i nieopatrznie zadrasnął maleńkie skaleczenie. Tak, tak, panna Tuszyńska towarzyszyła mu poniekąd również przy porannym goleniu...

Mężczyzna zaklął, poderwał się z fotela i szybkim krokiem podszedł do szafy stojącej w rogu pokoju. Szarpnięciem otworzył drzwi, po czym spojrzał krytycznie w lustro zawieszone po ich wewnętrznej stronie. Starł niewielką smużkę krwi i na chwilę zagapił się na własne odbicie, pozwalając myślom swobodnie szybować. To, że Zojka i Chochołek coś kombinowali, nawet go nie dziwiło. Już przy pamiętnej sprawie Klaudii Szczypczyk aspirant udowodnił, że pociągają go jakieś sekretne inscenizacje, Tuszyńska z kolei chętnie dawała się w nie wciągać. Tych dwoje dobrało się jak w korcu maku, pomyślał Kordecki, czując lekkie ukłucie zazdrości. Zojka dostała główną rolę, by... no właśnie, co? Pełnić rolę przynęty? Stać się oczami i uszami policjanta, który nie mógł być na miejscu? Zatem jej zagadkowe słowa dało się jakoś wytłumaczyć, ale zachowanie? Pewnie po prostu boi się

ciemności! Redaktor zaśmiał się w duchu. Oj, te baby! Takie odważne chcą zgrywać, a jak przyjdzie co do czego, podskakują, słysząc byle szelest!

Zadowolony z rozwiązania zagadki zatrzasnął szafę. Wrócił na fotel i podniósł klapę laptopa. W tej samej chwili rozległo się delikatne pukanie i do pokoju wsunęła się uśmiechnięta Arleta. Kordecki zaklął pod nosem. Podejrzewał, co zaraz nastąpi.

– Przyniosłam ci aspirynę i gorącą herbatę z miodem – zaszemrała młoda kobieta, sunąc w kierunku biurka na swoich niebotycznych obcasach. Przez głowę Kordeckiego przemknęła myśl, że najwyraźniej powinien zorganizować szkolenie BHP czy coś w tym rodzaju.

– Uhm. – Skinał głową.

– Na kolegium byłeś taki nieobecny. Wyglądasz niewyraźnie. – Mówiła, stawiając na biurku kubek z napisem SZEŃ i obchodząc mebel naokoło, jakby nie mogła wyciągnąć ręki i podać mu pastylek. Redaktor zaniepokoił się. Chyba nie zamierzała osobiście położyć mu ich na języku? Odruchowo cofnął się wraz z fotelem.

Arleta przystanęła tuż obok, wsparła jedną rękę na blacie biurka, wysunęła biodro i podała mu tabletki. Złapał je bez szmeru sprzeciwu i wpakował do ust. Miały gorzki smak, więc pociągnął solidny łyk herbaty, boleśnie parząc język i gardło. Spojrzał na dziewczynę załzawionymi oczami, a ona zmartwiona pokręciła głową.

– Wyglądasz fatalnie! Nie masz aby gorączki? – zaniepokoiła się i zanim Kordecki zdążył zaprotestować, napała na niego, przykładając dłoń do czoła i unieruchamiając głowę na wysokości słodko pachnącej klatki piersiowej. Redaktor pomyślał, że jeszcze chwila, a rzeczywiście poczuje się gorzej. I mówiąc brzydko, puści pawia za dekolt panny Kulik.

– Nic mi nie jest – wychrypiął z trudem, delikatnie, ale stanowczo odpychając ją od siebie.

– Nie jesteś rozpalony. – Wzruszyła ramionami. W jej tonie pobrzmiwało lekkie rozczarowanie. – Napij się herbaty. A może

poczujesz się lepiej, kiedy coś zjesz? Wyjdziemy na obiad?

– Niestety, nie mam czasu – wymamrotał, pochylając się nad klawiaturą.

– No proszę cię, zdrowie jest najważniejsze...

– Nic mi nie jest – powtórzył z naciskiem.

– No dobrze. – Ustąpiła nadaśana i rozkołysanym krokiem ruszyła w stronę drzwi. Kładąc rękę na klamce, posłała mu szeroki uśmiech i żartobliwie pogroziła palcem: – Ale pamiętaj, że mam cię na oku! Gdybyś poczuł się gorzej, natychmiast mnie zawołaj. Zaopiekuję się tobą!

Rany boskie, pomyślał Kordecki.

W tym momencie zabręczała komórka leżąca na blacie biurka. Redaktor przeprosił Arletę niewyraźnym mruknięciem i sięgnął po aparat. Dzwonił Jedynek, a telefony od przedsiębiorcy w ostatnim czasie łączyły się tylko z teatrem, zdjęciami z teatru, relacjami prasowymi z przygotowań w teatrze itepe, itede. Kordeckiego mdliło na samą myśl o rozmowie na ten temat, ale wszystko było lepsze od przenikliwo-słodko-namiętnego spojrzenia dziennikarki, więc pospiesznie odebrał.

– Redaktorze – Jedynek nie tracił czasu na powitania – mam do pana małą prośbę.

– Słucham, panie Piotrze.

– Z pewnością wybiera się pan do Lipówki... – Przedsiębiorca zawiesił znacząco głos. Kordecki zgrzytnął zębami. Czy miał inne wyjście? Jedynek był dobrym, wypłacalnym klientem, a „Kronika Wadowicka” właśnie takich potrzebowała. Nie należało narażać się na jego gniew i ryzykować, że pójdzie do konkurencji. Do „Głosu Wadowic” na przykład.

– Naturalnie – powiedział więc.

– Świetnie. Chciałbym, by po drodze wstąpił pan do mojego salonu i odebrał od pracownika paczkę dla żony.

– Ja nie mam żony – bez zastanowienia palnął Kordecki.

– Dla mojej żony! – W głosie Jedynaka pojawiły się tony

rozdrażnienia. – Śpi pan, do cholery?

– Przepraszam, chyba zbiera mnie jakieś choróbsko. – Zakłopotany dziennikarz sięgnął po kubek i upił łyk herbaty.

– Niech się pan nie wygłupia! – warknął Jedynek. – Potrzebuje dobrej prasy! Mam porozmawiać z Markowską?

– To nie będzie konieczne – chłodno odparł Kordecki. – Kiedy mam odebrać tę paczkę?

– Najlepiej od razu – rzucił Jedynek i rozłączył się bez pożegnania. Dupek, pomyślał redaktor, odkładając telefon i pociągając kolejny łyk herbaty. Jego spojrzenie powędrowało w kierunku drzwi, za którymi zniknęła Arleta. Zauważył, że dziewczyna ich nie domknęła. Przez powstałą szparę świetnie widział, że zmierza do jego gabinetu, postukując szpilkami o drewnianą podłogę korytarza. Ciekawe, co tym razem niesie? Kompres na czoło, syrop na kaszel, tabletkę na przeczyszczenie? Spanikowany Kordecki zerwał się zza biurka i sięgnął po kurtkę. Wszystko było lepsze od nadmiernej troski młodej dziennikarki, nawet misja Jedyneka!

Kordecki ruszył do wyjścia. W drzwiach spotkał szeroko uśmiechniętą Arletę. Na niedużej tacce niosła syrop na gardło i plastikową łyżeczkę. Widząc przygotowanego do wyjścia szefa, rozpaczliwie szukała miejsca, w które mogłaby ją odłożyć.

– Wychodzimy na obiad? – pisnęła.

– Nie, nie, mam coś do załatwienia – pokręcił głową.

Arleta obserwowała, jak mężczyzna energicznym krokiem zmierza do wyjścia, po drodze poprawiając kołnierz kurtki i naciągając wełnianą czapkę. Nagle pożałowała, że od razu zaaplikowała mu lekarstwa. Tak szybko doszedł do siebie, myślała rozczarowana.

W chwili kiedy redaktor Kordecki wyszedł na ulicę, rzucając za siebie ostatnie spojrzenie, by sprawdzić, czy nadgorliwa współpracownica nie biegnie za nim z szalikiem, termosem

wypełnionym gorącą herbatą albo minitermoforem, który mógłby wsunąć do skarpetki, w redakcji „Głosu Wadowic” rozdzwonił się telefon panny Tuszyńskiej. Zojka, która właśnie wycierała z podłogi rozlaną herbatę, zaklęła szpetnie i poderwała głowę, mocno uderzając nią o blat biurka.

Dzwoniła Karolina.

– Potrzebuję twojej pomocy! – jęczała. – Na śmierć zapomniałam, że mam odebrać paczkę z salonu Piotra. Wiesz, gdzie to jest?

– Mniej więcej – mruknęła Tuszyńska, z trudem podnosząc się z podłogi.

– Przywieź mi ją, błagam!

– Co to za paczka? – zainteresowała się dziennikarka.

– Och! – Karolina zachichotała do telefonu. – Takie tam świcidelka do przedstawienia. Przede wszystkim dla ciebie! – kusiała.

Zojka miała w tej chwili wszelkie świcidelka tego świata gdzieś. Pocierała obolały czubek głowy, wyczuwając pod palcami pulsujące zgrubienie. Paplanina Karoliny wwiercała się jej w czaszkę i przyprawiała o kolejne fale bólu. Tuszyńska miała ochotę posłać panią reżyser do stu diabłów. Z paczką i świcidelkami. Wiedziała jednak, że istnieje tylko jeden sposób, aby pozbyć się tego szczebiotu.

– Dobra, zaraz ją odbiorę... – oświadczyła.

Wychodząc na ulicę, pomyślała, że świeże powietrze dobrze jej zrobi. Zacisnęła pasek płaszcza, wystawiła twarz do leniwie przesączającego się przez chmury słońca i uśmiechnęła się pod nosem. Głowa lekko pulsowała, ale ból powoli ustępował. Niespiesznym spacerkiem ruszyła w kierunku salonu jubilerskiego.

Zatrzymała się na chodniku, by poczekać, aż minie ją sznur wolno sunących samochodów, i jej wzrok zatrzymał się na znajomej postaci. Zmarszczyła brwi, natychmiast zapominając o obolałej głowie i misji powierzonych przez Karolinę. A ten co tu

robi? Zojka zrezygnowała z przejścia na drugą stronę ulicy i kryjąc się za samochodami, ruszyła śladem Kordeckiego. Im bliżej salonu Jedynaka była, tym mocniej dotykało ją przecucie, że zmierzają w jedno miejsce. To przyniosło otrzeźwienie i przypomniało o powierzonym zadaniu. No dobra, ona miała odebrać paczkę, ale czego u jubilera szukał Kordecki?

No bo chyba nie...?

Zojka sapnęła i tupnęła nogą. Obcas botka natrafił na oblodzony fragment chodnika. Pupa dziennikarki boleśnie uderzyła o beton, a z ust wyrwało się krótkie: „Oj!”, a następnie padło kilka dosadniejszych słów. Zojka gramoliła się na nogi, walcząc z napływającymi łzami. Teraz miała nie tylko obolałą głowę, ale na dodatek tylne partie ciała paliły ją żywym ogniem. A jakby tego było mało, padł na nią słaby cień i intuicyjnie zgadła, kto nad nią stoi.

– Uczysz się jazdy figurowej na łyżwach? – zgryźliwie zapytał Kordecki, wyciągając w jej kierunku dłoń. Zojka prychnęła i udała, że nie dostrzega tego gestu. Nie bez trudu stanęła na drżących nogach.

– Nie bądź złośliwy! – Warknęła. – Chodniki z tym mieście wołają o pomstę do nieba, a kierowcy...

– Co: kierowcy? – zjeżył się Kordecki, pobrzękując w kieszeni kółkiem z kluczykami.

– Mają iloraz inteligencji mrówek.

– Odmawiasz biednym mrówkom inteligencji?

– Przepraszam, przepraszam. – Zojka uniosła dłonie w geście kapitulacji. – Mój błąd. Biedne mrówki, muszą być mądre, tak ciężko pracują. Kierowcy w tym mieście mają iloraz inteligencji słoika po musztardzie.

– Jasne. – Kordecki łypnął groźnie. – Owszem, niektórzy parkują tak, jakby razem ze swoim samochodem stanowili ostatni organizm na Ziemi, ale... nic ci nie jest?

– Nie – warknęła Zojka, dyskretnie obmacując pośladki. –

Gdzie idziesz?

– Do jubilera.

– Och! – Zojka z wrażenia zaniemówiła i tylko wpatrywała się w Kordeckiego szeroko otwartymi oczyma. Redaktor w mig pojał, co sobie pomyślała!

– Och, nie, nie! Po prostu Jedynak wysłał mnie po jakąś paczkę...

– Nie, to Karolina posłała mnie po paczkę! Nie kręć! – Zojka odzyskała równowagę i nawet uśmiechnęła się do Kordeckiego znacząco. – Chyba się nie wstydzisz?

– Ja? – prychnął dziennikarz. – Czego miałbym się wstydzić? Przecież ci tłumaczę...

Spierając się, dotarli do przejścia dla pieszych. Po drugiej stronie ulicy majaczyła wystawa salonu jubilerskiego i Zojka, tłumacząc Kordeckiemu, że zakupy w takim przybytku w żadnym razie nie są powodem do wstydu, wyciągała szyję w kierunku połyskujących w oddali świecidełek. Ciekawe, jakie błyskotki przewidziano dla Calineczki? – rozmarzyła się w myślach i widząc, że sunący w ich kierunku samochód przystaje przed przejściem dla pieszych, wstąpiła na pasy.

Kolejne minuty pamiętała jak przez mgłę. Usłyszała ogłuszający jazgot klaksonu i krzyk Kordeckiego, a następnie poczuła gwałtowne szarpnięcie i tępy ból. Zdumiona stwierdziła, że klęczy na oblodzonym chodniku, wspierając się na pokaleczonych dłoniach. Z ranek sączyła się krew i przez moment miała wrażenie, że podda się napływającym mdłościom i upadnie na twarz. Kiedy podniosła głowę, dostrzegła tylną maskę szybko oddalającego się samochodu. Redaktor pochylił się nad nią, uspokajająco kładąc dłoń między jej łopatkami. Powstrzymał ją, gdy próbowała podnieść się na nogi.

– Spokojnie – mówił cicho. – Nie wykonuj gwałtownych ruchów.

– Ale... – Próbowała się wyswobodzić spod nacisku jego ręki.

– Czy ten jeden raz nie możesz mnie posłuchać, do diabła? –

zdenerwował się Kordecki.

– Mogę – jęknęła. – Tak mi głupio. Gdybym się nie zapatrzyła na te cholerne błyskotki. Jak sroka normalnie, ślepa na wszystko, wlaźłabym mu pod koła... to moja wina... ten wypadek.

– Nie sądzę. – Kordecki pokręcił głową powątpiewająco.

– Och, to miło z twojej strony, ale...

– Nie wydaje mi się, by to był wypadek. Ten samochód ruszył w chwili, gdy weszłaś na pasy. Przykro mi to mówić, ale ktoś właśnie usiłował cię przejechać.

Zojka poczuła, że zakręciło się jej w głowie, uniosła się na kolanach, po czym zwymiotowała wprost na buty redaktora.

Aspirant Paweł Chochołek zaparkował żółtego Forda Ka w płytkiej zatoczce po przystanku PKS i wyłączył silnik. Odruchowo sięgnął do schowka, zaciskając palce na czekoladowym batoniku. Opakowanie zaszeleściło zachęcająco, a pogrążony w myślach policjant nawet nie zauważył, kiedy odpakował słodki przysmak i wpakował połowę do ust.

Przeżuwał, czując, jak słodycz rozlewa mu się po języku, a jego oczy błądziły po okolicy. Nagle spoczęły na drzewie górującym nad zatoczką i na zawieszonej na niej niedużej kapliczce. Maryja spoglądała na Chochołka karcąco. Aspirant skulił się za kierownicą, szybko wepchnął do ust resztę przekąski, przeżuł byle jak i połknął, czując, jak okruchy orzechów drapią mu przelyk. Posłał Matce Boskiej przepraszające spojrzenie i wyskoczył na ulicę.

Zachęcony zeznaniami Michniaka i informacjami uzyskanymi od Zojki, postanowił wypytać Patrycję Oleś na okoliczność awantury poprzedzającej atak na jej osobę. W szpitalu dowiedział się, że pacjentka wypisała się na własne żądanie, udał się więc do mieszkania, które wynajmowała w Wadowicach. Stukał i pukał, dzwonił na komórkę, wszystko

bez celu. Wywabiona hałasami na korytarz sąsiadka poinformowała go, że pani Patrycja w wielkim pośpiechu opuściła lokal, zabierając ze sobą ogromną, wypchaną do granic możliwości walizkę.

– Przed latem nie wróci. – Machnęła ręką, a kiedy Chochołek zapytał, dlaczego tak uważa, konfidencyjnym tonem wyjaśniła, że poznała po sandałach. Pasek z walizki wystawał, a ktoś, kto wybiera się na tygodniowy wypoczynek zimą, sandałków nie zabiera. No chyba że zamierza wypoczywać w Tajlandii...

Stropiony Chochołek musiał przyznać, że wizja Patrysi taszczącej wypchaną walizkę i polującej na tanie loty do Azji Południowo-Wschodniej zupełnie do niego nie przemawia. Dziewczyna, mówiąc brzydtko, dała drapaka! Powrócił na komendę i w ukryciu pochłonął wielki kawał sernika z pianką i kruszonką. Potem podparł pięścią brodę, popadając w zadumę.

– Nie rozplynęła się przecież w powietrzu – warknął do policjanta, z którym współpracował przy sprawie napadu na pracownicę Jedynaka. – Musi być jakieś miejsce, w którym czuje się na tyle bezpiecznie, by się ukryć! Do lata! – prychnął gniewnie, mając na myśli wspomniane przez sąsiadkę sandałki.

Ustalenie takiego miejsca nie zajęło wiele czasu i po chwili aspirant Chochołek trzymał w ręku adres domu rodzinnego Patrycji. Dziewczyna pochodziła z maleńkiej wioseczki pod Wadowicami. Policjant poczuł powiew optymizmu. W maleńkiej wioseczce nie tak łatwo się ukryć, raz-dwa odnajdzie kombinatorkę!

Kiedy jednak zatrzymał się przed ogrodzeniem z byle jak zbitych sztachet i zapuścił żurawia do zagraconego ogródka, mina mu nieco zrzędła. Stojący w głębi posesji domek był kompletną ruiną i nie nadawał się do zamieszkania. Szaleństwem byłoby sądzić, że ktoś mógłby się poczuć w nim bezpiecznie!

Chochołek pociągał żółtawą grzywkę, z zaciekawieniem obserwując domek i zastanawiając się nad dalszymi krokami.

Nagle zauważył, że sam również stał się obiektem zainteresowania. Niewysoki mężczyzna z czapką przekrzywioną na jedno ucho i odrapanym rowerem przy boku przyglądał mu się bez skrepowania, oblizując suche wargi.

– Szanowny pan szuka działeczki do kupienia? – zagadał. – Mogę pokazać ładne działeczki w okolicy. Z widokiem na las i strumień. Albo przy drodze. Da pan na piwo i zaraz coś znajdziemy. I do właścicieli zaprowadzę.

– Nie. – Chochołek potrząsnął głową. – Szukam ludzi, którzy tu mieszkali.

– A po co one panu?

– Aspirant Paweł Chochołek z komendy powiatowej w Wadowicach. Niech pan mówi, co wie!

– Tu już nikogo nie ma. Stare Olesie pomarły. – Mruknął niechętnie mężczyzna.

– A ta młoda? Patrycja? – Chochołek nadstawił ucha.

– Młode wyjechały. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Nie miały tu czego szukać. Patrycja uciekła, jeszcze zanim babce się zmarło. Babka mówiła, że u jakiego jubilera robi w mieście. Była tu parę razy. Wielka pani. – Splunął na chodnik, tuż obok podeszwy aspiranta. Chochołek skrzywił się i spojrzał na dom.

– I nie pokazywała się od śmierci babki?

– Była na pogrzebie i tyle. Po co miała więc siedzieć? Tu już nic nie ma. – Mężczyzna wsadł na rower i z namysłem spojrzał na Chochołka. Pragnienie nawilżenia gardła zwyciężyło z respektem względem instytucji, którą reprezentował przybyły. – I na pewno nie potrzebuje pan tej działeczki...?

Wodniste oczy w zaczerwienionej od zimna twarzy spojrzały na stróża prawa z nadzieją. Chochołek sięgnął do kieszeni, by monetą wynagrodzić informatorowi krótką przerwę w podróży, ale przeszkodził mu sygnał komórki. Dobył telefon z kieszeni i zmarszczył brwi, widząc na wyświetlaczu nazwisko Kordeckiego.

– Słucham, redaktorze? Jaki samochód? O co... Że co?!

Chochołek zakończył połączenie, po czym bez słowa wyjaśnienia ruszył w kierunku zaparkowanego w zatoczce forda. Odprowadzało go rozczarowane spojrzenie właściciela roweru. Mężczyzna wskoczył na siodełko i przejechał na rozchybotanym pojeździe kilka metrów, po czym gwałtownie zahamował i zeskoczył. Obejrzał się za odjeżdżającym samochodem. O jednym powiedzieć zapomniał, ale czy miało to znaczenie? Czy to w ogóle był policjant? Nawet odznaki nie pokazał, przebieraniec jakiś! Informator Chochołka wzruszył ramionami, zawrócił i odjechał w kierunku najbliższego sklepu spożywczego.

• ROZDZIAŁ DZIESIĄTY •

Zojka przewróciła kartkę czytanej książki i wyciągnęła rękę po kubek z herbatą stojący na stoliku przy łóżku. Skaleczenie na dłoni zapiekło boleśnie i dziewczynie wyrwało się stłumione przekleństwo. Rozciągnięty na kołdrze Filip podniósł rudy łepiek i obrzucił ją oburzonym spojrzeniem, więc żartobliwie rzuciła w niego kulka ze zużytej chusteczki higienicznej.

Dziewczyna skrzywiła się boleśnie, szukając wygodnej pozycji na łóżku. I tak miała dużo szczęścia! Gdyby nie refleks Kordeckiego, zostałaaby po niej mokra plama na asfalcie, a tak to wykpiła się stłuczonymi kolanami, otartymi dłońmi i... katarą.

– Jak mi Bóg miły, pierwszy raz takie cuda widzę! – Babunia Łyczakowa nie szczędziła kpin. – Żeby od wypadku drogowego kataru dostać?

W odpowiedzi Zojka jedynie wzruszyła ramionami. Ona również nie umiała wytłumaczyć tego fenomenu.

– A słyszałaś, babuniu, o akupunkturze? Może jest na kolanie jakiś receptor odpowiedzialny za produkcję smarków i ja go uruchomiłam podczas upadku?

– Nie może być. – Starsza pani po chwili namysłu pokręciła głową. – Bo wtedy wszystkie kościelne dewotki chodziłyby z gilem u nosa, no nie?

Chociaż wypadek Zojki przeraził babunię Łyczakową, staruszka szybko odnalazła się w nowej sytuacji. Zrozumiała, że los daje jej niepowtarzalną okazję otoczenia ukochanej wnuczki opieką, i skwapliwie z tego skorzystała. Zagoniła zdumioną Zojkę do łóżka, obłożyła ją kocami i poduszkami, z podwórka przywlokła polującego na sikorki Filipa, a z najniższej półki w spiżarni dobytek nalewkę z czarnego bzu. Pilnowała też, by nikt jej ukochanej dziewczynce nie przeszkadzał, i nie przyjmowała do wiadomości, że pacjentka cierpi tylko z powodu kilku skaleczeń i ciekącego nosa. Krystyny, przerażonej wieściami o wypadku, nie wpuściła za próg domu, a Karolinę ostrzegła lojalnie, że „gdzieś po podwórku gania pies, co niejednemu już dupsko poharatał”. Na koniec wykradła wnuczce komórkę i ukryła ją w pojemniku z ryżem.

Chcąc nie chcąc, odpoczywała Zojka w ciepłym, przytulnym łóżku, przyjmując kolejne herbatki z cytryną, herbatki z maliną, herbatki z nalewką, herbatki z imbirem, herbatki z lipą i ze wszystkim, co tylko się do herbatki nadawało. Czytała książki zgromadzone na nocnym stoliku, oglądała seriale na laptopie i wykuła na blachę rolę Calineczki, choć nie była pewna, czy w ogóle jej się ona przyda. Podejrzewała, że babunia nie wypuści jej z łóżka co najmniej przez dwa dni, ale po południu zjawili się kolejni goście i tym razem starsza pani niemal siłą wyciągnęła ją z pościeli.

– To aspirant z redaktorem – tłumaczyła gorączkowo. Nagle zmarszczyła brwi. – Redaktor uratował ci życie! Podziękowałaś mu chociaż?

– Mniej więcej – mruknęła Zojka, wspominając minę dziennikarza usiłującego otrzepać obuwie z pozostałości po jej drugim śniadaniu.

– To dobrze. Niech nie myśli, żeś wyskoczyła sroce spod ogona.

– Że co? – Zojka stanęła jak wryta, ale starsza pani już zrywała z niej rozciągniętą bluzkę z pieskiem Snoopym i wciskała miękki sweterek zapinany na guziczki. Na koniec przygładziła wnuczce włosy, uszczypała policzki i popchnęła

w kierunku korytarza.

Kordecki i Chochołek siedzieli za kuchennym stołem i rozmawiali przyciszonymi głosami, ale kiedy w drzwiach pojawiła się Zojka, przerwali dyskusję. Dziewczyna dosiadła się do nich i spoglądała pytająco to na jednego, to na drugiego.

– Nie przynieśliście mi czekoladek? Albo chociaż mandarynki?
– zakpiła.

Chochołek oparł łokieć na stole, potarł czoło i odchrząknął.

– To nie pora na żarty. Jak się pani czuje?

– Okropnie cieknie mi z nosa, ale poza tym nie narzekam.

Kąciki ust Kordeckiego uniosły się nieznacznie, za to policjant spoglądał na nią stropiony, przeczesując palcami żółte kosmyki.

– Pani Zojko, to wcale nie jest śmieszne. Zgodziłem się, by kontynuowano przygotowania do spektaklu, i namówiłem panią na przyjęcie głównej roli, a teraz znalazła się pani w niebezpieczeństwie. Ja... – Przerwał i pokręcił głową zniechęcony, jakby nie potrafił dobrać właściwych słów. – Już wczoraj chciałem z panią porozmawiać, ale nie zostałem wpuszczony. – Wymamrotał, popatrując ponuro na babunię Łyczakową.

– Przecież to tylko głupi wypadek – bąknęła Zojka. – Wydawało mi się, że auto przystanęło, by nas przepuścić, więc po prostu weszłam na pasy...

Kordecki odchrząknął i dziewczyna przeniosła wzrok z aspiranta na dziennikarza.

– Nie wydawało ci się. Samochód zatrzymał się przed przejściem, żeby nas przepuścić. A wtedy zza niego wyjechał drugi i ... – Zamilkł.

Zojka gwałtownie potrząsnęła głową.

– To się zdarza! Wiem, że nie powinno, ale już ci tłumaczyłam, że kierowcy w tym mieście...

– To nie był wypadek! – warknął Kordecki. – Ruszył w momencie, kiedy weszłaś na pasy. Przyspieszył, do cholery. I miał uwalane błotem tablice rejestracyjne, choć po prawdzie i tak byłem zbyt zajęty tobą, żeby je zapamiętać!

Wstrząśnięta Zojka przycisnęła do ust poranioną dłoń i delikatnie przygryzła. Na języku poczuła stwardniałe grudki zasklepiających się strupów.

– Dziękuję – wydukała z trudem. Kordecki skinął głową.

– Tak często pakujesz się w tarapaty, że twój anioł stróż nie wyrabia. Przywykłem już, że trzeba cię ratować. – Rzucił szorstko, ale w jego oczach zamigotały figlarne ogniki. To go uratowało, bo Zojka już zamierzała unieść się honorem i przypomnieć bubkowi, kto kogo ratował ostatnim razem...

Chochołek odchrząknął dwukrotnie, żeby przyciągnąć ich uwagę. Krzątająca się przy piecu babunia Łyczakowa natychmiast zmaterializowała się przy stole.

– Władzy to chyba w gardle zaschło, co? Bo tak władza chrząka i chrząka, że aż Burek uszami strzyże...

– E, nie... – Chochołek zarumienił się po korzonki żółtawych włosów.

– To nie chce władza herbatki z kropelką nalewki z czarnego bzu na nawilżenie gardła? – upewniła się staruszka.

– No chyba, że herbatki z kropelką... – zgodził się ochoczo stróż prawa. Zojka uśmiechnęła się pod nosem. Dzisiaj herbatka z nalewką była na nawilżenie gardła, jesienią na lepszą odporność, jej samej miała pomóc zasnąć i nie myśleć o głupotach. Wszechstronny specyfik!

– Nie przyjechał pan aspirant samochodem? – zdumiał się Kordecki.

Zojka parsknęła śmiechem, a Chochołek przez chwilę otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na brzeg, po czym wykrztusił:

– Wróćmy do naszej sprawy. Wczorajsze wydarzenia potwierdziły moje podejrzenia. Motywem napaści jest główna

rola w przedstawieniu.

– To się kupy nie trzyma! – warknął Kordecki. – No, niech pan sam powie, aspirancie. Jaki to ma sens?

– Nie ma sensu. – Policjant potrząsnął głową, przyjmując z rąk Zofii szklankę w koszyczku. Drugą starsza pani postawiła przed redaktorem. Zojka zajrzała do podsuniętego kubka, pociągnęła nosem i skrzywiła się. Spojrzała na babunię z wyrzutem. Mleko z czosnkiem? Serio? Ale pod wpływem wzroku staruszki delikatnie umoczyła usta.

– Przecież to tylko amatorski teatrzyk! – Kordecki się gorączkował.

– Owszem, a jednak ktoś napada odtwórczynię głównej roli. Bo zakładamy, że wczorajszy wypadek faktycznie był atakiem wymierzonym w panią Zojkę, a ona nie ma wrogów chcących przerobić ją na naleśnik! – Aspirant posłał Zojce pytające spojrzenie. Dziewczyna energicznie potrząsnęła głową. – Żadnych podejrzanych tropów, dziennikarskich śledztw, ujawnionych przekrętów? – drażył Chochołek.

– Poza agencją matrymonialną? Nie.

– Zaraz, zaraz. – Kordecki przyszpilił Zojkę wzrokiem. – No to skoro już tak sobie rozmawiamy o wrogach i tak dalej, to ja się chętnie dowiem, co cię tak przerażyło na plebanii? Myślałem, że to tylko babskie fanaberie, ale w świetle ostatnich wydarzeń...

– Babskie fanaberie?! – Zojka z wrażenia aż zerwała się z krzesła. Rozciągnięty u jej stóp Burek szczechnął ostrzegawczo. – Ja ci zaraz dam... – Zgrzytnęła zębami, ale Chochołek usadził ją na miejscu machnięciem ręki.

– O co chodzi? – dopytywał.

Zojka poczuła, jak jej twarz oblewa rumieniec.

– Po prostu nie przepadam za tą garderobą na poddaszu. Za pierwszym razem, gdy tam byłam, coś okropnie trzeszczało. Wszyscy już wyszli, a i tak... miałam takie dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. – Wymamrotała.

– Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała? – zirytował się

aspirant. Zojka wzruszyła ramionami lekceważąco.

– Bo to stary budynek, tam wszystko trzeszczy, stuka i się... sypie. Taka prawda.

– Plebania nie była remontowana kilkanaście lat, a i wtedy tylko ciepłą wodę pociągnęli – wtrąciła siedząca przy piecu babunia.

Chochołek pokiwał głową z namysłem i sięgnął po szklanke. Zaaferowana Zojka zapomniała, co trzyma w ręku, i przechyliła kubek, opróżniając go jednym haustem. Przez moment siedziała z głupawą miną i komicznie wydętymi policzkami, ze zniechęconym mlekiem doprawionym czosnkiem w ustach, a potem rzuciła się do zlewu i wszystko wypluła. Babunia prychnęła gniewnie.

– Nie myśl, że się wykpisz!

– Nie śmiałabym – mruknęła dziewczyna, wracając na swoje miejsce.

Tymczasem aspirant usiłował przetrwać nowe informacje. Zmierzył grzywkę, osuszył szklanke z herbatą, podrapał się po brodzie, wsparł łokcie o blat stołu i zaczął zadawać pytania.

Czy Zojka zauważyła kierowcę samochodu? Jak to patrzyła na wystawę salonu jubilerskiego, a nie pod nogi? Kto wiedział, że tam się wybiera? Ile czasu upłynęło od telefonu Karoliny do wypadku na pasach? Może zauważyła coś podejrzanego? Na ulicy albo wcześniej, w Lipówce? Nikt jej nie śledził? Nie słał jej liścików z pogrózkami, nie pokazywał obscenicznych gestów? Może jej niepokój wzbudziło coś innego? Nietypowy zapach? Smak? Dziwne zachowanie fryzjera?

Zojka kręciła głową i zaprzeczała, Kordecki znacząco przewracał oczami, a Chochołek wyglądał na coraz bardziej zniechęconego.

– Pytanie: co teraz? – zapytał.

– Teraz? – zdenerwował się redaktor – To chyba jasne, że trzeba odwołać przedstawienie i zaprzestać spotkań na plebanii. Zanim komuś stanie się krzywda...

– Krzywda już się stała – szepnęła Zojka, wcale nie mając na myśli swoich obitych kolan i odrapanych dłoni. – Musimy powstrzymać tego wariata. Albo wariatkę.

– Zgadzam się – Policjant kiwnął głową.

– Oszalesiście! – gniewnie parsknął Kordecki. – Chce ją pan narażać, aspirancie? – Wskazał na Zojkę.

– Na plebanii nic jej nie grozi. Mamy policjanta na miejscu. Incognito – wyjaśnił dumny Chochołek.

– Co? – Kordecki wytrzeszczył oczy. Spojrzał pytająco na Zojkę. – To... ten kelner?

– Kelner? – zdumiał się Chochołek. – Nie książę?

– Książę, książę. – Tuszyńska skinęła głową i podniosła się z krzesła. Kordecki odczekał, jak oddali się od stołu, i zniżył głos do szeptu.

– A w jaki sposób ten pański książę zapewni Zojce bezpieczeństwo? Będzie chodził za nią krok w krok? Może nawet towarzyszył w garderobie? – dopytywał.

– A to już zależy tylko od nich – zażartował Chochołek, uśmiechając się do Kordeckiego znacząco. – Oj, redaktorze, bo pomyślę, że jakaś zazdrość pana dopadła...

– No wie pan co! – parsknął Kordecki, krzyżując ramiona na piersi i bezwiednie przyjmując obronną pozę. – Chodzi mi wyłącznie o bezpieczeństwo Zojki. I pozostałych aktorów, oczywiście.

– Więc chodzi nam o to samo. – Chochołek skinął głową. – Zamierza nam pan pomóc czy dalej stroić fochy?

Kordecki zgrzytnął zębami, obrzucił uważnym spojrzeniem najpierw zarumienioną twarz policjanta, a potem pochyloną nad kuchenną blachą dziewczynę i pokiwał głową.

– Co mam robić?

Kiedy popatrujący na siebie ponuro mężczyźni opuścili wreszcie domek na wzgórzu, a babunia odpłynęła do swojego pokoju, by obejrzeć wiadomości i ponarzekać na rząd, opozycję i długoterminową prognozę pogody, Zojka opłukała kubek po mleku z czosnkiem, a potem cichaczem zakradła się do kuchennej szafki i sięgnęła po słoik z ulubioną kawą. Po całym dniu sączenia herbatek dosłownie marzyła o kawie z mlekiem i zamierzała się nią delektować nawet za cenę wielogodzinnej bezsenności. Musiała tylko zachować dyskrecję, bo gdyby babunia Łyczakowa zorientowała się, czym wnuczka niweczy efekty jej cudownej kuracji, kawa niechybnie wylądowałaby za drzwiami. A Zojka razem z nią.

Z kubkiem w ręku Zojka przemknęła do swojego pokoju. Tam przygotowała sobie przytulne legowisko: kawę ustawiła na nocnym stoliku, spiętrzyła poduszki, sweterek i jeansy zastąpiła ulubioną piżamą, a potem z westchnieniem zadowolenia wyciągnęła się na łóżku. Na kolanach położyła książkę, ale na razie jej nie otwierała. Miała ważniejsze sprawy do załatwienia. Sięgnęła po komórkę, którą ukradkiem podprowadziła z kuchennej szafki. Otrzepała ją z ziarenek ryżu i przytknęła do ucha.

Najpierw zadzwoniła do pani reżyser i przeprosiła ją, że nie zjawiała się na próbie. Karolina, która nadal nie doszła w pełni do siebie po popołudniowym spotkaniu z babunią Łyczakową, okazała odtwórczyni tytułowej roli zrozumienie. Dociekała jednak, jak Zojka się czuje i czy będzie w stanie kontynuować przygotowania do przedstawienia. Tuszyńska zawahała się.

– Jeśli nie przeszkadza ci Calineczka w plastrach...

– Byłabyś wspaniałą Calineczką, nawet gdybym cię zawinęła w bandażę egipskiej mumii! – żarliwie zapewniała Karolina. – No i poza tym i tak nie mam czasu szukać nowej aktorki...

– Tak właśnie myślałam – mruknęła pod nosem Zojka.

Kolejną osobą, z którą musiała porozmawiać, była Marta Markowska. Szefowa „Głosu Wadowic” najpierw wydała z siebie westchnienie ulgi, po czym zaklęła:

– Co ty tam odpierniczasz?

Zojka kluczyła, jak mogła, nie chcąc zdradzać przełożonej zbyt wielu szczegółów. Mały wypadek, nic więcej, no i katar do tego, paskudny. Jutro normalnie zjawi się w pracy. O ile uda się jej umknąć czujnemu oku babuni...

– No weź się nie wygłupiaj – parsknęła Markowska. – Słyszałam, że o mało cię samochód na przejściu na pieszych nie trzepnął. Po takim traumatycznym przeżyciu potrzebujesz chwili oddechu. Weź zwolnienie do końca tygodnia – kusila.

– Na katar? – Zojka przewróciła oczami.

– No to urlop weź.

– Serio?

– Serio, serio. Poradzę sobie.

– No to niech będzie. – Zojka się ucieszyła. Nagle zmarszczyła brwi. – Zaraz, zaraz, a skąd ty wiesz, że samochód, mnie, na pasach? Przecież ja o żadnym samochodzie nic nie wspominałam!

– O, kochana! – Marta Markowska zaniósła się skrzekliwym śmiechem. – Ja swoich informatorów mam! I zawsze powtarzam, że przejścia dla pieszych w tym mieście to jest jakaś porażka. I że to temat na dłuższy reportaż. Zajmiemy się nim, gdy wrócisz!

– Przejściami dla pieszych? – Tuszyńska wołała się upewnić.

– No tak. – Szefowa z ekscytacji zaczęła się jąkać. – To dobry i ważny temat. Czytliwy, że tak to ujmę niegrammatycznie. Ludzie uwielbiają rozprawiać o swoim bezpieczeństwie i atakować organy decyzyjne. Byłoby jeszcze goręcej, gdybyś na tych pasach zginęła, ale i bez tego damy radę. Wykręcimy taki temat, że mucha nie siada. – Nagle zamilkła. – Znaczy... żeby nie było, ja się cieszę, że nic ci się nie stało.

– Hmm, ulżyło mi – parsknęła Zojka. – Nie zamierzam się poświęcać nawet dla bezpieczeństwa mieszkańców miasta. Powiedz mi jednak, co to za informatorzy? – dopytywała zaintrygowana.

– Tacy tam, nie ma o czym mówić – mlasnęła Markowska. Uwielbiała jeść i zawsze trzymała pod ręką coś, co można skubnąć, pogryźć lub przeżuć. Zojka wiecznie sprzątała po niej niedojedzone bułki, okruchy orzechów i ogryzki. – Ty mi lepiej powiedz, co tam robiłaś z Kordeckim? Chyba nie zamierzasz pracować dla konkurencji, he?

– Z tym bubkiem? – prychnęła gniewnie Zojka. – Gdyby on pisał artykuł o bezpieczeństwie na przejściach dla pieszych, z pewnością wepchnąłby mnie pod pierwszy nadjeżdżający samochód jako królika doświadczalnego! – mówiła, zdając sobie sprawę z niesprawiedliwości swoich słów.

– Jest to jakaś myśl – mruknęła Markowska.

• ROZDZIAŁ JEDENASTY •

Wiadomość o nagłym urlopie Zojki ucieszyła babunię do tego stopnia, że starsza pani natychmiast zaczęła planować, jak mogą wspólnie spędzić czas. Wnuczka, która po cichu liczyła na kolejny dzień z książką w ręku, zaczęła się z niej podśmiewać.

– To już nie potrzebuję odpoczynku pod kołdrą i herbatek, by dość do siebie? – zapytała, lekko unosząc brwi.

Babunia wzruszyła ramionami.

– Od długiego leżenia w łóżku może się w dupie przewrócić – oświadczyła. – Albo w głowie.

Z tym Zojka nie zamierzała się spierać. Cierpliwie czekała, co starsza pani wymyśli. Może spacer do lasu? To mogłoby być piękne! Nigdzie tak dobrze się nie myśli, jak w cichym, opustoszałym lesie, gdzie za całe towarzystwo człowiek ma omszałe pnie, rozkołysane korony drzew i ukryte w zaroślach zwierzęta. A po niedawnych wydarzeniach na przejściu dla pieszych Zojka miała co przemyśleć, oj miała!

Żywiła tylko nadzieję, że babunia Łyczakowa nie wyskoczy z wyprawą na cmentarz. Tuszyńska lubiła maleńki cmentarz w Lipówce, jednak szorowanie pomnika dziadka Łyczaka przy takich warunkach pogodowych zupełnie się jej nie uśmiechało.

Ku jej zaskoczeniu starsza pani zaproponowała coś innego.

– Zakupy? Mam jechać z tobą na zakupy?

– Czemu nie? – Babunia bez mrugnięcia okiem opróżniła kubek z poranną inką. – To chyba teraz modne? Dwie dziewczyny idą razem na zakupy i jedna drugiej doradza, co jej pasuje, a co nie. To się chyba szoping nazywa, choć za cholere nie rozumiem, co ma wspólnego z szopą? Chyba że chodzi o szopę włosów, które stają dęba, gdy po zakupach zajrzy się do portfela?

Zojka poczuła lekkie ukłucie niepokoju. Nie, nie dlatego, że nie chciała pójść z babunią na shopping. Po prostu w spojrzeniu starszej pani dostrzegła ten charakterystyczny błysk. Babunia uwielbiała obśmiewać wszelkie nowobogackie wymysły. Z takim samym błyskiem w oku opowiadała, że zaproponowała Zosi darmowe pocięcie jeansów, by ta nie musiała wydawać już dwustu złotych na nową, supermodną parę spodni!

– Tak, jedna drugiej doradza i podsuwa to, czego sama nie założyłaby nawet do sortowania ziemniaków! – Zaśmiała się, sącząc kawę.

– No to się świetnie składa! – Babunia Łyczakowa klasnęła w dłonie. – Bo chodzi właśnie o to, by jedna drugiej pomogła kupić to, czego sama na pewno by nie założyła!

– Czyli co? – Zojka podejrzliwie zmrużyła oczy.

– A bo ja wiem? – Staruszka spuściła oczy na trzymany kubek. – Może garsonkę?

– Garsonkę? – powtórzyła zdumiona Zojka. – Na ślub? Ale przecież Zosia zamówiła dla ciebie garsonkę u Janinki! Ja właśnie miałam ci przypomnieć o przym... – zaczęła, ale babunia przerwała jej gwałtownym uderzeniem pięścią w stół.

– I ty, Brutusie, przeciwko mnie? – zapytała stłumionym głosem. – Uważasz, że powinnam przyjąć garsonkę od Zosi?

– A dlaczego nie? – Zojka się zdumiała.

– Może dlatego, że nie mam już pięciu lat i mogę sama zdecydować, czy chcę mieć garsonkę szafirową, kremową, czy w kolorze kocich rzygów?

– Ten kolor nazywa się gołębi, babuniu – cicho wtrąciła Zojka.

– Może się nazywać pawi czy papuzi, ale wygląda jak kocie rzygi, i basta! – uniosła się starsza pani. Dziewczyna zauważyła, że z emocji poczerwieniały jej policzki, szybciej też oddychała. Żeby mi tu jakiegoś zawału nie dostała, zaniepokoiła się w duchu Zojka. Ale najwyraźniej nie doceniała babuni, bo ta spojrzała na nią z figlarnym błyskiem w oku. – To co? Masz ochotę na szoping z babcią czy dalej będziesz czytać, podjadając ukradkiem chipsy ukryte w nocnej szafce?

Zojka parsknęła śmiechem.

– Kupimy ci, babuniu, taką garsonkę, że mucha nie siada!

Zakupy z babunią Łyczakową przypominały wyprawę survivalową. W pewnym momencie Zojka odkryła, że wcale nie chodzi o wybór pomiędzy błękitną krepeą a błyszczącą taftą w kolorze zielonego groszku, ale o najprawdziwszą walkę o przeżycie. Starszej pani nic się nie podobało. Wszystko było blade, nijakie, nudne, a do tego uduchowione jak kogut napakowany sterydami z buraka pastewnego.

– Z czego? – wykrztusiła oszołomiona Zojka.

– Twoje pokolenie nie ma pojęcia o świecie – orzekła babunia.
– Macie te swoje szopingi i smartfony, ale nic ponadto! Przepraszam – rzuciła zaczepnie w kierunku opartej o ladę młodej ekspedientki, przysłuchującej się ich rozmowie z lekko uchylonymi ustami – macie coś w kolorze buraka pastewnego?

– Czego? – zmartwiało dziewczątko, a babunia machnęła ręką z głośnym westchnięciem i natarła na rząd ubrań zawieszonych na srebrzystym relingu. Z furją przesuwiała kolejne kreacje, szeleszcząc foliowymi pokrowcami i mamrocząc pod nosem:

– Jestem tylko niepozorną staruszką ze wsi! Czy tak trudno znaleźć dla mnie elegancką garsonkę?

Zojka przezornie ugryzła się w język i wymieniła z ekspedientką porozumiewawcze spojrzenia. Tak, wybór kreacji

dla babuni Łyczakowej śmiało można by określić mianem mission impossible. Srebrzysta sięgała do pół łydki. Nie po to masowałam giry i walczyłam z żyłakami, żebym teraz kawałka łydki nie mogła pokazać, sarknęła na jej widok babunia. Kolejna barwą przypominała niedosmażoną wątróbkę. Nic apetycznego, mruknęła babunia. Nie mogę założyć sukienki, która odbierze ludziom apetyt na weselny rosół. A w klozecie obiadu przesiedzieć nie zamierzam! Malinowa, nie wiedzieć po co, miała na wysokości pośladków ozdobny guzik. Przecież będzie mnie uwierać w siedzenie! – zawołała z rozpaczą babunia. – I już widzę, jak ci wszyscy podchmieleni wujkowie łapią mnie za ten guzik i wołają „pip-pip”!

Zdesperowana Zojka postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Zdecydowanym ruchem przesunęła po drazdzu sukienki i garsonki raz i drugi, przekrzywiając głowę to w lewo, to w prawo. Babunia przyglądała się temu z ramionami skrzyżowanymi na piersi i miną mówiącą: spróbuj szczęścia, małeńka! Ja i tak znajdę coś, co mi się w wybranej przez ciebie sukience nie podoba!

Jednak na widok kreacji wskazanej przez wnuczkę starsza pani jedynie uniosła brwi i podrapała się z namysłem po brodzie.

– Myślisz? – spojrzała pytająco na Zojkę.

– Jestem pewna! – Dziewczyna pokiwała energicznie głową, a stojąca tuż za nią zdenerwowana ekspedientka nieomal podskoczyła w miejscu z radości. Zojka podsunęła babuni elegancką kreację, na którą składała się sukienka za kolano, cienki pasek i krótki żakiecik w kolorze pudrowego różu. – Bardzo szykowna!

Starsza pani zawahała się nieznacznie, ale wyciągnęła rękę i zgarnęła sukienkę. Idąc w kierunku przymierzalni, mamrotała coś pod nosem, jednak szczęśliwa Zojka nie zwracała na to uwagi. Poczula ulgę, że znalazła elegancką kreację, która przypadła babuni do gustu. Poznała to po błysku w oku starszej pani, która była jak sroka na ładne rzeczy i nie zadowolala się byle czym. Zosia pewnie się wścieknie, pomyślała tknięta

nagłym niepokojem, ale jeśli chce, by babunia dobrze się bawiła na weselu, musi zaakceptować jej wybór. Garsonka uszyta przez Janinkę będzie na inną okazję!

Kiedy babunia Łyczakowa wychyłała z przymierzalni, wnuczka aż zaklaskała w dłonie z radości. Sukienka była jakby szyta na starszą panią. I choć ta pomrukiwała coś pod nosem, obracając się przed lustrem na wszystkie strony, dało się poznać, że jest naprawdę zadowolona. Zdjęła kreację, podała ją ekspedientce i dobyteła z torebki zasupłaną chusteczkę. Zojka poczuła, że kręci się jej w głowie.

– Gdzie twój portfel, babuniu? – syknęła.

– Tutaj. – Starsza pani z niewinną miną poklepała torebkę. – Ma się bardzo dobrze. Ale lichy nie śpi.

– Bo nie pozwalasz mu zasnąć. – Zojka przewróciła oczami.

Babunia bez mrugnięcia okiem wyciągała z osobliwego miejsca kolejne banknoty, wygładzała je i układała przed osłupiałą ekspedientką. Zojka odczekała, aż starsza pani trzykrotnie przeliczy pieniądze i przyjmie z rąk sprzedającej reklamówkę z nowo nabytym ubraniem, i poklepała ją po ramieniu.

– No, to jeszcze pasujące buty i jesteśmy w domu, babuniu!

– Nic z tego. – Starsza pani stanowczo pokręciła głową. – Mam w domu wygodne trzewiki, które w zupełności mi wystarczą. Nie potrzebuję i nie chcę nowych butów. Na weselu się hula, a nie oblepia pięty plastrem opatrunkowym. – Obróciła się w kierunku ekspedientki. – Dziękuję za sukienkę i miłą obsługę. Ale wątpię, bym do was wróciła. Kiepski asortyment macie. – To powiedziawszy, ruszyła do wyjścia, a zarumieniona Zojka za nią.

Wyprawa do miasta tak zmęczyła Zojkę, że po wejściu do domu rozsiadła się na kuchennym krześle, wyciągnęła przed siebie długie nogi i leniwie obserwowowała, jak ociera się o nie kręcący

ósemki Filip. Babunia z kolei nie traciła czasu: rozwiesiła kupioną sukienkę na wieszaku i wcisnęła ją do szafy, a potem przepasała się fartuszkiem i złapała za pogrzebacz. Pod blachą żarzyły się już ostatnie węgielki.

Dziewczynie zrobiło się głupio, że staruszka tak dziarsko wzięła się do roboty, gdy ona sama użalała się nad tym, że opadła z sił, więc po chwili podreptała do sieni i przywlokła ziemniaki oraz miskę na obierki. Babunia wydobyła z lodówki rondel z sosem pieczarkowym i po kilku chwilach obiad perkotał na blasze. Po posiłku babcia i wnuczka zgodnie rozciągnęły się na wersalce w pokoju tej pierwszej i obejrzały odcinek serialu paradokumentalnego, którego bohaterka po trzydziestu latach małżeństwa odkryła, że jej mąż prowadzi podwójne życie.

– Ja to bym wiedziała, jak cwaniaczka urządzić. Jajca na pieniek, siekierka do ręki, siup i po sprawie. Czy może należałoby powiedzieć: po interesie. – Babunia nie znała litości dla mężczyzny.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała skorzystać z tego sposobu – mruknęła Zojka, której przed oczami natychmiast stanęła brodata twarz sołtysa.

– Oby nie – przyznała staruszka i zamyśliła się. Po chwili postukała Zojkę w ramię. – Wiesz co? Tak dumam i dumam i wychodzi mi, że w naszej rodzinie szare komórki występują tylko raz w pokoleniu. Masz szczęście, żeś je po mnie odziedziczyła!

– Oj, babciu...

– Co: babciu?!

– No nic, zbieram się na próbę. Dobrze się wygrzewać w ciepełku, ale sztuka wzywa!

Zojka wyszła z pokoju, po drodze lekko muskając palcami nagrzane kafelki pieca. Wstąpiła do swojej sypialni, by posmarować usta ochronną pomadką i zabrać scenopis. Kiedy wsuwała stopy w botki, z pokoju wyłoniła się babunia Łyczakowa. Miała na sobie kurtkę i ciepłe kozaki. Wnuczka

uśmiechnęła się pod nosem.

– Znowu wybierasz się do wsi, babuniu? No, no...

– Nie do wsi, nie do wsi – prychnęła w odpowiedzi staruszka i naciągnęła na głowę włóczkową czapkę. – Na próbę z tobą idę!

– Ze mną? Na plebanie? Ale po co? – zdumiała się dziewczyna.

– Na oku mieć cię muszę, ot co! Żeby cię znowu jakie лихо nie dopadło.

Zojka pokręciła głową, zbliżyła się do staruszki i położyła dłoń na jej ramieniu w uspokajającym geście.

– Przecież słyszałaś Chochółka, babuniu – powiedziała łagodnie. – Nie bój się, nic mi nie będzie!

– Ja tam władzy ufam w stopniu umiarkowanym – prychnęła lekceważąco staruszka, zgarniając klucz leżący na blacie toaletki z zaśniedziałym lustrem. – Zważywszy na to, na jaką końcówkę się kończy!

– „Dza” – mlasnęła Zojka, zatrzymując się na deskach ganku. – Władza kończy się na „dza”, babuniu!

– Ale policjanci kończą się na „ci”! – zarechotała starsza pani, przekręcając klucz w zamku. Ze szpary przy progu dobiegło niuchanie psiego nosa i żalosne skomlenie. Najwyraźniej Burkowi nie przypadło do gustu, że ponownie zostawiają go samego. – Masz jakiś pomysł, do czego można to odnieść?

– Chyba nie chcę mieć pomysłu – westchnęła Zojka, a potem obrzuciła babunię zaintrygowanym spojrzeniem – Dziennikarze kończą się na „rze”? I co to według ciebie oznacza, babciu?

– No, mam nadzieję, że rzetelność! – zachichotała staruszka. – Ale jeśli się uprę, na pewno coś jeszcze znajdę! Pytanie, czy naprawdę tego chcesz?

Zojka potrząsnęła głową, a potem złapała babunię pod ramię. Wąską ścieżynką w wąwozie zgodnie ruszyły w kierunku wsi.

Ponieważ czynione po drodze próby zniechęcenia babuni do towarzyszenia jej na spotkaniu nie przyniosły żadnych efektów, a co więcej zakończyły się wyraźnym fochem, Zojka ujęła starszą panią pod łokieć i doprowadziła do krzeseł w pierwszym rzędzie. Tam zadowolona z siebie Zofia zajęła centralne miejsce i z zaciekawieniem rozejrzała się naokoło. Na widok Guzikowej wciśniętej w pluszowy skafander żaby ryknęła śmiechem.

– Jak mi Bóg miły, nie mówiłaś, że wystawiacie komedię! – wołała, uderzając rękami o kościste kolana. Zojka syknęła ostrzegawczo. Nie chciała, by słowa babuni dotarły do Leośki. Na szczęście sąsiadka była nie tylko drażliwa na punkcie swojej roli, ale też lekko przygłucha. Chichot starszej pani przykuł za to uwagę Karoliny, która zbiegła ze sceny jak na skrzydłach i uściskała Zojkę.

– Jesteś! – zawołała z wyraźnie wyczuwalną ulgą w głosie. Ujęła dłonie dziewczyny i przyjrzała im się krytycznie. Jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – Za dwa dni nic nie będzie widać!

– Gorzej z katarem – wtrąciła babunia. – Skrzeczy jak, nie przyrównując, żaba Monika!

– Żaba Monika? – Karolina posłała staruszce zdumione spojrzenie. – Jaka żaba Monika?

– No, żaba Monika od Kulfona! – Babunia się rozzłościła. – Nie mów, żeś nie oglądała! Na taką młodą mi nie wyglądasz!

Karolina uśmiechnęła się uprzejmie, ale jej oczy błędziły niespokojnie. Zupełnie jakby się bała, że zza krzesła, na którym rozsiadła się staruszka, zaraz wyskoczy groźne psisko i złapie ją za opięte drogimi jeansami siedzenie.

– Zamierza się pani zaangażować w działalność naszego teatru? A może chce pani zobaczyć wnuczkę na scenie? – Dyplomatycznie zmieniła temat.

– Zamierzam dopilnować, by jej więcej włosów z głowy nie spadł. Bo na was liczyć nie sposób – odrzekła hardo babunia. Karolina wybałuszyła oczy, a Zojka, piorunując staruszkę spojrzeniem,

złapała panią reżyser pod ramię i pociągnęła w głąb sali. Zofia wykręciła szyję, ale nie była w stanie dojrzeć, gdzie zniknęły. Zamiast tego dostrzegła redaktora Kordeckiego i z zadowoleniem stwierdziła, że również on odprowadza Zojkę wzrokiem. Starsza pani zachichotała pod nosem. Cóż, do pewnych spraw miała nosa. I ten nos podpowiadał jej, że ten chłopak będzie miał Zojkę na oku i nie pozwoli wyrzucić jej krzywdy. Ale postraszyć siekierką nie zaszkodzi...

Tymczasem Zojka przechadzała się po sali i przyjmowała wyrazy sympatii kolegów ze sceny. Była mile zaskoczona, jak wiele osób podchodziło do niej, by okazać współczucie z powodu wypadku, któremu uległa, lub zapytać o to, jak się czuje. Nawet kompletnie obcy jej ludzie sarkali na bezmyślnego kierowcę szarżującego na pasach, bo właśnie taka wersja wydarzeń krążyła po Lipówce.

Zojka pożegnała uśmiechem listonoszkę Anastazję, skinęła przyjaźnie stojącej obok małomówniej dziewczynie w czarno-białym kostiumie jaskółki i obróciła się na pięcie, nabijając się bokiem na coś twardego. Poczowała bolesne ukłucie.

Tuż przed nią stał nieznajomy mężczyzna. Jego brunatno-zielony kostium przypominał kupę Burka, w którą ktoś powtykał brzoźowe gałęzie. Na widok jego zaciętej miny Zojka poczuła zimny dreszcz pełznący wzdłuż kręgosłupa.

– Jah się czuhesz? – wymamrotał. Tuszyńska przełknęła ślinę i wolno skinęła głową.

– Dobrze.

– Hepiej ufażaj! – rzucił i odszedł.

Zojka poczuła, jak miękną jej nogi. Obejrzała się za nieznajomym i napotkała wzrok Kordeckiego. Ich spojrzenia skrzyżowały się i kąciki ust redaktora lekko drgnęły. W tej samej chwili dziewczyna poczuła ucisk na ramieniu i drgnęła przestraszona. Kiedy jednak odwróciła się za siebie, roześmiała się z ulgą. Uśmiechnięty Kacper poklepał ją po łopatce.

– Dobrze, że jesteś, Calineczko! Już się martwiłem, że zostanę bez królowej! – zażartował. Zaraz jednak spoważniał i spojrzał na Zojkę niespokojnie. – Wszystko w porządku? Co ci się przydarzyło?

Zojka pokraśniała na twarzy. Troska przystojnego policjanta mile łechtła jej kobiecą próżność, ale chciała przede wszystkim uczynić na nim wrażenie odważnej profesjonalistki. Niech wie, że nie bez powodu Chochołek powierzył jej tak delikatną i niebezpieczną misję!

– Nie ma o czym mówić! – Machnęła więc ręką lekceważąco.

– Musisz bardziej na siebie uważać! – Cmoknął niezadowolony.

Zojka skinęła głową.

– Razem na pewno sobie poradzimy! – Konfidentycznie ścisnęła go za nadgarstek. Kacper wyglądał na zaskoczzonego, ale po chwili uśmiechnął się ze zrozumieniem i nakrył jej dłoń swoją. On nie wiedział, że ja wiem! – zdumiała się Zojka i podniosła wzrok. Napotkała spojrzenie Kordeckiego i nagle poczuła, że ręka scenicznego partnera nieprzyjemnie ją pali. Zmieszana zabrała ją szybko i udała, że poprawia naklejone plastry. Równocześnie poczuła złość na Kordeckiego, dla niej samą nie do końca zrozumiała. Musi jej tak pilnować? Na własne uszy słyszała, że aspirant wprowadzał go w arkana sprawy na plebanii i zapewniał, że będzie bezpieczna!

– Czas na próbę – zaczęła sztucznie wesołym tonem.

Kacper skinął aprobująco, ale przechodząca obok Karolina pokręciła głową.

– Chyba o czymś zapomniałaś? – Zaśmiała się. – Przecież dzisiaj mamy próbę kostiumową!

Na myśl o garderobie na poddaszu i czekającej tam sukience, Zojce zrobiło się nieprzyjemnie. Nie zamierzała jednak zdradzić się ze swoimi odczuciami ani przed spoglądającą wyczekująco Karoliną ani tym bardziej przed przystojnym partnerem. Wymamrotała coś niewyraźnie i poczłapała w kierunku wyjścia, nie zauważając, że z tłumu oblegającego scenę ruszyło za nią

dwóch mężczyzn.

Próba kostiumowa trwała w najlepsze. Zojka, która występowała w niemal każdej scenie przedstawienia, poczuła, że jeszcze dwie minuty szczerzenia zębów w uśmiechu i zemdleje. Wykorzystując zmianę aktorów, odwróciła się plecami do widowni i wpychając dłoń za stanik, usiłowała nieco poluzować sukienkę. Dlaczego to cholerstwo jest takie niewygodne? Czy ktoś, kto projektuje kostiumy sceniczne, nie ma za grosz wyobraźni? A może mści się na aktorach za własne zawiedzione aspiracje i specjalnie tak szyje, by tu gniotło, tam uwierało, a jeszcze gdzie indziej gryzło?

Przynajmniej przy wizycie w garderobie obyło się bez problemu. Co prawda wspinając się na poddasze, Zojka czuła bolesny ucisk w żołądku i mocne kołatanie serca, ale dla dodania sobie odwagi zgarnęła po drodze oparty w kącie pogrzebacz. Już raz udowodniła, że operowanie metalowym prętem wychodzi jej całkiem dobrze i bez wahania zrobiłaby to znowu!

Na szczęście nie było takiej potrzeby. Garderoba wyglądała całkiem normalnie. Usunięto z niej większość gratów, pod ścianami ustawiono krzesła, na których zalegały ubrania pozostawione przez przebierających się aktorów, a na stole wałały się kosmetyki, grzebienie, szczotki i różne drobiazgi. Niełatwo było coś odnaleźć w tym rozgardiaszu i przez krótką chwilę zdezorientowana Zojka rozglądała się za kostiumem Calineczki. Okazało się, że sukienka zsunęła się z wieszaka, więc dziewczyna podniosła ją z podłogi i zrzuciwszy własne ubranie, pospiesznie naciągnęła na siebie. Teraz żałowała, że nie poświęciła poprawkom przed lustrem większej uwagi! Miała wrażenie, że z każdą kolejną minutą materiał uwiera ją bardziej. Albo Janinka nie przyłożyła się do przeróbki krawieckiej albo kuracja babuni Łyczakowej zamiast kurować, jak pan Bóg przykazał, zaprocentowała dodatkowym centymetrem tu i ówdzie!

Siedząca w pierwszym rzędzie Karolina zaczęła nawoływać do rozpoczęcia kolejnej sceny, więc Tuszyńska przesunęła dekollet na swoje miejsce i obróciła się na pięcie. Dziewczyna przebrana za jaskółkę wesoło zamachała do niej skrzydełkiem, po czym skuliła się na deskach, przybierając pozę rannego ptaka. Zojka nachyliła się nad nią i już otwierała usta, by wykrzyknąć przewidzianą w scenariuszu kwestię, gdy niespodziewanie poczuła uporczywe swędzenie między piersiami. Zaciśnęła wargi, by spomiędzy nich nie wyrwał się jakiś niekontrolowany okrzyk, obróciła się plecami do widowni i ponownie poprawiła sukienkę. To przyniosło ulgę, więc wróciła do jaskółki i przyklękła na podeście.

Ledwie uchyliła usta, poczuła swędzenie pod pachami. Poruszyła lekko barkami w nadziei, że ocierający się o skórę materiał sukienki rozwiąże problem, jednak uczucie świądu nie tylko nie ustąpiło, ale jeszcze się nasiliło. Zojka nie była w stanie się powstrzymać i szybko podrapała swędzące miejsce.

Z widowni dobiegły tłumione chichoty. No tak, wyglądam jak kurczak machający oskubanymi skrzydełkami, sarknęła w duchu Tuszyńska, nachylając się nad skuloną postacią. Kutkudak, kutkudak!

Dziewczyna grająca jaskółkę posłała jej niespokojne spojrzenie.

– Wszystko w porządku? – szepnęła.

– Jasne – potwierdziła skwapliwie Zojka. Równocześnie poczuła swędzenie w dole pleców, na karku i między łopatkami. Próbowwała je bagatelizować, ale było coraz silniejsze i coraz mocniej dawało się jej we znaki. Skóra pod pachami, którą nieudolnie potarła, nieprzyjemnie piekła. Zojka zagryzła wargi i jęknęła. Miała ochotę zerwać z siebie sukienkę i drapać się, drapać, drapać...

Zamieszanie na scenie zaniepokoiło panią reżyser. Karolina podniosła się z krzesła, przez krótką chwilę wpatrywała się w aktorki na scenie, po czym zbliżyła się do podestu.

– Co się dzieje? Źle się czujesz?

Zojka posłała jej uspokajające spojrzenie.

– Nie, nie, już okej, to tylko... takie dziwne swędzenie. Komar jakiś.

– Zimą? – Karolina nie wyglądała na przekonaną.

– Zmutowany komar...uhhh. – Zojka podskoczyła nerwowo w miejscu i gwałtownie podrapała się po obojczyku. – Zimowy.

– Chyba nieźle dał ci popalić – szepnęła przerażona Karolina i coś w jej głosie kazało Zojce spojrzeć na dekolt.

Skóra piersi była silnie zaczerwieniona, gdzieś tam pojawiły się nieładne bąble. Jakby w odpowiedzi na ten widok Tuszyńska poczuła swędzenie na brzuchu i między udami. Och, niech to szlag, zaklęła w duchu i nie mogąc się dłużej powstrzymać, podrapała okolice pępka. Niemal natychmiast swędzenie przeniosło się na prawy bark, a kiedy i to miejsce podrapała, na lewy. Chwilę później Zojka skakała po całym podeście, usiłując podrapać się to w jednym miejscu to drugim. Poddała się dopiero, gdy zaswędziały ją cztery litery.

– Zdejmuj kieckę! – zaskrzeczała babunia Łyczakowa.

– Że co? Oj, oj! – zaskowytała Zojka, gdy zaswędziało ją w okolicach nerki. – No, jak mam zdjąć, oj, oj!

– Nie pora na skromność, gdy coś cię żre! – rozsądnie stwierdziła babunia. Rzuciła swoim okryciem w przestraszoną Karolinę, a ta szybko podała je Zojce.

– Na pewno pchły! – skwitowała jakaś kobieta na widowni. – Od psa pewnie!

Babunia rzuciła za siebie mordercze spojrzenie.

– Chyba z gaci twojego starego! – prychnęła. Jako jedna z nielicznych we wsi trzymała psa w domu i traktowała go jak przyjaciela. Nie ukrywała też, co sądzi na temat łańcuchów czy byle jak skleconych kojców, w których zwierzak mógł co najwyżej obwąchać własny tyłek, i nie szczędziła mieszkańcom Lipówki przykrych słów. Nie przysparzało jej to przyjaciół!

Tymczasem Zojka schroniła się pod płaszczem babuni

i z pomocą zaaferowanej jaskółki usiłowała zedrzeć z siebie sukienkę. Swędzenie było już tak dokuczliwe, że nie przejmowała się pękającym materiałem. Kiedy w końcu pozbyła się sukienki i dokładnie otuliła się okryciem starszej pani, poczuła łązy ulgi. Skotłowana sukienka leżała u jej stóp. Pognieciona, porwana i przykurzona, bynajmniej nie przypominała już kreacji królowej elfów. Zojka nie chciała na nią patrzeć. Pocierała podrażnione ramiona, pociągając nosem. Kacper poklepał ją pocieszająco po plecach i posłał współczujące spojrzenie.

– Co to było, do diabła? – pytała Karolina.

Kordecki wskoczył na podest i przykucnął u stóp Zojki, biorąc do ręki zniszczony kostium. Prostując się, strzepnął lekko materiał i przyjrzał się kreacji spod zmarszczonych brwi. Potem zbliżył ją do nosa, powąchał i skrzywił się. Jeszcze raz przyjrzał się tkaninie, tym razem obracając ją tak, by lepiej padało na nią światło, i przewrócił sukienkę na lewą stronę. Zadowolony uśmiechnął się półgębkiem i ruchem brody wskazał trzymany w ręku szafirowy kłębek materiału.

– Proszek do prania – zawyrokował. – To reakcja kontaktowa.

– Nie praliśmy kostiumów. – Karolina potrząsnęła głową.

– Nie – potwierdził Kordecki. – Kontakt z wypraną odzieżą rzadko kiedy powoduje tak gwałtowną reakcję. Owszem, dochodzi do zaczerwienienia, pojawia się wysypka, ale coś takiego... – Spojrzał na Zojkę i pokręcił głową. – Proszę spojrzeć – podsunął Karolinie sukienkę – te białe drobinki... ktoś po prostu wtarł w tę sukienkę proszek do prania!

– Proszek do prania? – Kobieta nie rozumiała, do czego zmierza dziennikarz. – Ale po co?

Kordecki wzruszył ramionami, po czym spojrział na Zojkę porozumiewawczo i mruknął.

– Cóż, wychodzi na to, że ktoś tu po prostu nie lubi Calineczek...

• ROZDZIAŁ DWUNASTY •

Uporczywe swędzenie minęło po wypiciu musującego wapna, powoli zniknęły także posmarowane łagodzącą maścią podrażnienia na skórze. Zojka mogłaby zapomnieć o tej dość nieprzyjemnej przygodzie na scenie, albo przynajmniej sama przed sobą udawać, że o niej zapomina, gdyby nie babunia Łyczakowa. Kiedy staruszka przekonała się, że jej ukochanej wnuczce nic już nie zagraża, że nie dostanie ataku duszności ani nie zalegnie plackiem na ziemi, dławiąc się własnym językiem, zaczęła całe wydarzenie komentować w charakterystyczny dla siebie sposób.

– To ci dopiero było! – chichotała. – Najpierw Leośka w tym zielonym... czymś, a potem moja własna wnuczka skacząca po scenie jak pijany zając!

– Bardzo śmieszne! – Obrażona Zojka skrzyżowała ramiona na piersi. – Nie masz pojęcia, jakie to było okropne! Wiedziałam, że nie powinnam się drapać, a równocześnie nie potrafiłam nad tym zapanować. Najgorsze było, gdy zaczęło mnie swędzieć między łopatkami. Miałam ochotę przewrócić się na plecy i pocierać grzbietem o deski podestu!

– Jak Burek, kiedy natrafi na kocie gówno! – wykrzyknęła zachwycona babunia. Zojka zmarszczyła nos i posłała starszej pani urażone spojrzenie.

– No, wiesz, niekoniecznie.

– Widzisz, jak dobrze, że poszłam z tobą? Ciekawe, czym byś się otuliła, gdybym ci płaszczem nie rzuciła? – triumfowała staruszka.

– Uhm.

– No chyba, że pan Kacper podzieliłby się z tobą swoją... opończą. – Babunia uśmiechnęła się chytrze, a Zojka spłonęła rumieńcem.

– Kto wie? A co o nim myślisz? – zapytała niewinnie. – Podoba ci się?

– Coś czuję, że tobie się podoba! – śmiała się babunia. – A jak to było z tym proszkiem? Bo nie do końca zrozumiałam?

Zojka westchnęła i jeszcze raz wyjaśniła babci, że ktoś wtarł w podszewkę sukienki proszek do prania. Początkowo tego nie poczuła, ale kiedy trochę pobrykała po scenie, detergent wszedł w reakcję z potem i pojawiła się swędząca wysypka. Im bardziej się drapała, tym mocniej swędziało i piekło, bo na podrażnioną skórę działał nie tylko środek piorący, ale także słony pot. Na samo wspomnienie Zojką wstrząsnął dreszcz.

– Na pierwszy rzut oka nie było go widać, ale kiedy Kordecki strzepnął sukienkę, posypał się jak łupież w reklamie Head & Shoulders. Nawet nie było sensu szukać śladów. Wszystko wskazuje na to, że ktoś go podwędził z łazienki na plebanii.

– Ten ktoś ci robi pod górkę. – Staruszka pokiwała głową. – Jesteś pewna, że chcesz w to dalej brnąć?

– Babuniu, nie mogę się wycofać, premiera tuż-tuż...

– I obyś na nią dotarła na dwóch nogach!

Zojka chciała powiedzieć, że nic jej nie grozi, bo przecież jest ktoś, kto nad nią czuwa, ale zrezygnowała. Uświadomiła sobie, że w ostatnich dniach też myślała, że jest bezpieczna, a jednak ktoś najpierw usiłował przerobić ją na naleśnik, a kiedy mu się to nie udało, wytarzał jej kostium w jakimś gryzącym świństwie. Dobrze, że był to tylko proszek do prania, a nie coś bardziej toksycznego! Zojka nie znała się na truciznach, ale przeczytała

wystarczająco wiele kryminałów, by wyobrazić sobie, jak pada bez tchu na scenę. Niemal jak w baśni, tyle że to chyba było w *Śnieżce*, nie w *Calineczce*?

Tymczasem babunia wyczerpała temat bezpieczeństwa wnuczki i wróciła do rozważań nad humorystycznym aspektem zajścia.

– Bóg mi świadkiem, żem dawno się tak nie ubawiła! Ostatnio chyba na dożynkach, jak się Marian schylił but zawiązać i mu portki na dupsku strzeliły! Żebyś go widziała, jak spierniczał do domu, trzymając się za obydwie półdupki! – rechotała. Zojka posłała staruszce karcące spojrzenie, ale i ona nie mogła opanować rozbawienia na myśl o wuju podtrzymującym trzęsące się pośladki. Po chwili obie zaśmiewały się do łez.

Paweł Chochołek został wezwany do gabinetu Adama Bryczki.

Przełożony bezceremonialnie wyłożył sprawę na stół czy raczej na eleganckie biurko z ciemnego drewna, za którym siedział. Brak motywu, brak poszlak, a jakby tego było mało, brak poszkodowanej, która nie wiedzieć kiedy zniknęła im przed nosa! Mówiąc krótko: dochodzenie w sprawie napadu na Patrycję Oleś nie posunęło się do przodu nawet o krok!

Chochołek miał na końcu języka, że do tyłu też się nie cofnęło, ale jedno spojrzenie na twarz szefa powiedziało mu, że najlepiej zrobi, jeśli tego dnia zapomni o żartach. Bez mrugnięcia okiem wysłuchał wymówek, zrelacjonował ostatnie wydarzenia (na wieść o ataku przypuszczonym na Zojkę przy użyciu proszku do prania Adam Bryczka spojrzał na Chochołka z niedowierzaniem i zapytał, czy na pewno dobrze się czuje) i czekał na wytyczne. Ale szef nie widział sensu w dalszym prowadzeniu dochodzenia.

– No jak my mamy śledztwo prowadzić? Nie mamy ofiary, nie mamy świadków, nie mamy motywu – wyliczał na serdelkowatych palcach. – Mamy za to Piotra Jedynaka, który pierdzi mi nad głową, że mu zły pi-ar robimy.

– Jedyne pijar zamieszany w sprawę to Michniak, szefie.

– Zamknąć – rzucił stanowczo Bryczka.

– Michniaka? – przeraził się Chochołek.

– Co? Nie! Dochodzenie zamknąć!

– A jak się jakie nieszczęście stanie? – niepokoił się aspirant. – My zamkniemy, a tam ktoś ze schodów zleci? Albo wypije coś zrażącego?

– No, ale jak to? To ja ich mam za rączkę prowadzić? – uniósł się starszy stopniem policjant. – Niech odwołają przedstawienie i z głowy!

– Taaak, sugerowałem im to już na początku, ale ten Jedynak... to trudny człowiek. – Chochołek potrząsnął głową zniechęcony. Nie chciał przyznać przed przełożonym, że tak naprawdę zaangażował się w śledztwo dotyczące zagadkowego napadu na plebanię i nie chciał z niego zrezygnować. Całe to zdarzenie było dziwne i niejasne, a odkąd napastnik się uaktywnił i wziął na celownik Zojkę... cóż, dochodzenie nabrało rumieńców.

– Z Jedynakiem sobie poradzę – stwierdził Bryczka. – Chce zrezygnować z przedstawienia, niech zrezygnuje. Nie chce, jego decyzja. Dochodzenie zamknięte. Koniec tematu i koniec spotkania.

Przygnębiony Chochołek powlókł się do swojego pokoju, gdzie poszukał pocieszenia w wygrzebanej z szuflady paczce roztopionych landrynek. Choć czuł na języku drobne paprochy, dzielnie wysał cukierka do końca. Słodki przysmak spełnił swoje zadanie: pokrzepiony policjant ujrzał sytuację w jaśniejszych barwach.

To, że oficjalne dochodzenie zostało zamknięte, nie oznaczało, że on nie mógł przy sprawie pogrzebać prywatnie. Zojka... Na myśl o dziennikarce Chochołek westchnął głęboko i pokręcił głową. Tak, Zojka na pewno mu pomoże, ale może nie powinien jej narażać? No, ale z drugiej strony: czy to nie jej powinno najbardziej zależeć na wykryciu sprawcy? Niech sama zdecyduje, czy chce się angażować, pomyślał i rozluźniony

rozparł się w krześle. Pora opracować sensowny plan działania!

W tym samym czasie nieświadoma wątpliwości targających aspirantem Chocholkiem Zojka przebywała na plebanii w Lipówce. Z marnym skutkiem usiłowała przepchnąć się do stołu, na którym rozłożono biżuterię dostarczoną przez Karolinę, ponieważ blokowały ją tłoczące się naokoło kobiety. Zza ich pleców słuchała głośnych ochów i achów, równocześnie próbując stanąć na palcach i dostrzec choć skrawek tego, co wzbudzało w nich taki zachwyty.

W końcu jej się udało!

Anastazja cofnęła się o krok, by sięgnąć do kieszeni po chusteczkę, a młoda dziennikarka wykorzystała ten moment, prześlizgnęła się pod jej ramieniem i dopadła stołu. Wczepiła się w jego blat palcami, jakby w obawie, że za chwilę utraci zdobyte z trudem miejsce. Na widok błyskotek ułożonych w pudełku wyściełanym czerwonym aksamitem westchnęła głęboko.

Były cudowne – inaczej nie dało się ich określić!

Delikatna, przypominająca pajęczynę kolia z maleńkimi szafirowymi oczkami. Królewska tiara wyłożona... Zojka zawahała się. Nie była specjalistką od drogich kamieni, ale te najbardziej znane rozpoznawała. To chyba były cyrkonie? Bo przecież nie...?

Dziewczyna grająca jaskółkę westchnęła.

– Jak ja ci zazdroszczę...

– E tam – mruknęła pod nosem Tuszyńska.

– Cudowne – szepnął ktoś z tyłu.

Zojka oderwała wzrok od pudełka z biżuterią i zatoczyła nim po cisnących się wokół stołu kobietach. Wszystkie bez wyjątku wlepiały oczy w kosztowności, miały zarumienione z podniecenia policzki i uchylone z przejęcia usta. U Tuszyńskiej nie wiedzieć skąd pojawiło się skojarzenie

z Burkiem towarzyszącym babuni Łyczakowej w ubijaniu kotletów. Ten sam szklisty wzrok uparcie przyklejony do obiektu pożądania, ten sam przyspieszony oddech. Brakowało tylko wysuniętego języka, z którego ciekłaby ślina.

– Są piękne, ale przecież to tylko na czas przedstawienia. Na dodatek tylko do jednej sceny, pięć minut! – rzuciła z lekkim wzruszeniem ramion.

– Chętnie ponosiłabym je te pięć minut...

– Pięć minut rozkoszy!

– To i tak więcej niż z mężem pod kołdrą!

– Dla takich mogłabym nawet zamordować! – rozochociła się jaskółka, a Zojka obejrzała się na nią niespokojnie.

– Bez przesady... – wymamrotała niepewnie.

– Udusić. A potem sprzedać i żyć sobie beztrosko na Karaibach, z dala od skarpetek męża i chochelki teściowej! – dopowiedział ktoś wesoło i kobiety roześmiały się zgodnie. Zojka rozluźniła się i wesoło żartowała z pozostałymi kobietami, które przerzucały się pomysłami na zbrodnię doskonałą.

– Utopić.

– Napoić kretem.

– Albo zrzucić ze schodów – rzuciła Anastazja i nagle w niewielkim pokoiku na poddaszu zapadła grobowa cisza. Listonoszka złapała się za usta, jakby chciała na powrót wcisnąć w nie słowa, które jej się wymknęły, wybałuszyła oczy i spurpurowiała. Zojce zrobiło się jej żal. Przełknęła ślinę i otworzyła usta, by przerwać to niezręczne milczenie, ale ubiegła ją Karolina. Pani reżyser bezceremonialnie przepchnęła się do stołu i zgarnęła ozdoby do ręki.

– Dobrze, że dopiero teraz je przywiozłam! – prychnęła, potrząsając pudełkiem. – Kto wie, jakie mordercze instynkty by w was obudziło?

Po żartobliwej atmosferze nie pozostał nawet ślad, aktorki jedna za drugą zniknęły za drzwiami, posyłając w stronę

pociągającej nosem Anastazji zagadkowe spojrzenia. Garderoba opustoszała i po chwili w niedużym pokoiku zostały tylko Karolina i Zojka. Tuszyńska uniosła brwi i ruchem brody wskazała pudełko z ozdobami.

– Nie jestem pewna, czy chcę zakładać coś, co na oko ma wyższą wartość niż kamienica na Floriańskiej!

– Na oko to wiesz, co chłop zrobił. – Karolina przewróciła oczami. – To tylko szkiełka!

– Szkiełka? – Zojka zdębiała. – To chyba jeszcze gorzej. Dostać w czerep za coś, co można kupić na pierwszym lepszym odpuście?

– No bez przesady! – Karolina się obruszyła. Uchyliła wieczko pudełka i musnęła opuszką palca misterną złotą plecionkę. – Takiej kolii nie znajdziesz w sklepie z artykułami po pięć złotych. Ale kamienicy za nią też nie kupisz. I nowego życia na Dominikanie też nie rozpocznieš. Chyba że przepłyniesz Atlantyk w pław, zamieszkaš pod palmą, a żywić będziesz się sokiem wyssanym z trzciny cukrowej... – Zachichotała.

Zojka z namysłem przyjrzała się ozdobom rozłożonym na czerwonym aksamicie. Według niej zakładanie biżuterii, by przez pięć minut paradować w niej po scenie, miało się z celem! Więcej czasu zajmie jej rozszyfrowanie zasad działania skomplikowanego zapięcia przy łańcuszku! Karolina najwyraźniej czytała jej w myślach, bo potrzęsła głową z lekkim uśmiechem i zamknęła pudełko.

– Piotrowi bardzo zależy, by zaprezentować te cudeńka na scenie. Sam je zaprojektował. Oczywiście te oryginalne są warte więcej. Dużo, dużo więcej...

– Ile? – nieufnie zapytała Zojka.

– Może nie tyle co kamienica, ale sporo. – Karolina wzruszyła ramionami. – Wiesz, że na premierze będzie wielu zamożnych ludzi. Towarzyszyć im będą ich piękne, eleganckie żony, które uwielbiają takie błyskotki i zareagują dokładnie tak jak nasze aktorki. Z tą różnicą, że nie zaczną planować morderstwa, tylko po prostu sięgną do kieszeni. Najpewniej mężowskiej.

Zojka skinęła głową.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz... – mruknęła.

Wypadki, których ofiarą w ostatnich dniach padła Zojka, nie pozostały bez wpływu na babunię Łyczakową. Kiedy przy piątkowym śniadaniu wnuczka opowiadała jej o biżuterii dostarczonej przez Jedynaka, kiwała automatycznie głową, ale wydawała się nieobecna. W końcu przyparta do muru oświadczyła, że dopadł ją paskudny ból głowy.

– Ból głowy? – zaniepokoiła się Zojka. – Przecież ciebie nigdy nie dopada ból głowy, babuniu! Wszystko w porządku?

– Jeszcze się na tamten świat nie wybieram – sarknęła gniewnie staruszka i młoda kobieta odetchnęła z ulgą. – Możesz zapowiedzieć tym hienom, że tak szybko łapy na moich majątkach nie położą!

– Oj, babciu... – Zojka potrząsnęła głową, wgrzyzając się w kromkę z białym serem.

– Jedno mnie tylko martwi... – westchnęła starsza pani.

– Że nie będziesz na własnym pogrzebie, by zobaczyć, kto po tobie płacze? – zakpiła wnuczka. Babunia posłała jej gniewne spojrzenie, ale uśmiechnęła się półgębkiem.

– Patrzcie ino, po kim to takie wyszczekane?

– Najpewniej po Burku.

Wspomniany kudłaty towarzysz babuni Łyczakowej natychmiast wytknął wielki łeb spod stołu i z nadzieją spojrzął na Zojkę. Na widok kanapki w jej ręku oblizał się łakomie i zawadiacko mrugnął okiem. Czy ta kanapka nie mogłaby zmienić właściciela? W moim żołądku będzie jej znacznie lepiej! – wołały wilgotne ślepia. Zojka pogroziła mu palcem i wepchnęła resztkę chleba do ust, po czym zaczęła wypytywać babunię, co ją martwi.

– No bo dziś piątek... – Staruszka zawiesiła znacząco głos.

Zojka nie zrozumiała.

– I co w związku z tym?

– W każdy piątek chodzę na cmentarz, by zapalić znicz i zmówić specjalną modlitwę za dziadka Antosia. Poznaliśmy się w piątek... – bąknęła staruszka i uciekła spojrzeniem gdzieś w kierunku pieca. Zojka poczuła wzruszenie. Jakie to romantyczne! Ponad stołem wyciągnęła rękę w kierunku babuni i lekko ścisnęła jej dłoń.

– Nie martw się, babciu! Przecież mogę cię zastąpić. Dziadek Antoś na pewno się nie pogniewa, że akurat w ten piątek zjawiała się jego wnuczka.

– Naprawdę pójdziesz? – Starsza pani się ucieszyła. Zojka skinęła głową.

– Oczywiście, że tak! Ty w tym czasie wypocznij. Tylko nie włączaj tej jazgotliwej telewizji! – żartobliwie pogroziła palcem.

W milczeniu dokończyły śniadanie, po czym Zojka posprzątała ze stołu, włożyła talerze do zlewu, by nabrały mocy urzędowej, i spojrzała pytająco na dopijającą inkę babcię.

– To gdzie masz te znicze, babuniu?

Okazało się, że wyjście na cmentarz nie jest taką łatwą sprawą, jak Zojce się wydawało. Staruszka powiodła ją do szafy w swoim pokoju, gdzie na najniższej półce w dwurzędzie ustawiono przeróżne znicze i lampiony: duże i małe, czerwone, zielone i transparentne, tęczowe, z choinką, z baziami i z... czy to naprawdę serduszko?

Zojka złapała się za głowę. Po raz pierwszy widziała znicz pasujący wyglądem do walentynek! Nigdy też nie spotkała się z takimi zapasami, no chyba że w supermarkecie, gdzie już po pierwszym wrześniu pojawiały się ekspozycje związane z pierwszym listopada!

Gdy babunia robiła przegląd swojej kolekcji i przebierała w dostępnych zniczach, Zojka policzyła je w myśli. Przy dwunastym się pomyliła, więc dała sobie spokój. Babunia nie rezygnowała. Wybierała, wyciągała z szafy, oglądała pod światło,

niektóre polerowała rękawem swetra i kładła w innym miejscu, mamrotała coś pod nosem. Po kwadransie zamknęła szafę i z zadowoloną miną podała wnuczce lampion z serduszkami i pudełko długich zapalek.

– Tylko się nie poparz, dość wypadków było w ostatnich dniach – przestrzegła. Zojka przewróciła oczami i obiecała, że będzie ostrożna. Staruszka ze stęknieniem opadła na wersalkę i wyciągnęła rękę po pilota, ale widząc karcące spojrzenie wnuczki, cofnęła ją i podrapała się po brodzie. – A po drodze wstąp po chleb do delikatesów i kup mi pół kilo kaszanki. Mam ochotę na ziemniaki z kiszka i kwaszoną kapustą!

• ROZDZIAŁ TRZYNASTY •

Zojka wyruszyła na cmentarz tuż przed południem. Postanowiła, że nie będzie się spieszyć i urządzi sobie dłuższą przechadzkę po wsi, ciesząc oczy zimowym krajobrazem. Już od bardzo dawna nie spędzała zimy w Lipówce i zapomniała, jak ładnie wyglądają okoliczne wzgórza i lasy pokryte śniegową pierzynką.

Minęła przystanek kolejowy, pokonała mostek na strumieniu i ruszyła drogą przez wieś. Po drodze zapuściła żurawia na posesję rodziców, gdzie uchylone drzwi garażu wskazywały, że ojciec pracuje na ranną zmianę, i w kierunku domu wujostwa. Miała wrażenie, że firanka w oknie pokoju Zosi lekko się poruszyła i natychmiast wybiegła myślami ku kuzynce. Lada dzień Zosia wyjdzie za mąż. Ciekawe, czy denerwuje się nadchodzącą ceremonią? Dopadły ją wątpliwości, czy to ten jedyny? Zdarza się jej rozmyślać o kobiecie, z którą zdradzał ją narzeczony? A może nadal nie przyjęła tego do wiadomości i sama przed sobą udaje, że romans Klaudii i Mikołaja był tylko wymysłem Zojki, Kordeckiego i Janka?

Rozmyślając o kuzynce i zbliżającej się ceremonii, Zojka minęła budynek plebanii i kościół, a następnie pchnęła skrzypiącą furtkę prowadzącą na nieduży cmentarz. Na moment przystanąła w głównej alejce, by odszukać wzrokiem brzozę rosnącą nieopodal grobu dziadka Antoniego i obrać właściwy

kierunek.

Posuwając się w stronę nagrobka, pomyślała, że cmentarz w Lipówce jest bardzo klimatyczny i uroczy, o ile w ogóle można określić w ten sposób miejsce, w które trafia się po zapakowaniu w dębową skrzynkę. Zojka kochała życie i nie lubiła myśleć o śmierci (choć ta już kilkakrotnie puszczała do niej oko), ale przez matkę naturę została obdarzona romantyczną duszą i cieszyła się, że kiedyś spocznie na wiejskim cmentarzyku, gdzie latem kwitły bratki i śmierzduchy, marmurowe pomniki o wartości samochodu z salonu przepłatały się ze starymi nagrobkami, a nad krzyżami kołysały się wiotkie gałęzie brzoź.

Młoda kobieta przystanęła nad grobem dziadka Antoniego i zgarnęła z płyty puszystą warstewkę śniegu. Zgodnie ze wskazówkami babuni najpierw przygotowała znicz z serduszkami, potem do pustej reklamówki pozbierała to wszystko, co wymagało zabrania do domu, a dopiero gdy wszystko było pięknie uporządkowane, sięgnęła po zapalki.

Krzesząc ogień, odrzuciła na plecy długie włosy i spojrzała przed siebie.

Wtedy to dostrzegła.

Kromka z serem zjedzona na śniadanie podeszła jej do gardła.

Tkwiła nieruchomo, przelękając ślinę i wpatrując się w rząd tuj rosnących między okazałymi grobowcami a budynkiem gospodarczym. Na tle zieleni wyraźnie odcinał się ciemniejszy kształt. Ktoś tam stał i obserwował, jak krząta się wokół grobu!

Dziewczyna zgañała się w duchu za ten pomysł. Najwyraźniej nie tylko na babunię podziałały wypadki ostatnich dni, także jej wyobraźnia czerpała z nich inspiracje i podpowiadała najczarniejsze scenariusze. A przecież istniała co najmniej setka logiczniejszych wyjaśnień! Ksiądz Seweryn zażywający przedobiedniej przechadzki, kościelny porządkujący cmentarną alejkę, wiejska przekupka zapalająca znicze na grobach swoich bliskich.

Pod tujami?

Cholera.

Zojka pochyliła się nad zniczem i potarła zapalką o bok pudełka. Przytknęła płonące drewnienko do knota, patrząc, jak zajmuje się ogniem i wypełnia klosz z serduszką przyjemnym światłem. Równocześnie starała się zapanować nad skręcającym się ze strachu żołądkiem, co wcale nie było łatwym zadaniem. Kilka razy przesunęła szklanym lampionem po płycie nagrobnej, by znaleźć mu dobre miejsce, po czym w końcu podniosła oczy i spojrzała w kierunku tuj.

Nikogo tam nie było.

Zojka parsknęła cichym śmiechem. I po strachu!

Naprawdę?

Więc dlaczego serce wali jej jak oszalałe, a w przetyku pojawiła się jakaś dziwna gorycz?

Spanikowana dziewczyna przeczesywała wzrokiem cmentarz, szukając ciemnego kształtu. Za maleńką kaplicą? Tamtą brzozą? Tym kamiennym pomnikiem z aniołem? Nic nie widziała i nie wiedzieć czemu, było to o wiele gorsze!

Po omacku sięgnęła po leżącą na grobie reklamówkę i powoli ruszyła w kierunku wyjścia. To tylko pięćdziesiąt metrów do furtki, dalej jest kościół i plebania, dalej są ludzie! Czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć... no, dobra, nigdy nie miała dobrej orientacji w terenie, jeszcze trzydzieści... Zojka starała się iść spokojnie i nie oglądać się za siebie. Tam nikogo nie ma. Nie ma i nie było. Ale gdyby jednak, nie może przecież dać temu komuś satysfakcji i rozglądać się nerwowo jak królik przydybany w kapuście! No i gdyby się obejrzała, mogłaby stanąć z tym kimś oko w oko, a to byłoby okropne!

Z ulgą położyła dłoń na klamce i mocnym szarpnięciem otworzyła furtkę. Wyszła na plac za kościołem i poczuła, jak się rozluźnia. W tej samej chwili gdzieś za jej plecami skrzypnął przydeptany śnieg. Zojka zerknęła przez ramię, kwiknęła i rzuciła się do ucieczki.

Aspirant Paweł Chochołek pochylił się nad talerzem i wciągnął w nozdrza apetyczny zapach przysmażonej cebulki. Jego żołądek natychmiast zareagował głośnym burczeniem, więc bez dalszej zwłoki natarł widelcem na jedzenie. Od dziecka uwielbiał pierogi, najbardziej te z borówkami, cukrem i gęstą śmietaną. Ale ruskimi też nie pogardził, szczególnie gdy polewano je roztopionym masełkiem, a między zębami chrzęściła zrumieniona cebulka. Na widok takich specjałów tętnice policjanta płakały rzewnymi łzami.

Chochołek pochłonął pierogi, otarł usta papierową serwetką i sięgnął po szklankę z kompotem. Popijając słodki napój, zastanawiał się, na co wykorzystać wolne popołudnie. Pierwotnie zamierzał umówić się z Klarą, ale choroba koleżanki zatrzymała ukochaną w pracy. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, stwierdził filozoficznie aspirant i postanowił, że skoro ma trochę wolnego czasu, powęszy wokół napadu na Patrycję Oleś. Może i oficjalne dochodzenie zostało zamknięte, ale przecież żył w wolnym kraju i mógł wstąpić po drodze do salonu jubilerskiego i zapytać mimochodem o to sympatyczne dziewczętko, które do niedawna tam pracowało?

Zadowolony z siebie Chochołek zwrócił brudne naczynia do wyznaczonego okienka, narzucił kurtkę i wyszedł na ulicę. Przed barem natknął się na policjanta, z którym współpracował przy ostatniej sprawie. Przystanęli, by zamienić kilka słów. Chłopak był wyraźnie rozczarowany, że dochodzenie zostało zakończone. Kiedy z własnej inicjatywy zaproponował, że pokręci się po plebanii do czasu premiery, Chochołek uśmiechnął się dobrodusznie. Argumenty chłopaka były nie do podważenia. Ważną rolę ma do odegrania, to fakt, no i polubił Zojkę, choć upierdliwe z niej stworzenie. Nie chciałby, żeby spotkało ją coś złego.

Dobry z niego policjant, rozmyślał Paweł Chochołek, skręcając w ulicę, przy której znajdował się salon jubilerski Jedynaka, i do tego sympatyczny chłopak. Nic dziwnego, że wszystkie koleżanki z komendy tak mu matkowały! To serniczek, to szalik ciepły, by się nie przeziębili... Chochołkowi nikt nie matkował,

nie wiązał szalika na podwójny supeł, a co najgorsze, nie podsuwał serniczka. Tego ostatniego było mu żal najbardziej...

Na myśl o słodyczy rozlewającej się po języku aspirant głośno przełknął ślinę.

Ostatnio cierpiał na niedobór smakowitych deserów.

Słodkie upominki od matki Klary ustały, a policjant miał swoją teorię, dlaczego tak się stało. Nie omieszkał się nią podzielić z ukochaną podczas ostatniego spotkania.

– Twoja matka mnie nienawidzi! – jęczał, kiedy już rozsiedli się w kawiarni i przekonał się, że jedyną paczką, jaką tego wieczoru Klara dobędzie z eleganckiej skórkowej torebki, będzie paczka chusteczek higienicznych o zapachu rumianku. – Nienawidzi mnie, bo potłukłem całą rodzinną porcelanę!

– Nie całą – zaprzeczyła Klara. – Cukiernica ma tylko lekko wyszczerbione uszko!

– Nienawidzi mnie!

– Ależ skąd! Ona... po prostu się martwi. W naszej rodzinie porcelana zawsze stanowiła część posagu. Mama uważa, że skoro straciłam wiano, nie wyjdę za mąż... – W oczach Klary załśniły łzy, więc Chochołek rzucił się całować rączki i zapewniać zdumioną towarzyszkę, że jeszcze na pewno trafi na odpowiedniego mężczyznę, dla którego braki w zastawie stołowej nie będą stanowić większego problemu.

Klara, nie wiedzieć czemu, obrzuciła go chłodnym spojrzeniem i ucięła temat. Do końca spotkania była jakby nieobecna duchem, a przy rozstaniu pożegnała stropionego Chochołka beznamiętnym cmoknięciem w okolice lewej brwi.

Na wspomnienie nieudanego spotkania Chochołek popadł w przygnębienie. Na szczęście dotarł już w okolice salonu jubilerskiego i mógł się skoncentrować na czekającym go zadaniu. Przystanął przy przejściu dla pieszych, na którym o mało nie potracono Zojki, i z namysłem spojrzął na witrynę sklepu Jedynaka. Potem rozejrzał się naokoło i otaksował wzrokiem inne sklepy i lokale usługowe stłoczone przy ulicy. Na widok kamer zainstalowanych nad wejściem do eleganckiego

butiku ogarnęło go podniecenie. Może monitoring uchwycił samochód, którym usiłowano przejechać Tuszyńską? Co prawda Kordecki wspominał coś o uwalanych błotem tablicach, ale był zdenerwowany, mógł coś poknocić, a poza tym istniały inne sposoby namierzenia takiego delikwenta!

Chochołek przeciął ulicę i zajrzał przez szybę do środka. Na widok młodej klientki paradyżującej po sklepie w sukience tak obcisłej, że nie pozostawiała miejsca dla wyobraźni, zarumienił się po korzonki żółtawej grzywki i spłoszony czmychnął w kierunku salonu jubilerskiego. Przeklinał w duchu, że nie pomyślał o sprawdzeniu kamer, gdy śledztwo było jeszcze w toku. Teraz będzie musiał zebrać, by właściciele salonu okazali dobrą wolę i pokazali mu nagranie! I kręcić się wśród tych babskich fatalaszków, które przyprawiały go o palpacje serca i ataki paniki!

Zamyślony uchylił drzwi i wszedł do salonu jubilerskiego. Powoli zbliżył się do długiej lady z jasnego drewna i pochylił się nad przeszkloną gablotą, udając, że podziwia ułożone w niej świece. Stojący w rogu młody mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie.

– Czym mogę służyć?

– Czym...? – Stropiony Chochołek podrapał się po czubku głowy. – Sam nie wiem, hmmm.

– Czy szanowny pan szuka czegoś konkretnego?

– Hmmm, nie, nie. Szukam czegoś... – Chochołek rozpaczliwie pstrykał palcami, szukając odpowiedniego słowa. W końcu na takie natrafił... – Szukam czegoś ładnego – obwieścił. Mina sprzedawcy zrzedła, jakby ładne przedmioty były w tym salonie towarem deficytowym. Chochołek poczuł nagły niepokój. – Nie macie?

– Ależ mamy, mamy... – Młodzian za ladą rozłożył ramiona, wskazując przeszklone gabloty. – Czy szanowny pan życzy sobie... coś ładnego dla siebie?

– No jeszcze tego by brakowało! – uniósł się Chochołek. – Co ja jestem, baba, żebym w koralach na szyi ganiał?!

– Proszę wybaczyć. W takim razie wnioskuję, że chodzi o coś... ładnego dla damy?

– Dla damy? – zdumiał się Chochołek. – Nie, nie dla damy. Dla Klary.

– A Klara jest...?

– Bibliotekarką.

Sprzedawca spojrzał na Chochołka skonsternowany.

– Czy chciałby pan kupić coś konkretnego? To znaczy... – Zmarszczył brwi. – Czy ma pan pomysł, co chciałby kupić?

– W ogóle – zgodnie z prawdą odparł aspirant.

– A co lubi pani Klara?

– Porcelanę.

Sprzedawca uśmiechnął się pod nosem. Chochołek przyjrzał mu się spode łba. Postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję i westchnął teatralnie.

– Już tu kiedyś byłem – oświadczył.

– Naprawdę?

– I mieliście tu wtedy lepszą obsługę – burknął tonem rozkapryszzonego klienta. – Za ladą stała taka ładna brunetka. Czy może ją pan poprosić?

– Niestety, nie ma jej.

– Może przyjdę, gdy będzie na zmianie. Kiedy pracuje?

– Już tu nie pracuje – chłodno odparł sprzedawca. W jego oczach błysnęło coś nieokreślonego i zaintrygowany Chochołek przysunął się do lady.

– Szkoda. A wie pan, gdzie ją znajdę? Może u konkurencji? – zażartował.

– Wyjechała z miasta.

Chochołek otworzył usta, by zapytać dokąd, ale zauważył, że sprzedawca przygląda mu się z dziwnym uśmieszkiem. Chyba coś zwęszył, skrzywił się w duchu i zrezygnował z dalszego

drażenia tematu Patrycji. Zamiast tego pochylił się nad lada i udawał, że ogląda wyeksponowane w niej złote ozdoby.

– Może jednak coś zaproponuję? – Sprzedawca wysunął szufladę i wydobył miękką aksamitną poduszeczkę z pięknym naszyjnikiem. – Kolia z czternastokaratowego białego złota, szmaragd o szlifie łezki, o tutaj, a do tego trzydzieści osiem diamentów o szlifie brylantowym. Bardzo efektowna, przyzna pan.

– Przyznaję. – Chochołek ledwo dostrzegalnie skinął głową. – Ile kosztuje?

– Jedenaście tysięcy osiemset złotych – uroczyście wyrecytował sprzedawca.

Aspirant zachłysnął się powietrzem.

– Niemożliwe – wykrztusił.

– Wiem, że trudno uwierzyć w tak atrakcyjną cenę, ale jednak. – Młody człowiek się uśmiechnął. Chochołek popatrzył na niego jak na wariata. Oferować coś wyglądającego jak obroża dla kreta, wartości kilku dobrych pensji, i jeszcze się przy tym szczerzyć jak głupi do sera?

– A ma pan coś równie atrakcyjnego w trochę mniej atrakcyjnej cenie? – zapytał z ironią.

Mężczyzna za lada w mig wyłapał aluzję. Posłał policjantowi ciut protekcyjne spojrzenie i odłożył kolbę na miejsce. Zamknął szufladę, uchylił inną i położył na ladzie kolejną poduszeczkę, tym razem z delikatną bransoletką. Chochołek odetchnął z ulgą. Coś, co wyglądem przypominało powrózek do wiązania snopków zboża, nie mogło być przesadnie drogie. Kiedy więc sprzedawca podał cenę, aspirant poczuł, jak poci się pod żółtą grzywką.

– Za co? – jęknął.

– Cóż, ponownie czternastokaratowe złoto, dwa szmaragdy o szlifie brylantowym. Ich czystość...

– Dobra, dobra. – Zniecierpliwiony stróż prawa przerwał tyradę. – A czy macie coś, co nie przekracza wartością mojego

samochodu? Pięciokrotnie?

Spojrzenie sprzedawcy powędrowało do stojaka na ladzie i wyeksponowanych na nim charmsów. Chochołek poczuł lekką panikę. Już sobie wyobrażał minę matki Klary, gdyby wręczył ukochanej biedronkę albo słodkiego kotka z kwiatuszkiem za uchem!

Na szczęście młody człowiek zrobił minę, jakby go olśniło, i zdecydowanym krokiem podszedł do kolejnej gabloty. Gmerał w niej tak długo, że Chochołek zaczął się zastanawiać, czy w międzyczasie nie wyskoczyć na kawę z szarlotką do kawiarni za rogiem, w końcu jednak podsunął policjantowi złoty krążek. Tego dla Pawła Chochołka było już za wiele.

– Pierścionek? – wydukał.

– Owszem – potwierdził sprzedawca. – Kamień główny: szafir. W koronie po trzy diamentyki z każdej strony, białe złoto...

– A daj mi pan spokój z tymi kamieniami! – warknął zirytowany Chochołek.

– Myślałem...

– Co pan myślał?!

– Że przyszedł pan kupić wyjątkowy podarunek dla wyjątkowej kobiety.

– Nie, ja przyszedłem... – palnął bez zastanowienia Chochołek i pokrył się buraczkowym rumieńcem. O mało co nie wygadałby, po co naprawdę zjawił się w salonie jubilerskim Jedynaka! Teraz rozpaczliwie szukał logicznego wyjaśnienia dla swojego zainteresowania błyskotkami, a sprzedawca spojrzał na niego wyczekująco.

– Tak? – ponaglił.

– Tak, tak! – Chochołek zamachał niecierpliwie rękoma. – Dawaj pan te pierścionki, do cholery! Nie te, tamte!

– Ale białe złoto jest teraz bardzo modne! – usiłował protestować młody człowiek. Chochołek skierował na niego wzrok mordercy.

– W nosie mam, co jest modne, a co nie! Jeśli coś jest ze złota i jak złoto kosztuje, niech chociaż jak złoto wygląda!

Przez najbliższy kwadrans aspirant Chochołek przebierał w złotych ozdobach, oceniając urodę szlachetnych kamieni męskim okiem i zupełnie ignorując uwagi sprzedawcy przekonującego go o czystościach, szlifach, barwach i innych całkowicie niemających dla niego znaczenia cechach klejnotów. W końcu wytypował śliczny pierścionek, który – jego zdaniem – przypadnie Klarze do gustu. Nieduży szafir otaczały maleńkie diamenciki, złoto lśniło, jak na prawdziwe złoto przystało, i Chochołek z miejsca zapragnął go kupić i ofiarować ukochanej. Ponieważ jednak nadal miał wrażenie, że w czyniony właśnie zakup został pechowo wmanewrowany, wskazał sprzedawcy wybrany przedmiot ze skrzywioną miną. Słyszac cenę, westchnął żałobnie.

– Muszę podejść do bankomatu – mruknął pod nosem.

– Realizujemy płatności kartą, aspirancie – podsunął sprzedawca.

– Nie mam karty z tak wysokim limitem dziennych transakcji – zachnął się Chochołek.

Szczerliwie bankomat znajdował się na tej samej ulicy. Ponury jak chmura gradowa Chochołek wypłacił niezbędną kwotę, konstatując, że na następne wakacje pojedzie pod namiot do Stanisławia Dolnego, po czym wrócił do salonu jubilerskiego i dokończył transakcję zakupu pierścionka. Odbierając z rąk zadowolonego sprzedawcy ozdobne opakowanie (gratis do każdego zamówienia powyżej trzech tysięcy złotych, jak głosiła dyskretna karteczka przyklejona do jednej z gablotek), nie sarkał pod nosem.

– Nie do uwierzenia, by coś tak niepozornego ogołociło mi konto!

– Diabeł tkwi w metce – przyznał uśmiechnięty młody człowiek. – Wybrał pan pierścionek renomowanej marki. Poza tym...

– Poza tym co?! – burknął policjant.

Sprzedawca wyszczerzył zęby.

– Małe jest piękne, czyż nie?

W czasie gdy aspirant Paweł Chocholek bolał nad zawartością, czy raczej pustką, swojego rachunku bankowego i planował konsumpcję chleba z pasztetem do końca miesiąca, przerażona Zojka usiłowała zgubić prześladowcę. Okrażyła kościół, wybiegła na ulicę i przystanęła na sekundę niezdecydowana. Gdzie biec? Gdzie szukać ratunku? Na ulicy żywego ducha. Jediną oznaką, że wieś nie opustoszała, był unoszący się z kominów dym i gdzieniegdzie szczekające psy.

Plebania!

Ale brama prowadząca na plebanie była zamknięta. Jeśli nie daj Boże, nikogo nie zastanie, znajdzie się w pułapce i będzie biegać jak mysz w klatce, obijając się w panice od siatki ogradzającej ogród! To już lepiej pobiec ulicą przez wieś i szukać ratunku. Dom rodziców, wujostwa, sklep... O domku na wzgórzu Zojka nawet nie myślała. Co prawda siekiera ukryta w starej budzie dla psa byłaby miłym dodatkiem przy tak emocjonującej przygodzie, ale po pierwsze, kierowanie prześladowcy w miejsce porośnięte przez strzeliste drzewa, gęste zarośla i inne badyle sprzyjające ukryciu zwłok zakrawało na szaleństwo. A po drugie i najważniejsze: Zojka obawiała się, że ze swoją wspaniałą kondycją po prostu tam nie dobiegnie i padnie gdzieś w okolicy przystanku kolejowego, ryjąc nosem w śnieg i wystawiając się mordercy jak kotlet na talerzu!

Już teraz czuła bolesne pulsowanie w boku i z przerażeniem odkryła, że zwalnia. Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie i jęknęła. Na ulicy pojawiła się ciemna, zakapturzona postać i zdecydowanie ruszyła za nią. Zojka nie potrafiła jej zidentyfikować. Kaptur specjalnie ściągnięto w taki sposób, by ukryć w mroku rysy twarzy, a sylwetki nie umiała dopasować do żadnego znanego jej mężczyzny. Bo był to mężczyzna, tego jednego była pewna!

Dziewczyna obejrzała się za siebie i stwierdziła, że odległość między nią a napastnikiem wyraźnie zmalała. W tej samej chwili poczuła, jak jej stopy ślizgają się na oblodzonym chodniku. Z trudem odzyskała równowagę i zganiła się w duchu. Trzeba patrzeć i biec przed siebie, szczególnie że delikatesy są na wyciągnięcie ręki. Jeszcze pięćdziesiąt kroków i znajdzie się wśród ludzi, będzie bezpieczna!

Wbrew zdrowemu rozsądkowi ponownie obejrzała się przez ramię i zaskoczona przystanąła w miejscu. Napastnik zniknął. Po prostu rozplynał się w powietrzu. Spanikowana Zojka przeczesywała wzrokiem ulicę i przylegające do niej rowy, ale nie dostrzegła nic podejzranego. Tylko czarny kundelek po drugiej stronie drogi jazgotał hałaśliwie i miotał się nerwowo przy płocie. Zojka rozluźniła napięte mięśnie i powoli ruszyła w swoją stronę. Co kilka kroków oglądała się za siebie, jakby w obawie, że napastnik zeskoczy z jakiegoś drzewa, robiąc głośne: buuuu! Ta myśl była tak absurdalna, że zaczęła chichotać. Ocierając oczy, minęła duże dostawcze auto zaparkowane przy chodniku i sięgnęła do kieszeni po telefon. Powinna zadzwonić do Chochołka i opowiedzieć mu o kolejnej przygodzie. Co prawda aspirant zadzwonił do niej z informacją, że śledztwo zostało zakończone, ale przecież nie zostawi jej tak bez wsparcia? Wystawioną jak ser dla myszy? Wpatrzona w wyświetlacz Zojka nie zwracała uwagi na otoczenie i kiedy ktoś stanął przed nią, bardziej to wyczuła, niż dostrzegła. Na widok mężczyzny w ciemnej kurtce i spodniach, z naciągniętym na głowę kapturem i z ręką zaciśniętą na pustej butelce, stanęła jak wryta. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem on wyszczerzył zęby i wyciągnął w jej kierunku rękę...

Zojka nie zamierzała czekać na dalszy rozwój sytuacji. Pchnęła napastnika, okręciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki. Już nie myślała, by dzwonić do Chochołka, szukać ratunku w sklepie czy domu rodziców, teraz liczyło się tylko to, by uciec przed prześladowcą, który w końcu zyskał twarz. Tuszyńska pokręciła głową z niedowierzaniem. Mężczyzna, który zaczepił ją na próbie, ten dziwak ze zmierzwioną czupryną i filcowymi listkami powtykanymi za uszy? Już wtedy wyczuła w nim jakąś

złość. Dlaczego ją ścigał? Co mu zrobiła? Przecież nie marzył o roli Calineczki?!

A zresztą, kto za takim trafi?

I tak nie miała czasu roztrząsać pobudek kierujących napastnikiem. Słyszała, jak za jej plecami traci równowagę i wali się na oblodzony chodnik z głośnym przekleństwem. Zmobilizowała wszystkie siły i wypadła na ulicę. Klucie zmieniło się w pulsujący ból, rozlany na cały bok. Zojka z niepokojem popatrzyła na pustą drogę, którą miała pokonać. Nie da rady! Jej wzrok spoczął na zaparkowanym samochodzie dostawczym. Na jego boku gruba parówka radośnie szczyrzyła ogromne zęby. Tylne drzwi były uchylone, najwyraźniej kierowca nie domknął ich, zabierając skrzynki z wędliną, mięsem czy co tam jeszcze rozwoził po okolicy.

Zaskrzypiał przydeptany śnieg. Nie było czasu do stracenia! Zojka nerwowo zerknęła za siebie, po czym złapała skrzydło drzwi i wgramoliła się do samochodu. Zdażyła jeszcze przymknąć drzwi i przykucnąć za wieżą ustawioną z czerwonych i białych plastikowych pojemników, gdy na zewnątrz rozległo się głośne człapanie. Słyszając towarzyszące mu gniewne mamrotanie, dziewczyna skuliła się i zacisnęła powieki.

Oby tylko napastnikowi nie przyszło na myśl szukać jej w samochodzie, bo wtedy marny jej los!

Zojka pociągnęła nosem i skrzywiła się lekko, czując mdlący zapaszek świeżego mięsa. W samochodzie panował półmrok, dostrzegała tylko kontury niedbale rozrzuconych skrzynek. Z jednej z nich wystawało coś długiego i młoda kobieta wyciągnęła po to rękę w nadziei, że znajdzie coś, czym w razie zagrożenia będzie mogła zaatakować swojego prześladowcę.

Tasak do mięsa? Metalowy hak? Nie raz widziała, jak dostawcy ciągną takim wyładowane ciężkim towarem skrzynki! Z taką bronią miałyby jakieś szanse!

Dłoń Zojki zacisnęła się na nodze ogromnej kury rosółowej.

Świetnie! Będzie pierwszym człowiekiem w historii, który

obronił się przed napadem, ciskając w swojego napastnika wypatroszonym drobiem. Przy odrobinie szczęścia wyceluje jakąś wystającą kostką i wybije mu oko!

Mimo absurdu całej sytuacji, nie wypuściła zdobyczy z ręki. Złapała nogi kury oburącz i uniosła ręce nad głową. W samą porę! Usłyszała zbliżające się kroki, potem rozległo się zduszone stęknienie, a na koniec zaskrzypiały uchylane drzwi. Zojka napięła wszystkie mięśnie i przygotowała się do zadania ciosu. Ale zamiast okalanej ciemnym kapturem twarzy napastnika ujrzała kolejne skrzynki, sunące po podłodze chłodni w asyście paskudnego zgrzytu i nieprzyjemnego smrodku.

Sekundę później drzwi zatrzaśnięto z głośnym hukiem, a oniemiała Zojka pograżyła się w totalnych ciemnościach. Szybko zerwała się na równe nogi, ale zanim zdążyła odnaleźć drogę między skrzynkami, dobiec do drzwi i głośno w nie załomotać, zarechotał uruchamiany silnik, samochód zatrząsał się na boki i ruszył z mocnym szarpnięciem. Zdezorientowana dziewczyna nie zdążyła się niczego chwycić i zatoczyła się, najpierw na ścianę, a następnie w głąb chłodni. Tym samym ona wpakowała się w kolejną kabałę, a jej pupa w skrzynkę oślizgłych podrobów.

Tego popołudnia redaktor Marcin Kordecki postanowił wyjść z redakcji nieco wcześniej. Liczył na to, że w domu będzie mógł w spokoju wybrać zdjęcia do obszernej fotorelacji z przygotowań do adaptacji *Calineczki*, co w siedzibie „Kroniki Wadowickiej” nie było mu dane. Próbował, niech to szlag, naprawdę próbował, ale świergot Arlety, która co rusz pojawiała się w jego gabinecie z kolejną herbatką, kanapką czy „niecierpiącą zwłoki sprawą”, nie pozwalał mu się skupić. W pewnym momencie posunął się do zamknięcia drzwi na klucz, jednak na niewiele się to zdało. Z przerażeniem słuchał, jak zaaferowana kobieta zwołuje pozostałych dziennikarzy i namawia do przystawienia drabiny do jego okna. Przecież nigdy się nie zamykał, na pewno coś się stało, zasłabł albo nie wiadomo co!

Już ja dobrze wiem co! – zgrzytał zębami, gdy przekręcał klucz w zamku i wpuszczał do środka pobladłą ze zdenerwowania dziewczynę. Kiedy ze łzami ulgi rzuciła mu się na szyję (przy okazji o mało co nie wybijając mu czubkiem głowy górnych jedynek), powiedział sobie, że więcej nie zdierży. Jedno z nich musiało opuścić siedzibę „Kroniki”, a ponieważ był dżentelmenem, pozbierał swoje rzeczy i pożegnał wyraźnie rozczarowaną dziennikarkę, przykazując jej, by odbierała telefony i skrzętnie notowała wszystkie wiadomości.

Tak na wszelki wypadek, by czasem nie przyszło jej do głowy odwiedzić go z termosem gorącej czekolady, frotowymi skarpetami i jakąś bzdurną fakturą do podpisu!

W drodze do domu redaktor zatrzymał się pod niedużym sklepikiem we wsi, by kupić co nieco na kolację. Właśnie pakował reklamówkę z prowiantem na tylne siedzenie auta, kiedy na parking wjechał samochód dostawczy z logo ubojni drobiu. Kordecki pomyślał, że to trochę późna pora na przywóz towaru, ale dobrze się składa. Miał ochotę na pieczoną nóżkę, więc postanowił wrócić do sklepu i kupić kawałek kurczaka ze świeżej dostawy. Na samą myśl o chrupiącej skórce poczuł, jak ślinka napływa mu do ust.

To, co nastąpiło później, sprawiło, że zapomniał o jedzeniu.

Ledwie kierowca szarpnął za metalową wajchę i uchylił drzwi chłodni, pojawiła się w nich Zojka Tuszyńska dzierżąca za nogę wyjątkowo dorodny okaz kurczaka. Zamachnęła się nim bojowo, aż przerażony młody chłopak zatoczył się do tyłu i wylądował tyłkiem w zwałach poczerńiałego śniegu zalegającego na skraju parkingu.

Widok Zojki wymachującej drobiem był tak komiczny, że redaktor z trudem powstrzymał się od ryknięcia śmiechem. Zamiast tego zbliżył się nieco do dostawczaka i spojrzał spod zmarszczonych brwi na jego nietypową pasażerkę. Zachował przy tym jednak bezpieczną odległość, bo gramoląca się z chłodni Zojka wciąż nie wypuszczała z ręki mocno już sfatygowanego kurczaka.

Kiedy się odwróciła i ich spojrzenia się spotkały, uniósł

znacząco brwi. Tuszyńska zacisnęła mocno zęby i lekko uniosła swoją oryginalną broń. Kordecki pomyślał, że to pewnie nie przyjemnego dostać takim kurczakiem przez łeb, i odruchowo cofnął się o krok.

Nie mógł wiedzieć, że Zojka, która ostatnie minuty podróży w ciemnej i zimnej chłodni zadreślała się myślą, że samochód ubojni został podstawiony celowo, a ona sama weszła w paszczę lwa i pomogła się uprowadzić, na jego widok poczuła tak wielką ulgę, że totalnie opadła z sił. Gdy redaktor z paniką w oczach zastanawiał się, które części ciała ochraniać w pierwszej kolejności, ona skoczyła w jego stronę, najzwyczajniej w świecie objęła go za szyję i zalała się łzami.

Marcin Kordecki bezsprzecznie był dżentelmenem. Nie wychodził z domu bez materiałowej chusteczki dyskretnie ukrytej w kieszeni jeansów, bo tego nauczyła go matka.

Przepuszczał w drzwiach wszystkie damy, nawet te w wieku przedszkolnym, które na nogawkach jego spodni zostawiały ślady po roztopionej czekoladzie i witały go słowami: „Mamusiu, dlaczego ten pan ma taki głupi krawat?”.

Znosił awanse koleżanki z redakcji i spijał wszelkie ohydne herbatki, które mu podsuwała, nawet jeśli już sam ich kolor wzbudzał w nim odruch wymiotny.

A teraz zamarł w bezruchu z chlipiącą Zojką i wymęczonym kurczakiem w objęciach. Nie drgnął nawet, kiedy oślizgła szyja kuraka przykleiła się do jego policzka i pozostawiła na nim coś lepkiego. Zacisnął zęby i wykonał w myślach szybki przegląd lodówki. Szykowała się kolacja dla dwojga. Kordecki obiecał sobie, że drobiu na niej nie będzie...

• ROZDZIAŁ CZTERNASTY •

Zojka przerzuciła kurczaka do drugiej ręki i niezdarnie otarła mokre policzki. Przód kurtki Kordeckiego był wilgotny od jej łez i dziewczyna zawstydzila się tym niespodziewanym wybuchem rozpacz. Również mężczyzna musiał poczuć się nieswojo. Nerwowo przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc czemu ciągle drapał się po policzku i mamrotał coś pod nosem. Zojka momentalnie się najeżyła.

– No co? – wycedziła i mocno pociągnęła nosem.

Kordecki przewrócił oczami, sięgnął do kieszeni i podał jej starannie złożoną chusteczkę.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba miałaś odpoczywać. Zamiast tego wyłaniasz się z chłodni i atakujesz Bogu ducha winnych ludzi kurczakiem – zauważył.

– Niewinnych! – sarknęła Zojka. – A bo to wiadomo, kto winny, a kto nie? Może ten człowiek – wskazała gramolącego się z zasy mężczyznę – chciał mnie uprowadzić?

Kordecki uniósł brwi, spojrzał na wściekłego kierowcę dostawczaka gramolącego się do chłodni i uśmiechnął się do Zojki półgębkiem.

– Że niby pomylił cię z kurczakiem? Pachniecie w sumie podobnie...

Tuszyńska spiorunowała go wzrokiem.

– Cieszę się, że humor ci dopisuje. Też bym się chętnie pochichrała, ale wyobraź sobie, że po wizycie na cmentarzu, spotkaniu oko w oko z mordercą i wycieczce przez siedem wsi z tyłkiem w kurzej wątróbce jakoś nie jest mi do śmiechu!

Redaktor spojrział na nią pobłaźliwie.

– I do tego pewnie uderzyłaś się w głowę?

– Tak! – palnęła bez zastanowienia Zojka. Natychmiast uświadomiła sobie, co ten bubek ma na myśli, i gniewnie tupnęła nogą. – Ty mi tu głowy głową nie zawracaj, tylko natychmiast zawieź mnie do Chochołka!

– Wykluczone! – Kordecki skrzyżował ramiona na piersi i potrząsnął głową.

– Muszę jechać na policję! – warknęła. Słyszac jej słowa, kierowca wychylił się z chłodni i oskarżycielsko wycelował w nią palec.

– Zgadza się! Panie – rzucił w kierunku Kordeckiego – niech ją pan zabierze na komendę i powie tam, żeby jej nie wypuszczali. To zagrożenie dla otoczenia! Zaatakowała mnie! Włamała się na chłodnię!

– Była otwarta! – warknęła Zojka. – Poza tym szukałam schronienia przed mordercą! To pan mnie wywiózł w siną dal i jeszcze tak mnie wytrzepał na wertepach, że woreczek żółciowy mam w lewym uchu! Kto panu dał prawo jazdy, do cholery?

Kierowca poczerwieniał na twarzy i wykonał ruch, jakby zamierzał zeskoczyć z chłodni i rzucić się na nią. Zojka odruchowo się cofnęła, a Kordecki wystąpił przed dziewczynę i syknął gniewnie.

– Idź do samochodu.

– Ale...

– Czy chociaż raz możesz zamknąć buzię i zrobić to, co mówię? Załatwię to!

Zojka wzruszyła ramionami i powlokła się w kierunku

samochoodu Kordeckiego. Nie wsiadła jednak do środka, zamiast tego przywarła plecami do drzwiczek po stronie pasażera i zagapiła się na badyle porastające parcelę sąsiadującą z parkingiem. Od strony dostawczaka dolatywały ją stłumione głosy spierających się mężczyzn.

Kordecki nerwowo obejrzał się na czekającą przy samochodzie Zojkę, a potem posłał w stronę ponurego kierowcy porozumiewawczy uśmiech. Ten zatrzepotał nerwowo rękoma.

– Kto mi zapłaci za straty? Mam pokryć z własnej kieszeni? Zmiażdżona wątróbka? Ukradziony kurczak?

– Dobrze panu radzę, niech pan odpuści i szybko zapomni, że kiedykolwiek spotkał tę kobietę! – odrzekł Kordecki z grobową miną.

Kierowca zrobił wielkie oczy.

– Zapomnieć? Człowieku, w życiu mnie coś takiego nie spotkało! Nikt nigdy nie próbował mnie zakatrupić kurczakiem!

– No właśnie o tym mówię – Kordecki pokiwał głową współczująco. – Proszę mi uwierzyć, nie chce pan zadzierać z tą kobietą. – Zniżył głos. – Ona... nie jest sobą. Nie jest całkiem normalna.

– No to widać na pierwszy rzut oka – przyznał kierowca. Nagle spojrzął na Kordeckiego podejrzliwie. – A pan jej dotykał...

– Tak, wiem. – Na wspomnienie oślizgłej szyi kurczaka przyklejonej do policzka redaktorem wstrząsnął dreszcz. Stojący w drzwiach chłodni mężczyzna właściwie to zinterpretował i pokiwał głową ze zrozumieniem. Kordecki posłał mu udręczone spojrzenie. – Musi pan zrozumieć, mam zobowiązania... to rodzina. Bardzo daleka – zastrzegł szybko – ale jednak rodzina.

– No tak. – Mężczyzna wyraźnie się stropił. – Rodziny się nie wybiera. Byle tylko w następnym pokoleniu nie wyszło.

– Byle tylko – skwapliwie podchwycił Kordecki. – No, ale rozumie pan...

– Tak, oczywiście, rozumiem. A, przepraszam, co jej jest?

– Co jej jest? – Kordecki udawał, że się zastanawia, a w duchu dusił się ze śmiechu. – Cóż, najprościej to ujmując: ma fioła na punkcie drobiu. Miała kiedyś ukochanego kogucika. Wszystko wskazuje na to, że ukatrupił go lis, ale ona uważa, że Miecio został porwany.

– Miecio?

– Tak, właśnie. Od tamtej pory szuka Miecicia. Chodzi po sklepach i zagląda do lady ze świeżym drobiem. Włamuje się do samochodów dostawczych. Wierzy, że znajdzie swojego kogucika...

– Jezuuuu! – Kierowca posłał w stronę opartej o samochód Zojki wstrząśnięte spojrzenie. – Jest niebezpieczna?

– Tylko wtedy, gdy ktoś próbuje jej przeszkodzić.

– Ale ja jej nic nie zrobiłem!

– Wierzę panu, ale...

– Ale co? – jęknął chłopak. Kordecki zbliżył się do chłodni, konfidencjonalnie zniżył głos i dyskretnie wskazał za siebie.

– Ona chyba myśli, że trafiła na Miecicia... niech pan spojrzy, jak tuli do piersi to nieszczęsne kurczę, z jaką czułością przyciska je do siebie i próbuje ogrzać własnym ciałem. Prawdopodobnie uważa, że pan...

– Że ja?

– ... zamordował Mieczysława. Nie chciałbym być w pana skórze w takim wypadku.

– Przecież to drób z ubojni! – zaprotestował kierowca. – Ja nie skrzywdziłem Miecicia!

Kordecki westchnął i pokręcił głową.

– Nie wiem, czy do niej to dotrze...

– Dobra, niech pan ją zabiera i to szybko! Nie chcę mieć problemów z wariatką!

– A wątróbka? Może ja... – Kordecki sięgnął po portfel i wyjął kilka banknotów. Kierowca wyszarpnął mu je z ręki i wcisnął za

pazuchę. W tej samej chwili do samochodu zbliżyła się znudzona Zojka. Posłała mężczyznom skruszone spojrzenie.

– Przepraszam, nie powinnam była na pana napadać. Ale proszę zrozumieć...

– Wszystko rozumiem – szybko wtrącił kierowca.

– Cieszę się! – Zojka uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła w jego kierunku dłoń ze zmaltretowanym kurczakiem. – Proszę! To chyba należy do pana!

Mężczyzna spojrzał na nią niepewnie i zawahał się. W końcu machnął ręką lekceważąco.

– Nie, niech go sobie pani zatrzyma – rzucił. – Miecia...

– Serio? – Zojka obrzuciła rozmówcę zdumionym spojrzeniem.
– Nie musi się pan rozliczyć albo coś?

– Ten pan zapłacił.

– O? – Zojka obejrzała się na Kordeckiego i zmrużyła podejrzliwie oczy. – Rosółku się zachciało? Tak przypiątku?

– Tak, właśnie – potwierdził redaktor i mrugnął porozumiewawczo do kierowcy. – Wracamy do domu. Znajdziemy mu dobre miejsce w lodówce!

– Oszalałeś! – prychnęła Zojka. – Przecież ci cały czas powtarzam, że w końcu natrafiłam na mordercę. Ani myślę wracać do domu!

– Masz tyłek w kurzej wątróbce – uświadomił ją Kordecki. Zojka usiłowała wykręcić szyję i dostrzec zabrudzenia na tylnych partiach ciała, tymczasem redaktor za jej plecami machnął na kierowcę, dając mu sygnał do odjazdu. Trudno, tego dnia sklep nie otrzyma dostawy drobiu, a mieszkańcy wsi będą musieli obejść się smakiem i zaprawić pomidorową aromatem z papierka. Kiedy samochód dostawczy gwałtownie ruszył, Zojka porzuciła próby oszacowania kondycji swojej garderoby i spojrzała za nim.

– Pojechał? Dziwny człowiek, prawda? Żeby nadawać imiona kurczakom... Mieciu... – szepnęła do trzymanej w dłoni tuszki,

nabierającej już nieprzyjemnej siwej barwy. Zojka westchnęła i podała kurczaka Kordeckiemu. Ten wziął jego nogę w dwa palce i spojrzał na nią z wściekłością.

– I co mam z tym zrobić, do cholery?

– Mnie pytasz? Ty sobie kupiłeś, ty się nim teraz zajmij. – Wzruszyła ramionami, a potem parsknęła śmiechem. – Mieciem.

– Bardzo śmieszne. Wisisz mi cztery dychy.

– Dołożę jeszcze jedną, ale musisz mnie zawieźć do Chochołka.

– Co ty tak z tym Chochołkiem? – zirytował się redaktor.

Zojka spojrzała na niego jak na wariata. Nie dość że bubek, to jeszcze głuchy. Oszaleć z takim można! Pokręciła głową z westchnieniem i oświadczyła:

– Przecież od dobrego kwadransa ci powtarzam, że spotkałam na cmentarzu mordercę. Po prawdzie to niedoszłego mordercę, bo przecież obie z Patrysią żyjemy, ale musisz przyznać, że niewiele brakowało!

– O czym ty mówisz? – Mężczyzna utkwiał w niej zmrużone oczy.

– Boże, daj mi cierpliwość... – wymamrotała Zojka, wznosząc oczy do nieba. – Zatrzymałeś się na etapie pierwszej klasy i trzeba do ciebie mówić głoskami? Dobra, jak chcesz... d...z... i...s...i...a...j... n...a... c...m...

Kordecki spiorunował Zojkę wzrokiem.

– Po prostu powtórz!

– Powtarzam bez końca, a efektów nie widać! – gderała dziewczyna. – Mówię, że musimy jechać do Chochołka. Policja musi go aresztować!

– Kogo? Chochołka?

– Nie, barani łbie! Tego z gałazkami! Przebranego za krzak! To on napadł na mnie i na Patrycję!

Choć Zojka prosiła, groziła i niemal płakała, Kordecki pozostał nieugięty. Nie ma mowy, by w tym stanie gdziekolwiek jechała, a już na pewno nie po to, by ścigać niebezpiecznego przestępcę. Przecież zaledwie kilka dni temu prawie została potrącona samochodem, następnie niemal natarta żrącym detergentem, a gdyby tego było jeszcze mało, złapała katar! Jakby na potwierdzenie tych słów Zojka kichnęła trzykrotnie i spuściła głowę z żalonym westchnieniem. Dobrze wiedziała, że Kordecki ma rację. Miała lodowate ręce, szczykała zębami, a do tego z jej ubrania gdzieniegdzie zwisały strzępki wątróbki. Powinna wylądować pod prysznicem, a potem w łóżku, z kubkiem gorącej herbaty w ręku i z mruczającym Filipem owiniętym wokół kostek. A tak bardzo chciała być w centrum wydarzeń!

Próbowała jeszcze skontaktować się z aspirantem telefonicznie, ale jej komórce najwyraźniej nie przysłużyła się podróż w chłodni i nie dawała oznak życia, Kordecki zaś nie zamierzał udostępnić jej swojego telefonu. W końcu obrzucając go pod nosem epitetami, pozwoliła zapakować się do samochodu (zanim pozwolił jej wsiąść, wyścielił siedzenie wydobytymi z bagażnika foliówkami) i odwieźć do domu. Tam Kordecki przekazał ją pod opiekę zdenerwowanej babuni i stanowczo nakazał mieć na oku. Żeby się nie wymknęła przez okno albo nie wymyśliła czegoś równie szalonego.

Staruszka pokiwała głową.

– Nic się, chłopcze, nie bój. Klamkę stolkiem podeprę, a jak trzeba będzie, z siekierką pod oknem siadę.

– Z siekierką? Na rodzinę? – Zojka zaszczykała zębami. Babunia wzruszyła ramionami i obrzuciła Kordeckiego figlarnym spojrzeniem.

– Wprawę mam – obwieściła dumnie. Potem odesłała Zojkę pod prysznic i zabrała się do parzenia herbaty. Z dolnej szafki kredensu wydobyla butelkę z ciemnego szkła, odkorkowała ją, powąchała i uśmiechnęła się zadowolona.

Kordecki kiwnął głową aprobująco i ruszył do wyjścia. Jeszcze na ganku wydobyl z kieszeni smartfona i odszukał numer telefonu aspiranta Pawła Chochołka. Kiedy policjant się zgłosił, redaktor nie tracił czasu na wyjaśnienia.

– Myślę, że powinniśmy się spotkać. Nie, nie na komendzie. Proszę przyjechać do mnie. Mam coś, co może się panu przydać.

W chwili, gdy Chochołek zadzwonił do drzwi, redaktor Marcin Kordecki kończył wycierać włosy po długim, gorącym prysznicu. Chociaż osobiście nie zaliczył przejażdżki w asyście sprawionego drobiu, miał wrażenie, że jego skóra, włosy i ubranie przeniknęły smrodkiem surowego mięsa i na samą myśl czuł coś nieprzyjemnego w przełyku. Strumienie gorącej wody postawiły go na nogi. Zrobił się nawet głodny!

Powitał policjanta skinieniem głowy. Razem weszli do dużego pomieszczenia pełniącego rolę kuchni, salonu i pokoju do pracy. Chochołek rozglądał się naokoło z zaciekawieniem, a Kordecki podszedł do kuchenki, by wstawić wodę na herbatę. Gdy wrócił do gościa, ten stał przy dużym stole w centralnej części pokoju i bez słowa patrzył na rzuconego na blat Miecia. Skóra kurczaka przybrała lekko liliowy odcień. Chochołek głośno przełknął ślinę.

– Niech się pan nie fatyguje, piłem herbatę w domu – wymamrotał.

– Na pewno? – Kordecki zgarnął kuraka, podszedł z nim do stojącej w kącie aneksu kuchennego chłodziarki i bezceremonialnie wrzucił do środka. – A ja się napiję, diabelnie wymarzęm na tym parkingu, broniąc naszą wspólną znajomą przed linczem ze strony dostawcy drobiu. Było gorąco, ale niestety nie dosłownie.

– Pióra latały? – zażartował Chochołek.

– Obawiam się, że nie ten etap... – prychnął Kordecki. – Dzwoniąc do pana, nie wdawałem się w szczegóły, aspirancie,

ale... – zawahał się. – Zojka zidentyfikowała napastnika.

– Co? – Chochołek poderwał pośladki z krzesła, na które właśnie opadł. – I dopiero teraz mi pan mówi? Gdzie ona jest? Muszę z nią porozmawiać!

– Gdzie jest? – Redaktor się zaśmiał. – Mam nadzieję, że we własnym łóżku. Dochodzi do siebie po kolejnej emocjonującej przygodzie, a pani Zosia siedzi na progu z dubeltówką, to znaczy z siekierką, i pilnuje, by nikt nie zrobił jej krzywdy. Lub, co bardziej prawdopodobne, żeby nie próbowała wpakować się w jakąś kabałę i sama jej sobie nie zrobiła.

– Słusznie. – Policjant skinął głową. – Co zaszło? – zapytał rzeczowo.

Kordecki powtórzył aspirantowi to, co w samochodzie opowiedziała mu Zojka. Przy wizycie na cmentarzu i panicznej ucieczce przez wieś Chochołek nawet nie mrugnął okiem, ale kiedy doszli do momentu, w którym Zojka stanęła oko w oko z napastnikiem i, szukając ratunku, wylądowała w chłodni z drobiem, spojrzał na dziennikarza jak na wariata.

– Chce pan powiedzieć, że ten cały zakapturzony jakoś ją okrążył i kiedy zbliżyła się do sklepu, po prostu na nią czekał? Z butelką w ręku? A ona go popchnęła i zamiast pójść do tego sklepu i szukać ratunku u ludzi, wpakowała się do chłodni z drobiem?

Kordecki uśmiechnął się pod nosem i rozłożył ręce.

– Cała Zojka – skwitował. Policjant skinął głową.

– Tak, cała Zojka – powtórzył zamyślony. – I ona odjechała razem z kurczakami, a napastnik?

– Pewnie tam został i albo jej szukał, albo uciekł.

– Albo jej... A czy pan wie, co to oznacza? – Chochołek się uniósł. – Przecież ona go widziała! Stanowi dla niego zagrożenie! Co, jeśli zjawi się w domku babuni Łyczakowej i dokończy dzieła?

– Spokojnie, aspirancie. – Kordecki uśmiechnął się pod nosem. – Na pewno nie zjawi się w biały dzień. A ja zaraz

wracam do Lipówki i osobiście będę miał nasze damy na oku. Chciałem jednak wcześniej coś panu pokazać.

– Co takiego? I dlaczego pan nie mówi, kim jest napastnik, do cholery?

– Właśnie do tego zmierzam. Proszę mi dać chwilkę. Muszę odszukać.

– Co odszukać? – warknął Chochołek.

Kordecki uspokajająco uniósł rękę i pochylił się nad laptopem stojącym na biurku pod ścianą. Chochołek wyciągnął szyję i zobaczył, że dziennikarz otwiera folder z dziesiątkami barwnych zdjęć. Domyślił się, że Kordecki szuka fotografii, na której utrwalono napastnika. Myszka klikała z zawrotną prędkością, kolejne obrazy pojawiały się i znikwały, a dziennikarz skupiony na swoim zadaniu z natężeniem wpatrywał się w ekran.

– Miałem go tu, miałem... – mamrotał pod nosem.

Znudzony Chochołek podniósł się z krzesła i podjął niespieszną wędrówkę po pokoju. Obejrzał oprawione fotografie Kordeckiego na wypasionym rowerze, który z pewnością kosztował więcej niż jego samochód, rycinę zamku na Wawelu i śnieżną kulę stojącą na półce. Potem zbliżył się do pochylonego nad laptopem dziennikarza i zerknął mu przez ramię. Nagle uśmiechnął się i sięgnął po dużą fotografię przyczepioną pinezką do korkowej tablicy. Uwieczniona na niej Zojka dziwacznie zezowała. Obok stał młody człowiek z tacą, na której stał kubek. Chochołek skinął głową aprobująco. Dobry sprzęt ma Kordecki, nawet para unosząca się znad kubka była jak żywa... Kordecki podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zaczerwienił się po koniuszki uszu. Gwałtownie zerwał zdjęcie z tablicy i ukrył je w stercie papierysk zalegającej na biurku.

– Zamierzałem jej wysłać... – wymamrotał i kliknął w kolejną ikonkę ze zdjęciem. – No, to chyba to...

Chochołek uśmiechnął się wyrozumiale i pokiwał głową.

– Na pewno się ucieszy, tak ładnie pan ją uchwycił – zaszydził.
– A kim jest mężczyzna, który jej towarzyszy?

Kordecki spojrzał na niego zdumiony.

– Pan żartuje?

– Rzadko – przyznał Chochołek.

– Przecież to policjant, którego oddelegował pan na plebanie!

– Nic podobnego! – sprzeciwił się aspirant. – Pierwsze widzę.

– Nie wysłał pan człowieka na plebanie?

– Oczywiście, że wysłałem. Ma go pan na zdjęciu – Chochołek wskazał rozświetlony ekran laptopa.

Kordecki przeniósł wzrok z zadowolonego z siebie Chochołka na zdjęcie człowieka w brązowym kostiumie z filcowymi listkami i poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba. Skoro człowiek wskazany przez Zojkę jako napastnik był w rzeczywistości policjantem, kim był młody mężczyzna, którego wszyscy wzięli za człowieka Chochołka?

Kordecki zaklął głośno i rzucił się na poszukiwanie wciśniętej między papiery fotografii.

• ROZDZIAŁ PIĘTNASTY •

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie. Paweł Chochołek, który właśnie pakował do ust ciastko z bitą śmietaną, zamarł w bezruchu z dziwacznie wybałuszonymi oczami. Na widok młodszego kolegi odetchnął z ulgą i spokojnie powrócił do mielenia językiem. Jurek skinął na niego ręką. Był wyraźnie podekscytowany i Chochołkowi natychmiast udzielił się stan przybyłego policjanta.

– Przywieźli go? – zapytał.

– Phywieźli, phywieźli.

– Stawiał opór? – Chochołek spojrział na młodszego kolegę z nadzieją. Tamten pokręcił głową ze smutkiem.

– Niehtety, nie.

– A ty długo będziesz się męczył z tym katarem? – spytał życzliwie aspirant.

– Juh jeht lepiej.

Paweł Chochołek otarł usta papierową serwetką, zerknął w pęknięte lustro i przyglądał kosmyki żółtej grzywki, a następnie wstał i zapiął marynarkę. Guzik na jego brzuchu sterczał tak groteskowo, jakby tylko czekał na odpowiedni moment, by wystrzelić prosto w oko człowieka. Chochołek ruszył za kolegą w kierunku pokoju, w którym czekał na nich

Kacper Wełniak. Przyjrzał się młodszemu koledze i zaśmiał się w duchu. Każdą biedronkę znaną na parapecie Jurek zanosił na kawałek wyliniałego trawnika przed budynkiem komendy. Jakim cudem Zojka wzięła tę pocziwinę za żadnego krwi mordercę? Zawinił zbieg okoliczności. Uciekająca przed Wełniakiem Zojka natknęła się na wychodzącego z delikatesów Jurka. Pech chciał, że młody policjant miał na sobie podobną bluzę z kapturem i trzymał opróżnioną butelkę po coli. Do tego chcąc się przywitać, wyciągnął do Tuszyńskiej rękę. Dziennikarka nie czekała na rozwój sytuacji, powaliła go na ziemię i uciekła. Wołał za nią, a kiedy w końcu pozbierał się na nogi, nawet za nią pobiegł, ale zniknęła.

Jurek był niegroźny, za to ten...

Chochołek spojrział na siedzącego za stołem młodego mężczyznę z irytacją. Odpowiedziało mu rozzłoszczone spojrzenie ciemnych oczu i lekceważące prychnięcie. Kacper Wełniak ostentacyjnie odwrócił wzrok od siadających za stołem policjantów. Oho, gramy twardziela, pomyślał Chochołek.

– Zachciało nam się napadów na młode, ładne dziewczyny, hę? – zaczął.

Kacper zaśmiał się cicho i pokręcił głową. Chochołek pokiwał głową na znak, że właśnie takiej reakcji się spodziewał, po czym zacmokał z udawanym współczuciem:

– Brakowało normalnych podniet.

– Chyba wam – prychnął przesłuchiwany. Jego policzki zabarwiły się purpurą. Chochołek spojrział na siedzącego obok Jurka i zupełnie lekceważąc wściekłego Kacpra, zauważył:

– Pewnie dostał kosza raz i drugi. Nie umiał się pogodzić z odmową i...

– Gówna prawda! – uniósł się Kacper. Aspirant Chochołek spojrział na niego z mieszaniną złości i rozbawienia.

– Miarkuj słownictwo, młody człowieku! Nie jesteśmy na scenie, a ty nie grasz jednego z czterdziestu rozbójników. Mów mi tu, jak na spowiedzi, czemuś próbował potraćić Zojkę Tuszyńską?

– Nikogo nie potrąciłem.

– Nie potrąciłeś – przyznał aspirant. – Redaktor ściągnął ją z ulicy w ostatniej chwili. A jak już ściągnął, dobrze się uciekającemu autu przyjrzał. Wiesz, co powiedział, kiedy pokazaliśmy mu tył twojego samochodu? – Chochołek zdecydował się użyć małego blefu. W rzeczywistości redaktor był tak niezdecydowany, że Chochołek miał ochotę trzasnąć go w głowę wydobytym z chłodziarki kurczakiem. To małe niedopowiedzenie wystarczyło jednak, by w Wełniaku zasiać ziarnko niepewności. Mrugnął nieznacznie oczami. Chochołek kuł żelazo, póki było gorące. – Wykazałeś się niemałym sprytem, maziając błotem po tablicach, ale są inne szczegóły, na podstawie których możemy zidentyfikować pojazd.

Kacper potrząsnął głową i ponownie utkwiał wzrok wścianie.

– Pierwsza próba się nie powiodła, więc spróbowałeś znowu – kontynuował Chochołek. – Wytarzałeś jej sukienkę w jakimś detergencie. To było nawet pomysłowe. Jak żyję, o takim sposobie nie słyszałem. – Pokiwał głową. – Chciałeś, by się zatrula? A może tylko podrapała do krwi? No mów, głupcze! Nie wiesz, że chęć współpracy będzie w twoim przypadku okolicznością łagodzącą?

Kacper Wełniak spojrział policjantowi prosto w oczy i zaśmiał się sztucznie.

– To pan jest głupcem!

Chochołek poczuł, jak robi mu się gorąco. Szybkim szarpnięciem odpiął guzik marynarki i zaczerpnął solidny haust powietrza. Policzył w myśli do dziesięciu, odczekał, aż żyłka pod okiem przestanie drgać, i spojrział na Kacpra z życzliwym uśmiechem.

– A żebyś wiedział, że jestem. Bo takiego gagatka jak ty powinniśmy byli przejrzeć już wtedy, kiedy zjawił się na plebanii. A my trzykrotnie naraziliśmy tę biedną dziewczynę na niebezpieczeństwo, żeby ciebie złapać. Najwyraźniej grunt ci się palił pod nogami, żeś się zdecydował na napad w biały dzień. Sprytny byłeś, ale dzisiaj szczęście cię opuściło, chłopcze!

– Naprawdę? – Twarz przesłuchiwanego wykrzywiła się w ironicznym grymasie.

– Naprawdę! Nie przyszło ci na myśl, szczęściarzu – Chochołek zaakcentował to słowo ze złośliwym uśmieszkiem – że na cmentarzu działa monitoring? Kamera jest dyskretnie ukryta, bo już nie raz zarobiła kamieniem, ale działa, jak trzeba. Na nasze – podkreślił Chochołek z szerokim uśmiechem – szczęście jest skierowana dokładnie na budynek gospodarczy i rosnące obok drzewa. Czy to ci coś mówi?

Zapytany milczał, więc Chochołek splótł dłonie i pochylił się w jego stronę, opierając ciężar ciała na nieco trzeszczącym stole. Widział to kiedyś na filmie i zapamiętał, bo z boku wyglądało bardzo efektywnie.

– Posłuchaj, chłopcze. Prokurator przygotowuje już nakaz przeszukania twojego mieszkania. Co tam znajdziemy? Na wieszaku czarną bluzę z kapturem? W koszu na odpadki parę rękawiczek z resztką proszku do prania? W garażu samochód z przyschniętym błotem na tablicach rejestracyjnych? Przestań się z nami bawić w kotka i myszkę, oszczędź nam mozolnej roboty, bo weekend się zbliża i mamy ciekawsze zajęcia niż ślęczenie nad tobą. Zaczynaj mówić! Co tobą kierowało? Co cię popchnęło do napadu na niewi...

Kacper Wełniak gwałtownie pochylił się w kierunku aspiranta, aż ten poderwał łokcie ze stołu i wyprostował się sztywno na swoim stołku.

– Niewinną? – syknął. – Zojka Tuszyńska dostała dokładnie to, na co zasłużyła! A nawet za mało! Szkoda, że dzisiaj nie udało mi się jej dorwać!

W oczach młodego mężczyzny było tyle nienawiści, że stropiony Chochołek przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa. Z pomocą przyszedł mu milczący do tej pory Jurek, który pociągnął nosem i zapytał spokojnie.

– A Pathycja?

– Właśnie! – Chochołek odzyskał rezon i spojrzał z wdzięcznością na kolegę. Potem utkwiał skupione spojrzenie

w przesłuchiwanym. – Patrycja też sobie zasłużyła?

– Patrycja? – zdumiał się Kacper. – A co ona ma z tym wspólnego?

– Nie rób mi tu miny niewiniątka, chłopcze! Napadłeś najpierw na Patrycję, potem na przejmującą po niej rolę Zojkę i chcę wiedzieć, dlaczego tak się uparłeś na aktorki od Jedynaka!

Kacper gwałtownie potrząsnął głową.

– Nigdy nie skrzywdziłbym Patrycji. Przecież to moja siostra!

W czasie, kiedy aspirant Paweł Chochołek wyciągał z Kacpra Wełniaka szczegółowe informacje dotyczące jego powiązań rodzinnych z Patrycją Oleś, poirytowana Zojka usiłowała zdusić w sobie chęć dźgnięcia widelcem w prawe oko Marcina Kordeckiego. Pokusa była o tyle silna, że zarówno widelec, jak i oko dziennikarza znajdowały się dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Redaktor zjawił się w domku na wzgórzu późnym popołudniem i ku uciesze babuni Łyczakowej oświadczył, że osobiście dopilnuje, by Zojka i napastnik w czarnej bluzie nie stanęli już tego dnia oko w oko. Młoda dziennikarka, która właśnie pałaszowała ugotowany przez babunię rozgrzewający rosół z makaronem, skrzyżowała ramiona na piersi w obronnym geście.

– Już się tak o mnie nie musisz martwić – burknęła.

– A kto powiedział, że to o ciebie się martwię? – Kordecki sprawnie odbił piłeczkę.

Zojka prychnęła ze złością i wróciła do chlupania rosółu. Zerknęła przy tym na dziennikarza wrogo, marszcząc gniewnie brwi. Była wściekła, że zamiast zabrać ją na spotkanie z Chochołkiem, najzwyczajniej w świecie odstawił ją do domu, a jakby tego było mało, sam również się tu zjawił i obserwował, jak ona pochłania obiad. Na dodatek ubrana w tę śmieszna piżamę ze Snoopym!

Oliwy do ognia dołała babunia, która ze znaczącym uśmiechem zaproponowała, by Zojka poczęstowała gorącym rosółkiem również redaktora. Niech się biedak rozgrzeje, bo słupek na termometrze leci w dół i kto wie, jaki mróz wyskoczy na noc.

Zojka wyszczerzyła zęby i oświadczyła, że redaktor wcale nie potrzebuje ich rosółku, ponieważ z pewnością ugotuje sobie własny. Z Miecia.

Kordecki nie pozostał jej dłużny. Z szerokim uśmiechem zanurkował ręką do trzymanego na kolanach plecaka, po czym położył przed osłupiałą Zojką mocno sfatygowanego kurczaka i oznajmił, że chętnie rosółku skosztuje, o ile Zojka ugotuje go osobiście. Tuszyńska pozieleniała na twarzy, zerwała się zza stołu ze zduszonym okrzykiem i spojrzała na dziennikarza z wściekłością. Awantura wisiała w powietrzu!

Napięcie rozładował Burek, który, nie zważając na latające w powietrzu iskry, oparł przednie łapy o blat stołu, pewnie chwycił nogę Miecia między zęby i obrzuciwszy zaskoczonych ludzi przepraszającym spojrzeniem, czym prędzej umknął ze swoją zdobyczą do sieni. Babunia Łyczakowa parsknęła śmiechem.

– I po ptoku! – podsumowała i znów zaniosła się chichotem. A potem spoglądając groźnie spod zmarszczonych brwi, nakazała Zojce poczęstować redaktora pierogami. Bo na rosół z pewnością ochoty już nie miał...

Zojka potulnie wypełniła polecenie starszej pani i postawiła przed Kordeckim talerz apetycznie przyrumienionych na masełku klusek. Kiedy na powrót zajęła miejsce za stołem, stwierdziła, że babunia narzuciła na głowę ciepłą chustkę i sięga po płaszcz, najwyraźniej zbierając się do wyjścia.

– Dokąd się wybierasz, babuniu? – zapytała zdumiona.

– Do Leoški. Dotrzymam jej towarzystwa przy Kronice. – Babunia uśmiechnęła się chytrze.

Zojka natychmiast pojęła, co chodzi po głowie starszej pani, i zaczęła ją przekonywać, że wyjście z domu przy takiej pogodzie

i w takich okolicznościach jest idiotycznym pomysłem. Babunia tylko machnęła ręką.

– Nic mi nie będzie. Kapotę mam ciepłą, a chyba nie myślisz, że ktoś zaczai się na mnie w ciemnościach? Żaden psychopata nie może być aż tak głupi! – oświadczyła i zniknęła w sieni.

Zojka spojrzała na zamykające się drzwi, przeniosła wzrok na pałaszującego pierogi Kordeckiego, a potem dyskretnie odsunęła widelec leżący przy swoim nakryciu.

Na wszelki wypadek.

– Nie musisz się bać o babunię. – Kordecki podniósł się zza stołu, by odnieść brudny talerz do zlewu. – Aspirant zatrzymał już Kacpra.

– To, że go zatrzymał, nie znaczy, że nie wypuści – burknęła Zojka.

Kordecki uśmiechnął się półgębkiem.

– Tego to się chyba nie spodziewałaś, co?

– Chyba nie – przyznała niechętnie Tuszyńska.

– I pomyśleć, że razem graliście. Byliście dość blisko... na scenie, oczywiście – ciągnął zadowolony z siebie dziennikarz. Zojka łypnęła na niego groźnie, po czym szybko zgarnęła widelec leżący na stole i rzuciła nim do zlewu.

– Nie da się ukryć – wycedziła. Kordecki zamrugnął powiekami.

– No, ale nie rób sobie wymówek. Któż by pomyślał, że przystojny książę okaże się maniakalnym wielbicielem, co?

– No. – Zojka zazgrzytała zębami. – A jeśli już tak gawędzimy o wielbicielach, to co słyhać u twojej ulubionej dziennikarki? – spytała słodziutko. – Zrobiła sobie jakieś nowe tatuaże? Może sraczkę... sroczkę, znaczy?

– Ulubionej dziennikarki? – zawahał się Kordecki. – Z tego, co wiem...

– No, raczej wiesz. – Zojka uśmiechnęła się promiennie. – Jesteście chyba dość blisko, co? W pracy, oczywiście.

– Nie bardzo. – Kordecki potrząsnął głową.

– Czyli tylko mi się wydawało, że masz od niej osiem nieodebranych połączeń? – Rozbawiona wskazała smartfon redaktora leżący na stole. Dziennikarz porwał aparat i szybko wcisnął go do kieszeni bluzy. Po chwili dobiegło z niej charakterystyczne buczenie. Policzki Kordeckiego pokrył lekki rumieniec.

– No, bo... – zaczął, ale przerwał mu odgłos stukania do drzwi. Spojrzeli na siebie zdumieni. Zojka przełknęła głośno ślinę, a Kordecki podniósł się z krzesła i spojrzał na nią z góry. – Zostań tutaj. – Poleciał stanowczo i wyszedł do sieni. Zanim uchylił drzwi, złapał stojącą w kącie miotłę z długim trzonkiem.

Przed drzwiami stała Zosia.

– Szukam Zojki. – Oznajmiła. Kordecki westchnął w duchu. Kuzynka Zojki wyglądała na silnie wzburzoną. Jej głos drżał, a oczy pałały gniewem. Z pewnością nie wpadła do domku na wzgórzu na wieczorną herbatkę. Dziennikarz przypomniał sobie, że parę miesięcy wcześniej przyszła panna młoda próbowała zatuszować zaginięcie babuni Łyczakowej, nie zważając na to, że tym sposobem może narazić starszą panią na niebezpieczeństwo. Liczyło się dla niej tylko to, aby uniknąć skandalu, który mógłby położyć się cieniem na jej ślubnych przygotowaniach. Czy teraz zjawiała się, by czynić Zojce wymówki, że ta kolejny raz wpakowała się w kryminalną aferę?

– Wejdz do środka. – Otworzył szerzej drzwi.

– Nie trzeba. – Potrząsnęła głową. – Po prostu ją zawołaj.

Kordecki zamierzał upierać się przy swoim i powiedzieć Zosi, że jeśli krępuje się jego towarzystwem, wyjdzie na krótką przechadzkę do ogrodu i pozwoli im w spokoju porozmawiać, ale nie zdążył. W drzwiach pojawiła się Zojka i kiwnęła głową w kierunku sieni.

– Idź i pozbieraj do kupy Mieczysława. Burek najwyraźniej się znudził...

– Ale...

– No idź – powiedziała. Narzuciła na siebie sweter i wyszła na ganek. Kordecki przez moment stał, wgapiając się w wytartą ze starości kłamkę, po czym wzruszył ramionami i ruszył na poszukiwanie szufelki.

Zosia nie traciła czasu. Ledwie Zojka zdążyła zamknąć za sobą drzwi i zaciągnąć poły swetra, który zarzuciła na siebie w pośpiechu, kuzynka wylała z siebie potok oskarżeń i żalów. Młoda dziennikarka potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Zaraz, zaraz, bo czegoś tu nie rozumiem... masz do mnie pretensje, że babunia nie zgłosiła się na przymiarke garsonki, którą dla niej zamówiłaś u Janinki? Przecież znasz babcię i wiesz, że jak coś postanowi, to amen w pacierzu i proboszcz nie pomoże!

– Otóż to, dobrze znam babunię! – Zosia wyduła usta. – I dlatego jestem załamana...

– Załamana? – Zojka nie kryła zdziwienia. – Nie rozumiem, dlaczego? Nawet jeśli babunia nie zgłosi się na przymiarke i Janinka nie skończy szycia przed weselem, świat się nie zawali, a garsonka nie przepadnie. Będzie miała na wiosnę.

Zosia spojrzała na kuzynkę z niedowierzaniem.

– Jak to: świat się nie zawali?! – wycodziła.

– No... – Zojka wzruszyła ramionami – ... przecież może założyć własną sukienkę, co nie?

– Własną sukienkę?! Oszalałaś?! – Zosia zamachała nerwowo rękoma. Zojka pomyślała, że kuzynka wygląda, jakby miała dostać jakiegoś ataku, i poczuła lekki niepokój. Tymczasem przyszła panna młoda krążyła po ganku, wydeptując chodniczek w świeżej warstwie śniegu i wylamując nerwowo palce. – Ja chyba oszaleję! – Biadoliła. Nagle spojrzała na Zojkę z rozpaczą. – Ty masz nierówno pod sufitem, wiesz? Którą sukienkę ma według ciebie założyć? Tę jeansową z rzemykami? Czy cygańską w pawie pióra? A może koszulę nocną z koronką?

Co ty, Zojka, babci nie znasz? Jeśli pozwolę jej wybrać sukienkę na wesele, narobi mi wstydu na siedem wsi!

– Że co? – Zojka wytrzeszczyła oczy. – O czym ty mówisz?

– Jak to: o czym?! Skup się! – złościła się bliska łez Zosia. – Czy ty niczego nie rozumiesz?

Przyszła panna młoda niepotrzebnie się jednak martwiła: do Zojki w końcu dotarło, jakie pobudki towarzyszyły jej kuzynce, gdy postanowiła zamówić dla babuni Łyczakowej elegancką garsonkę na wesele. Zosia wcale nie chciała zrekompensować staruszce swojego egoistycznego zachowania sprzed kilku miesięcy, ale zyskać kontrolę nad tym, co ta założy, gdy nadejdzie Wielki Dzień! Bała się, że ekscentryczna starsza pani narobi jej wstydu! Przypomniała sobie wieczór, gdy zastała zapłakaną babunię nad książeczką do nabożeństwa i fotografią wnuków...

Z emocji aż zrobiło się jej gorąco!

Obrzuciła zdenerwowaną Zosię lodowatym spojrzeniem.

– Przestań tak krążyć, bo się pod pachami spocisz i jeszcze cię zawieje! – wycedziła. – A o kreację babuni się nie martw. Kupiła bardzo elegancką sukienkę. Twoją bije na głowę! – zakpiła.

Zosia wsparła się na balustradzie otaczającej ganek i obejrzała się na Zojkę przez ramię. Nie wyglądała na przekonaną.

– Sukienkę? – zapytała nieufnie. – W jakim kolorze?

– Śliwkowym – palnęła bez namysłu Zojka.

– W takim purpurowym czy bardziej jak bakłażan?

– Śliwkowy to śliwkowy. – Dziennikarka wzruszyła ramionami.

– Nie wiesz, jak śliwka wygląda?

– Pokaż! – zażądała kuzynka. Zojka parsknęła śmiechem.

– Nic z tego! Babunia jest dziś w dość wojowniczym nastroju i nie zamierzam wchodzić jej w drogę! A tym bardziej w szafę! Uwierz mi na słowo, nie przyniesie ci wstydu!

– Jesteś pewna? – jęknęła Zosia. – Bo rozumiesz, rodzina

Mikołaja... jego matka i babka...

– No rozumiem, rozumiem... – Zojka pokiwała głową entuzjastycznie, myśląc sobie, że jeśli ktoś powinien się wstydzić, to sama Zosia, która uparcie udawała ślepotę i pakowała się w związek zbudowany na kłamstwie i zdradzie. Na koniec poklepała kuzynkę po ramieniu i zapewniła, że wesele na pewno okaże się cudowne, a ona sama będzie najpiękniejszą panną młodą w gminie, powiecie, a może nawet i w województwie. Mile połechtana tymi słowami Zosia w końcu odetchnęła z ulgą, a nawet uśmiechnęła się z wdzięcznością. Uściskała kuzynkę, wymamrotała coś o próbnym makijażu i w podskokach ruszyła do domu. Zojka stała na ganku, odprowadzając przyszłą pannę młodą wzrokiem, a kiedy ta zniknęła w ciemnościach, wróciła do przytulnej, ciepłej kuchni.

Kordecki pochylał się nad ekranem smartfona, ale kiedy stanęła w progu, podniósł wzrok i posłał jej pytające spojrzenie.

– Wszystko w porządku?

– Taaaak... – odparła.

– Jeśli chcesz pogadać...

Zojka wyrwała się z zamyślenia i machnęła ręką lekceważąco.

– Tu nie ma o czym gadać, tu trzeba działać. Podaj mi laptopa i zamknij buzię.

• ROZDZIAŁ SZESNASTY •

Po tygodniach castingów, przygotowań, prób i niesłabnących wrzasków Karoliny, nadszedł w końcu dzień premiery *Calineczki*.

Pierwsze i najważniejsze przedstawienie miało się odbyć w niedzielne popołudnie w budynku lipowieckiej plebanii. Prace przy zaadaptowaniu sali, w której odbywały się próby, trwały całą noc poprzedzającą wielki dzień. Zdemontowano prowizoryczny podest i zainstalowano porządną scenę, z najprawdziwszą kurtyną! Trzeszczące, rozchybotane stołki wyniesiono do przybudówki, a na ich miejsce rozstawiono dziesiątki eleganckich krzeseł przywiezionych z krakowskiej wypożyczalni. Pod ścianą znalazło się nawet miejsce na długi bufet, na którym wynajęta firma cateringowa miała serwować maleńkie kanapeczki, nadziewane pomidorki i szampana. Na jeden palec, bo na tyle zgodził się zdezorientowany ksiądz Seweryn.

Zapowiada się impreza z pompą – mówiła Zojka.

Żeby nas tylko nie podtopiło – kwitowała z krzywą miną babunia.

Odtwórczyni głównej roli od rana nie mogła znaleźć sobie miejsca. Krażyła od pokoju do pokoju, brała z półki książkę, by po chwili odłożyć ją na umywalkę lub parapet, grzebała

pogrzebaczem pod blachą pieca, wzniecając snop iskier, aż babunia łapała za ścierkę i przeganiała ją z groźnie zmarszczonymi brwiami, szła z Burkiem na podwórko, aby zaraz wrócić i ponownie podjąć wędrówkę z pokoju do pokoju... i tak w kółko, aż starsza pani wznosiła oczy do sufitu i wzywała na pomoc świętą Zofię.

– Snujesz się jak smród po gaciach – parsknęła w końcu.

– Chyba dopadła mnie trema – jęknęła Zojka, spoglądając na kuchenny zegar.

– Dobrze, że tylko trema! – Starsza pani zademonstrowała biel sztucznej szczęki w szerokim uśmiechu. – Ale wiesz, gdzie zachomikowałam zapasy papieru toaletowego?

Ta uwaga rozładowała napięcie i kiedy o piętnastej z minutami w domku na wzgórzu zjawili się Kordecki i Chochołek z ukochaną Klarą, Zojka była już prawie spokojna. Dziennikarka z miejsca zapalała sympatią do wybranki aspiranta, uśmiechniętej, choć bardzo cichej i małomównej trzydziestoparolatki.

Wspólnie zdecydowano, że szesnasta to odpowiednia pora, by wyruszyć na plebanię. Widzowie znajdą dobre miejsca, Zojka bez pośpiechu przygotowuje się do występu, a Kordecki zajmie strategiczną pozycję przy drzwiach, by błyskiem flesza witać przybywających na przedstawienie sponsorów. Zadowolona z poczynionych ustaleń babunia zaproponowała gościom herbatę z kropelką i postawiła na stole drożdżowe ciasto z kruszonką. Na widok słodkości oczy aspiranta rozbliły.

– Moje ulubione! – zawołał rozmarzony i natychmiast dostał lekkiego kuksańca w bok.

Gdy Klara wyszła do łazienki, babunia spojrzała na policjanta ze znaczącym uśmieszkiem.

– A co władza dzisiaj taki poruszony, jakby na diamentach siedział? – zagadnęła.

Chochołek, który właśnie wykorzystywał nieobecność damy swego serca i upychał do ust czwarty kawałek ciasta, zamarł w bezruchu z komicznie wypchanymi policzkami. Starsza pani

usłudźnie dołała mu do herbaty trzy kropelki i podsunęła szklankę w koszyczku. Zojka i Kordecki wymienili rozbawione spojrzenia. Chochołek przeżuł ciasto, popił herbatą, otarł rękawem zwilgotniałą grzywkę i skinał głową.

– Przed wzrokiem pani Zofii nic się nie ukryje... – mruknął, sięgając do kieszeni. Po chwili zademonstrował zebranym za stołem maleńkie ozdobne pudełeczko i tkwiący w zagłębieniu aksamitnej wyściółki uroczy pierścionek.

Zojka westchnęła, babunia gwizdnęła przez zęby, a Kordecki uśmiechnął się z wyższością stosowną dla mężczyzny, którego takie pierdółki w ogóle nie interesują.

Tuszyńska spojrzała na Chochołka badawczo. Nie potrafiła stwierdzić, czy aspirant jest bardziej dumny, czy przerażony, ale bardziej skłaniała się ku tej drugiej wersji. Na pewno był diabelsko zdenerwowany, bo kiedy otwierał i zamykał pudełeczko, jego palce drżały.

– I to dziś? Wielki dzień? – zapytała.

– A nie wiem jeszcze... – nerwowo odparł Chochołek i sięgnął po kolejny kawałek ciasta. Dziennikarka popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Nie był pewien, czy zamierza się oświadczyć, ale nosił przy sobie pudełko z pierścionkiem jak jakiś zegarek kieszonkowy?

W tej samej chwili z łazienki dobiegł szum spuszczonej wody. Aspirant zamarł z ciastem uniesionym do ust i na oślep wyciągnął rękę po pudełko z pierścionkiem, które położył obok szklanki z herbatą. Tracił przy tym naczynie i zaklął głośno, gdy chlusnęła na niego ciepła herbata. Zrobiło się straszne zamieszanie. Babunia rzuciła się ze ścierką na spodnie policjanta, Zojka tamowała potop na stole i odsuwała talerz z ciastem, a Kordecki ratował swój drogocenny sprzęt fotograficzny, choć jak skwitowała dziennikarka: dwa metry od stołu nic mu nie groziło.

Kiedy Klara stanęła w progu kuchni, sytuacja była już opanowana. Chochołkowi zabrano ciasto, herbatę i spodnie, siedział więc z nieszczęśliwą miną za stołem, owinięty różowym

ręcznikiem z wizerunkiem czerwonowłosej syreny i szczerzącej zęby rybki. Babunia chichotała pod nosem, czyszcząc nad zlewem jego garderobę, a Zojka sprzątała ze stołu. Bibliotekarka pokiwała głową nad niezręcznością aspiranta, poczochnęła mu żółtą grzywkę i cmoknęła w czoło. Kordecki spojrzał znacząco na kuchenny zegar.

– Powinniśmy już wyjść, jeśli nie chcemy się spóźnić.

Towarzystwo ruszyło do sieni. Zojka poczuła, że ponownie dotyka jej trema. Kręciła się jeszcze chwilę po kuchni, sprzątajac ze stołu i odpędzając płaczącego się pod nogami Burka. W końcu zlitowała się i wrzuciła do psiej miski kawałek rozmoczonego herbata ciasta. Nalała sobie szklankę zimnej wody i właśnie stała przy zlewie, popijając ją małymi łykami, kiedy do kuchni wrócił aspirant. Dużą wilgotną plamę na udzie udało mu się przysłonić płaszczem i był z siebie bardzo zadowolony. Zojka sięgnęła do kieszeni i podała mu pudełko, które tuż przed powrotem Klary dyskretnie zgarnęła ze stołu.

Policjant uśmiechnął się szeroko, biorąc je do ręki, i uniósł palcem wieczko.

Zojka poczuła, jak wypita woda podchodzi jej do gardła. Wgłębienie w wyściółce było puste!

– Gdzie jest pierścionek? – wydukała.

Chochołek uśmiechnął się półgębkiem.

– Niech się pani nie martwi, pani Zojko! Ukryłem go w ostatniej chwili. Dobrze go ukryłem!

– Gdzie? – Tuszyńska zmarszczyła brwi.

– Wymyśliłem tak sprytną kryjówkę – tłumaczył podekscytowany policjant – że Klara nie miała najmniejszych szans, by go zobaczyć!

Zojka rozejrzała się niepewnie po kuchni.

– No dobrze, ale gdzie pan go schował?

– Wcisnąłem go w ciasto.

– C-co? Jak to?

– No, normalnie. Palcem. – Aspirant wykonał gest imitujący ruch wciskania pierścionka w ciasto. Zojka popatrzyła na niego jak na wariata i odwróciła się w stronę kuchennego blatu, na który odstawiono talerz z resztką drożdżowego placka.

– W który kawałek? – zapytała.

Chochołek podrapał się po czole.

– Nie wiem – przyznał strapiony. – Wszystkie wyglądają tak samo. Ale... – ucieszył się nagle – tamten miał dużo kruszonki!

Zojka prychnęła, przysunęła sobie talerz i dokładnie obejrzała kawałki ciasta. Przecież dziura, w którą zdesperowany policjant wcisnął pierścionek dla Klary, musiała być widoczna gołym okiem! Żadna porcja nie została jednak naruszona. Z sieni dobiegały ponagląjące nawoływania, aspirant nerwowo dreptał w miejscu, a Zojka rozgniała kolejne kawałki drożdżówki, desperacko poszukując złotego krążka. Nagle twarz Chochołka rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Tutaj go nie ma! Tamten kawałek leżał na talerzyku i był nasiąknięty herbata!

– Herbata? – Oczy Zojki zrobiły się wielkie i okrągłe. – Ciasto zalane herbata? – powtórzyła niepewnie.

– Tak! Dlatego tak łatwo było wcisnąć! – cieszył się aspirant.

Zojka jęknęła, okręciła się na pięcie i spojrzała na psią miskę, teraz wylizaną do czysta. O tym, że przed momentem pochłaniano tu drożdżowe ciasto, świadczył tylko jeden żółty okruszek przyklejony do dna i bury, kudłaty ogon z zadowoleniem stukający o deski kuchennej podłogi.

– Sponsorzy nie zawiedli! Mam nadzieję, że solidnie potrzęsą kieszenia i Jedynek zbierze dziś sporo funduszy na budowę domu samotnej matki! – oznajmiła Zojka, wychylając się zza kurtyny. Stojący obok niej redaktor cicho parsknął śmiechem.

– I tak nie pobiją aspiranta! – zauważył. Zojka łupnęła go

łokciem w bok, aż jęknęło. Nieładnie chichrać się z czyjegoś nieszczęścia! Nawet jeśli było tak komiczne, że usta same wykrzywiały się do śmiechu, a w gardle zbierał chichot.

Odkrycie, co stało się z kawałkiem ciasta, w którym Chochołek ukrył pierścionek dla Klary, początkowo przyprawiło Zojkę o wybuch hysterii. Była gotowa zrezygnować z udziału w przedstawieniu, zapakować Burka na tylne siedzenie kanarkowo żółtego Forda Ka i jechać prosto do gabinetu weterynaryjnego na RTG, USG i natychmiastową operację wydobycia połkniętej biżuterii. W tym czasie aspirant krążył po kuchni, ciągnął się za grzywkę i niewyraźnie mamrotał coś o ogołoconym rachunku bankowym. Dopiero interwencja Kordeckiego, który zjawił się w kuchni, wysłuchał opowieści o cieście z niespodzianką pochłoniętym przez psa i zadzwonił do weterynarza z pytaniem, co robić, uratowała premierę *Calineczki*. Zojka została poinformowana, jakie symptomy u Burka powinny ją zaniepokoić i skłonić do niezwłocznej wizyty w przychodni weterynaryjnej. Kundel mógł wymiotować, stracić apetyt, stać się osowiały, choć według przewidywań specjalisty amator ciasta drożdżowego z wkładką najzwyczajniej w świecie wkładkę wydali. Zojka zapowiedziała nieszczęśliwemu policjantowi, że ten musi osobiście sprawdzać „niespodzianki” Burka...

- Nie jestem pewna, czy chciałabym dostać ten pierścionek...
- mruknęła teraz pod nosem. Kordecki zerknął na zegarek.
- Istnieje dużo prawdopodobieństwo, że Klara nigdy nie wyczuje, jak okrężną drogą dotarła do niej ta błyskotka – stwierdził dość dwuznacznie. – A teraz pora wejść na scenę. Jesteś gotowa?

Tuszyńska wzruszyła ramionami.

- Cóż, przez aferę pierścionkową przynajmniej zapomniałam o tremie. Bardziej gotowa już nie będę.

Kordecki zaśmiał się cicho i wskazał Karolinę zbliżającą się do sceny. Pani reżyser miała na sobie elegancką sukienkę i imponujący komplet biżuterii. Ciekawe, czy oryginalny? – zastanawiała się w duchu Zojka. Nagle dopadło ją nieprzyjemne

przecucie, że o czymś zapomniała, nie potrafiła jednak dojść do tego, o co chodzi, więc wzruszyła ramionami i ponownie skupiła się na widowni.

– Wychodzi na to, że zaczynamy... – Redaktor obejrzał się na Zojkę i posłał jej krzepiący uśmiech. – Wracam na swoje miejsce, inaczej Jedynak zacznie mnie szukać. Powodzenia!

– Idź. – Zojka skinęła głową. – Szołmastołon, jak mówi Guzikowa!

Karolina skłoniła się przed zgromadzoną publicznością. Powitała ją burza oklasków.

– Szanowni państwo, z przyjemnością inauguruje działalność amatorskiego teatru w Lipówce. Nasi artyści przygotowali adaptację jednej z najpiękniejszych baśni Jana Christiana Andersena. Zapraszam do obejrzenia *Calineczki*...

Zojka spojrzała na zajmującą miejsce na scenie Anastazję.

Rozpoczęło się przedstawienie!

Obsada *Calineczki* podbiła serca publiczności, a kolejne sceny wzbudzały coraz gorętszy aplauz. Czy to Anastazja, która ze stresu załapała się łzami i wypadła niezwykle przekonująco jako matka błagająca o wymarzone dziecko, czy Guzikowa człapiąca niezgrabnie w za dużym pluszowym kombinezonie – każdy spośród aktorów otrzymywał owację na stojąco.

Zojka zupełnie zapomniała już o tremie i nieoczekiwanie poczuła, że jest w swoim żywiole. Dwoiła się i troiła na scenie, ale od czasu do czasu zerkała do trzeciego rzędu, gdzie rozsiadła się babunia razem z nerwowo kręcącym się Chochołkiem i delikatnie uśmiechniętą Klarą. Rząd dalej dostrzegła rodziców: Krystyna wyglądała na poruszoną i dumną z córki i Zojka dyskretnie do niej pomachała. Gdzieś w tylnych rzędach mignęła jej głowa Zosi. Kordecki zajął miejsce pod ścianą, skąd mógł fotografować i scenę, i widownię. Kiedy na niego zerknęła, uniósł znacząco kciuk, a ona widząc ten prosty

gest aprobaty, bardzo się ucieszyła.

Nie wiedzieć kiedy, zbliżyli się do finału przedstawienia. Przed nimi była już tylko ostatnia scena i poprzedzający ją występ kościelnego chóru, przy którym upierał się rozmiłowany w muzyce ksiądz Seweryn.

Zojka zaszyła się w kącie, by na towarzyszącą jej od początku spektaklu skromną sukienczynę zarzucić kreację, która miała ją przemienić w królową elfów. Karolina podeszła, by jej pomóc. Wyciągnęła rękę do suwaka i zamarła.

– Gdzie biżuteria?!

Zojka klepnęła się w czoło. A więc o to chodziło!

– Na śmierć o niej zapomniałam! – jęknęła. – Chyba została w garderobie...

– Pójdę po nią!

– Nie, ja pójdę! Ty musisz przecież zapowiedzieć chór! – Zojka szybko zrzuciła wierzchnią sukienkę. Karolina skinęła głową.

– Dobrze, ale skocz na jednej nodze!

– Zaraz będę z powrotem! – obiecała Tuszyńska.

Przemykając pod ścianą, dotarła do wyjścia. W progu jeszcze się obróciła i spojrzała na scenę, na której Karolina rozpływała się właśnie w zachwytach nad muzyczną oprawą przedstawienia przygotowaną przez parafialny chór. Napotkawszy pytający wzrok Kordeckiego, Zojka uśmiechnęła się uspokajająco i czmychnęła na korytarz. Redaktor z pewnością pomyśli, że ona wymknęła się do toalety. Co w gruncie rzeczy wcale nie jest głupim pomysłem, zważywszy na to, że po zakończeniu spektaklu zacznie się ten cały kołowrotek z gratulacjami dla aktorów i podziękowaniami dla sponsorów, więc o wyskoczeniu na szybkie siku będzie mogła zapomnieć, pomyślała. Trzeba tylko skoczyć do garderoby po naszyjnik i szybko wrócić na dół!

Przy wejściu do sali tłoczyli się ludzie, dla których zabrakło krzeseł. Zojka precyzyjnie się między nimi, rozdając na prawo i lewo uprzejme uśmiechy oraz odbierając gratulacje w związku z odegraną rolą, po czym ruszyła ku schodom. Kładąc dłoń na

balustradzie, zawahała się nieznacznie i popatrzyła w górę. Część schodów tonęła w półmroku rozpraszonym jedynie światłem rzucanym przez słabą żarówkę. Dziewczyna poczuła się niepewnie, ale szybko przywołała się do porządku i podjęła wspinaczkę po schodach.

Dlaczego żołądek zaciska się jej w taki dziwny supeł? Przecież Kacper został zatrzymany, nie mógł już jej zagrozić!

Przyznał, że atakował Zojkę, by dać jej nauczkę. Uważał, że aby zdobyć rolę Calineczki, napadła na Patrysię. Chciał się zemścić.

Podobno jeszcze na komendzie wykrzykiwał do Chochołka, że to ona powinna tam siedzieć, ponieważ próbowała zabić jego siostrę!

Zojka przyjęła informacje przekazane przez aspiranta z niedowierzaniem. Jak ktoś mógł pomyśleć, że to ona napadła na Patrycję, skoro miała alibi? Żelazne albo, jak kto woli, ziemniaczane? Policjant wzruszył tylko ramionami. Do wściekłego Kacpra nie docierały logiczne argumenty. Patrycja nie chciała mu powiedzieć, co zaszło, zjawił się w Lipówce, kręcił między ludźmi i nadstawiał ucha. I szybko w to ucho mu wleciało, że motywem napaści na aktorkę była zazdrość o rolę i musiała dokonać jej osoba, która wcieli się w Calineczkę. Mówiąc o tym, aspirant skrecał się ze wstydu i unikał wzroku Kordeckiego. Przecież to on zezwolił na kontynuowanie przygotowań do spektaklu pod warunkiem, że Zojka zagra tytułową postać...

By zbliżyć się do swojej przyszłej ofiary, Kacper postanowił zjawić się na plebanii i postarać o jakąś maleńką rolę. I starać się specjalnie nie musiał, bo szybko zgarnęła go sama Zojka, przekonana, że ma do czynienia z policjantem od Chochołka. Zaprowadziła przystojnego młodziana do Karoliny, a ta natychmiast przydzieliła mu rolę księcia. Tutaj ze wstydu skrecała się dziennikarka, którą zaślepiała miła powierzchowność młodego mężczyzny. Poza tym Kacper od początku kogoś jej przypominał! Była przekonana, że ma do czynienia z jednym z funkcjonariuszy spotkanych gdzieś na

korytarzach komendy, a on po prostu był podobny do siostry!

Myślałam, że mnie lubi, westchnęła żałośnie, podchodząc do drzwi prowadzących do garderoby, a on udawał, żeby zemścić się na mnie za coś, czego nawet nie zrobiłam. Gdyby Patrysia nie zaginęła, pewnie wyjaśniłaby, że nie miałam z napadem na nią nic wspólnego. A tak to jej braciszek zafundował mi potrącenie na pasach, maseczkę z Viziru i okład zwątróbki!

No, ale najważniejsze, że go zatrzymano!

Według Chochołka przyczyniło się do tego zdjęcie zrobione przez Kordeckiego. Ciekawe, co to za fotka?

Zojka wsunęła się do garderoby. Nieduży pokoik pogrążony był w ciemnościach, więc nacisnęła kontakt i zmrużyła oczy, by przyzwyczać się do oślepiającego światła. Natychmiast namierzyła pudełko z biżuterią. Uniosła wieczko i spojrzała na błyszczące klejnoty. Były takie piękne!

Wyjęła naszyjnik i zbliżyła się do lusterka. Zapięcie było dość skomplikowane, a palce jak na złość odmawiały jej posłuszeństwa, ale w końcu udało jej się zahaczyć karabińczykiem o złożone kółeczko. Ułożyła kolbę na dekolcie, pilnując, by maleńkie szafirowe oczka rozłożyły się równomiernie, i sięgnęła po tiarę. Potem przekrzywiła głowę w lewo i w prawo, podziwiając swoje odbicie. No, no, Zojka, ładna z ciebie królowa elfów!

Nie, biżuterię trzeba zabrać w pudełku! Widzowie, których będzie mijala w drodze na scenę, nie powinni zobaczyć błyskotek zbyt wcześnie, bo cały efekt diabli wezmą!

Zojka z westchnieniem żalu zdjęła tiarę i zabrała się do odpinania łańcuszka przy naszyjniku. Właśnie namacała palcami karabińczyk, gdy usłyszała dziwny dźwięk.

Płacz dziecka? Na poddaszu plebanii?

Wzrok Zojki spoczął na odsłoniętych ramionach i zarejestrował, że porastające je cieniutkie włoski stoją na baczność. Wzdłuż kręgosłupa spłynęła lodowata strużka, a supeł w żołądku zacisnął się jeszcze mocniej. Dziewczyzna opuściła ramiona i powoli zbliżyła się do drzwi. Przytknęła ucho

do szpary między skrzydłem a framugą, jednak usłyszała wyłącznie przytłumione śpiewy dochodzące z dołu i głośne łomotanie własnego serca.

Łał! Łał!

Słyszac ponownie dziwny, płaczliwy dźwięk, Zojka podskoczyła w miejscu. Zaraz jednak zganiała się w duchu: przecież musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie! Ptak, który jakimś cudem dostał się pod dach i teraz nie może znaleźć drogi ucieczki, albo inne zwierzę zamieszkujące stary budynek.

Zwierzę?

No jasne!

Zojka zaśmiała się z ulgą! Przecież doskonale знаła ten dźwięk, choć w wykonaniu Filipa brzmiał nieco inaczej. Nie było w tym jednak nic dziwnego, bo miauczający Filip zazwyczaj znajdował się parę centymetrów od Zojki. Czy raczej należałoby powiedzieć: od jej talerza!

Uspokojona dziewczyna uchylila drzwi i próbowała przywołać kota, myśląc, jak ucieszy się gospodyni proboszcza. Z pewnością położyła już krzyżyk na swoim ulubieńcu, a tymczasem Śnieżek jakby nigdy nic wrócił do domu i zaszył się na poddaszu! Z pewnością wślizgnął się do budynku razem z przybywającymi na przedstawienie ludźmi i, widząc panujące na plebanii zamieszanie, poirytowany zaszył się na strychu, by przeczekać ten dziwny spęd!

– Kici, kici! – Zojka nie ustawała w nawoływaniach, próbując równocześnie przeniknąć wzrokiem panujące na poddaszu ciemności.

– Miauuu! – odpowiedziało jej z ciemnego kąta. Teraz wyraźnie usłyszała, że ma do czynienia z kotem. Miauczenie było jednak lekko przytłumione, zupełnie jakby Śnieżek dostał się do jakiejś szafy albo beczki i nie potrafił wyjść...

– Kici, kici! – zawołała ponownie, a kiedy odpowiedziało jej kolejne żalosne miauknięcie, zamknęła za sobą drzwi garderoby i ruszyła niepewnie w kierunku, skąd jak jej się wydawało, dobiegały kocie skargi.

Na dole chór zaintonował kolejną pieśń. Zojka zawahała się. Obiecała Karolinie, że szybko powróci z biżuterią. Że skoczy na jednej nodze. Powinna wracać na scenę, założyć błyskotki i przygotować się do finałowej sceny. Przecież po kota może wrócić po przedstawieniu! Albo dyskretnie dać znać siedzącej w pierwszym rzędzie gospodyni, gdzie przebywa jej niesforny ulubieniec!

Zojka nerwowo obejrzała się za siebie i zrobiła ruch, jakby chciała zawrócić i ruszyć ku schodom. Ale w tej samej chwili jej uszu dobiegło kolejne miauknięcie. Oczy dziewczyny przyzwyczały się już do ciemności i teraz wyraźnie dostrzegła drzwi na końcu korytarza. To za nich dobiegał koci płacz. I coś jeszcze. Dziwne stukanie. Albo drapanie.

Pazury?

Jak ten kot się tam dostał?

Młoda dziennikarka zmarszczyła brwi, obejrzała się niepewnie za siebie, a potem ruszyła ku drzwiom, zza których dobiegały podejrzane hałasy.

• ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY •

Chór zapiał ostatnie wersy *Panie dobry jak chleb* i zamilkł. Karolina zamachała ręką, dając znak, by śpiewający rozpoczęli nową pieśń i po sali poniosły się kolejne płaczliwe tony. Ten czy tamten widz poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. To była piąta interpretacja wokalna, a przecież tego wieczoru na lipowieckiej plebanii spotkano się nie po to, by słuchać parafialnego chóru. Redaktor Kordecki spojrział na stojącą na skraju sceny blondynkę. Karolina dawała mu jakieś znaki, ale stał zbyt daleko i nie potrafił odczytać z tych gestów, o co może jej chodzić.

Dopiero gdy mocno zmarszczyła brwi i wykonała charakterystyczny gest drapania, zrozumiał, co chciała mu przekazać. Zojka wyszła i nie wróciła, więc przedstawienie nie mogło toczyć się dalej. Chór wznosił się na wyżyny swoich możliwości, ale lada chwila do zniecierpliwionych gości dotrze, że coś jest nie tak.

Gdzie podziewa się Zojka?

Cały wieczór nie spuszczał jej z oka. Obiecał to babuni Łyczakowej, która co prawda z wierzchu była twarda, doświadczoną przez życie kobietą, ale gdy chodziło o ukochaną wnuczkę, w środku trzęsła się jak galaretka. Siekierki na spektakl nie wezmę, bo mi do kościółkowej torebki nie wlezie, ale ty ją miej na oku. A jak jej włos z głowy spadnie, to ci nogi

z dupy powyrywam, szepnęła mu w sieni, gdy czekali na Zojkę i Chochołka. Obiecał jej to uroczyście, bo mało kogo lubił tak, jak charakterną staruszkę z Lipówki. A poza tym... sam również martwił się o Zojkę. Owszem, zatrzymano Kacpra, ale napastnik, który zepchnął ze schodów Patrycję, nadal pozostawał niezidentyfikowany!

Kordecki przecisnął się do wyjścia i zerknął na korytarz. Był przekonany, że Zojka wychodzi do toalety i zaraz wróci, ale teraz pomyślał, że to wszystko trwa zdecydowanie za długo. Może utknęła w łazience? Zamek czasami się przycinał, a ona w nerwach na pewno szarpie jak opętana, zamiast na spokojnie poruszać kluczem? Redaktor zawahał się w pół kroku. Mogła też dostać rozstroju żołądka, a w takim przypadku na pewno nie chciałaby, by ktoś dobijał się do drzwi. Ale chyba może cicho zapytać, czy wszystko w porządku?

Kordecki zbliżył się do drzwi łazienki i z ulgą stwierdził, że te właśnie się uchylają. Uśmiechnął się pod nosem i otworzył usta, by poczęstować Zojkę jakąś ciętą uwagą. Ale na widok podciągającej pluszowy kombinezon Guzikowej zamknął usta z głuchym klapnięciem i ponad ramieniem starszej pani próbował zajrzeć do łazienki.

Leośka obrzuciła go podejrziwym spojrzeniem.

– Szukam Zojki – wybełkotał.

– No przecie nie mam jej pod spódnicą! – prychnęła gniewnie Guzikowa, zaraz jednak popatrzyła na dziennikarza z zainteresowaniem – Zniknęła? To dziwne. Może ją porwali?

Kordecki przyznał w duchu, że to rzeczywiście dziwne. Lub wprost przeciwnie: całkiem normalne. Chodziło wszak o Zojkę.

Zojka zapomniała, że gdzieś na dole toczy się przedstawienie, a chór parafialny za moment zakończy występ, by ona mogła wejść na scenę i doprowadzić historię o Calineczce do szczęśliwego zakończenia. Myślała już tylko o rozpaczliwie miauczącym kocie i drzwiach prowadzących do nieznannej części

strychu. Kładąc rękę na klamce, zastanawiała się, czy to możliwe, by Śnieżek przebywał w tej części budynku przez cały czas. To raczej niemożliwe, bo przecież ktoś musiałby usłyszeć kocie wołanie o pomoc, chociażby aktorzy korzystający z garderoby. Poza tym gospodyni prowadziła akcję poszukiwawczą w obrębie całej wsi, mało prawdopodobne wydawało się więc, żeby pobieżnie potraktowała tak lubiany przez kota strych plebanii! Już lepsza była wersja z marnotrawnym kocurem, zamieszaniem przy drzwiach oraz szukaniem spokoju na poddaszu. Tylko że...

Zojka poczuła nieprzyjemne ssanie w żołądku.

Babunia Łyczakowa miała zwyczaj mówić, że kocie gówno wyszło z kąta.

Na strychu plebanii też coś śmierdziało i bynajmniej nie była to kocia kupa. Zojka wyczuła to każdym włoskiem stojącym na baczność na odsłoniętych ramionach. Mimo to postanowiła ruszyć uwięzionemu zwierzakowi z odsieczą i zdecydowanie nacisnęła klamkę.

Drzwi otworzyły się z piskliwym skrzypnięciem. Natychmiast poczuła silne uderzenie w łydki, po którym nastąpiło oburzone prychnięcie. Kocur zaplątał się w fałdy długiej sukienki i teraz miotał się jak oszalały, szukając drogi ucieczki i obijając się boleśnie o jej nogi. Zojka schyliła się i spróbowała zgarnąć go na ręce, ale po pierwszym draśnięciu zrezygnowała. W końcu uniosła sukienkę i odczekała, aż Śnieżek sam natrafi na drogę ucieczki. Potem okręciła się na pięcie i patrzyła, jak biały kształt znika gdzieś w ciemnościach poddasza.

No i świetnie!

Teraz, gdy kot był już bezpieczny, mogła wrócić do garderoby, zgarnąć biżuterię i wrócić na scenę. Wcielić się w rolę Calineczki, a po zakończonym przedstawieniu zbierać gratulacje i odczuwać całkiem zasłużoną dumę, że dołożyła maleńką cegielkę do pnących się w górę murów domu dla samotnej matki. Wdzięczyć się przed obiektywem aparatu Kordeckiego, uścisnąć babunię, a może nawet posłać Zosi triumfujące spojrzenie. Zamiast tego zrobiła ostrożny krok w głąb

ciemnawego pomieszczenia, potem kolejny i jeszcze jeden. Zwilgotniałe dłonie zacisnęła na fałdach sukienki, aż poczuła, jak paznokcie boleśnie wbijają się w skórę.

Uwolniła kota. Teraz powinna wyjść.

Powinna, ale nie mogła.

Bo choć przestraszony zwierzak umknął na korytarz, dziwne miarowe drapanie nie ustało.

Redaktor westchnął głęboko. Spojrzał na Guzikową, która bez skrzępowania gmerała przy tylnych partiach ciała. Pluszowy skafander z pewnością wrzynał się tu i tam.

– Nie widziała jej pani? – dopytywał jeszcze z nadzieją.

– Tutaj jej nie było! – Potrząsnęła głową stanowczo. – Ale możesz sprawdzić, jeśli chcesz. – Rzuciła jeszcze przez ramię, odchodząc w kierunku rozśpiewanej sali.

Kordecki wzruszył ramionami i spojrział na schody. Wsparł się na balustradzie, zadzierając głowę do góry. Gdzieś za jego plecami roztrącani przez Guzikową ludzie posapywali gniewnie. W progu pojawiła się też zniecierpliwiona Karolina.

– Szybciej! – syknęła przez zęby.

Redaktor skinął głową, a następnie powoli wszedł na schody. Zatrzymał się po kilku krokach i półgłosem zawołał Zojkę. Odpowiedział mu jedynie jakiś dziwny płaczliwy dźwięk, więc w kilku susach pokonał resztę schodów i wpadł do garderoby. Otworzył usta, by ponaglić opieszalą aktorkę, ale w pokoju nie było nikogo. Redaktor rozejrzał się po ciasnym wnętrzu. Jego wzrok zatrzymał się na stole, otwartym pudełku i tiarze spoczywającej na aksamitnej wyściółce. Ujął delikatnie ozdobę w dwa palce i podniósł na wysokość oczu. Za jego plecami nieoczekiwanie trzasnęły drzwi. Niemal podskoczył w miejscu i zaśmiał się nerwowo.

Strych plebanii dzielił się na kilka nieregularnych części. Centralną zajmowała galeryjka, z której wchodziło się do trzech pomieszczeń. Pokój, który przeznaczono na garderobę, był najmniejszy, ale też w miarę uporządkowany i czysty. Trzymano w nim wazon, sztuczne kwiaty i inne przedmioty pomocne przy dekorowaniu kościoła, trochę starych mebli i obrazów ze świętymi, których wywrócone białkami oczy przyprawiały Zojkę o nieprzyjemne dreszcze. Pozostałe dwie części strychu były najzwyczajszym w świecie gratowiskiem, gdzie przez lata gromadzono zupełnie bezużyteczne przedmioty.

Zojka przesuwiała się powoli między groźnie wyglądającymi skrzyniami, zwiniętymi w rulony dywanami i krzesłami na trzech nogach. Zwisające z powały pajęczyny oblepiały jej policzki i łaskotały nieprzyjemnie, w nosie drapał kurz. W pewnym momencie dziewczyna poczuła nieprzyjemne uderzenie w policzek i jęknęła. Wyciągnęła przed siebie rękę i wymacała wystającą z szafy gałąź plastikowej choinki. Odepchnęła ją ze złością i podjęła ślimaczą wędrówkę w kierunku, z którego dochodziło dziwne stukanie.

Ustawione w dwóch rzędach meble i paki tworzyły coś na kształt wąskiego, ciemnego tunelu. Światło z korytarza, i tak bardzo słabe, tutaj już prawie nie docierało, i Zojka zrozumiała, że za moment pograży się w całkowitych ciemnościach. Pożałowała, że nie ma przy sobie latarki lub choćby smartfona. Posuwała się po omacku, wyciągając na boki ręce i niechętnie dotykając pokrytych wieloletnim brudem sprzętów.

Dziwaczny tunel niespodziewanie skręcił w prawo, a Zojka przystanęła niezdecydowana, spodziewając się nieprzeniknionego mroku. Jakież więc było jej zdumienie, gdy dostrzegła lekką poświatę światła padającą za kolejnego załomu! Zdumiona podjęła dalszą wędrówkę, ostrożnie stawiając stopy na skrzypiących deskach i podtrzymując się jedną ręką masywnej komody po prawej stronie. Potarła palcami i zmarszczyła brwi. Miała wrażenie, że w tym miejscu było nieco czyściej, zupełnie jakby pobieżnie omieciono pajęczyny albo zdmuchnięto pierzynę kurzu. Ale to przecież nie

miało najmniejszego sensu. No bo po co brać się za porządkowanie takiej graciarni? Na dodatek tak dziwnie, nie po kolei, od środka? I skąd pada to dziwne światło?

Zaferowana brakiem brudu Zojka nie od razu się zreflektowała, że osobliwe drapanie ustało. Teraz przystała zdumiona, wsłuchując się w ciszę. O ile hałasy na opustoszałym strychu brzmiały niepokojąco, to ta głęboka cisza okazała się po stokroć gorsza. Mroczna, złowróżbna i lepka. Paskudniejsza od pajęczyn i wyciągającej się w jej kierunku plastikowej gałęzi. Zojka nagle zapragnęła obrócić się na pięcie i uciec, gdzie pieprz rośnie. Właściwie to już się obracała, macając wokół siebie jedną ręką, a drugą zbierając fałdy sukienki nieznośnie płaczącej się między kolanami.

Intuicja podpowiadała jej, że na strychu dzieje się coś dziwnego, coś, w czym absolutnie nie powinna brać udziału. Że powinna zbiec na parter i zaalarmować Chochołka. Intuicja szeptała uparcie i Zojka naprawdę zamierzała jej posłuchać, ale w tym momencie wydarzyły się dwie rzeczy.

Najpierw powrócił dźwięk drapania, choć tym razem młodej dziennikarce skojarzył się on bardziej z odgłosem uderzającego młotka. A zaraz potem Zojka natknęła się na porzuconą latarkę.

Zapominając o postanowieniu ucieczki, Zojka podniosła podłużny przedmiot, skierowała snop światła na podłogę i ruszyła w głąb strychu. Minęła kolejną stertę połamanych mebli i stanęła przed ścianą z czerwonych cegieł. Jeśli dobrze kojarzyła, tutaj powinno znajdować się nieduże okno wychodzące na cmentarz, ale nie dostrzegła nic takiego. Może przystawiono je jakąś szafą? Za to dźwięk stukania stawał się coraz wyraźniejszy, więc ruszyła za nim.

Snop światła skakał po starych meblach, pudłach i skrzyniach, Zojka zaś szukała wzrokiem okna, które pozwoliłoby jej się zorientować, w której części strychu się znajduje. Tak ją to pochłonęło, że prawie przeoczyła cieniutki żółty pasek przy zakurzonej podłodze. Zmarszczyła brwi i zbliżyła się do niego, wyciągając przed siebie rękę. Opuszkami palców dotknęła chropowatego drewna i poczuła mocniejsze

uderzenie serca.

W ścianie znajdowały się drzwi, a żółty pasek był smugą światła dobywającą się z jeszcze jednego pomieszczenia. Odgłos drapania przybierał na sile. Nagle Zojka przypomniała sobie czytana niedawno *Sagę o Ludziach Lodu* i występujące w niej przeróżne przerażające stwory. Któż wie, co mogło się na nią przyczaić w takim sekretnym pokoju na strychu? Mimo to jej dłoń odruchowo sięgnęła w poszukiwaniu klamki...

Zanim jednak zdążyła ją nacisnąć, drzwi otwarły się gwałtownie. Zojka straciła równowagę i wpadła do środka, z trudem utrzymując się na nogach i zapobiegając bolesnemu upadkowi. Ktoś pociągnął ją za ramię i mocno przyświecił jej po oczach latarką. Oślepiąca nie była w stanie nic dostrzec, ale głos rozpoznała od razu.

– Niech to szlag! Co tu robisz, Zojka?

Redaktor Marcin Kordecki odłożył tiarę do wyściełanego pudełka i podszedł do drzwi. Dość tej zabawy, trzeba wracać na widownię i zająć się robieniem zdjęć. Nie znalazł Zojki. Nic nie wskazywało na to, że w ogóle zjawiała się w garderobie na poddaszu. Może widząc, że łazienka jest zajęta, pobiegła do innej toalety? Albo poszła do kuchni po szklanke wody? Lub zdjeta strachem o Burka pognęła do domku na wzgórzu, by sprawdzić, jak ma się ulubieniec? E, nie, za daleko, wiedziałyby, że nie zdąży przed rozpoczęciem ostatniego aktu.

Ale gdzie by nie była, z pewnością wróciła już na scenę, a tymczasem on traci czas na oglądanie durnych błyskotek i podskakuje przy przeciągu jak byle sztubak!

Dość tego.

Podszedł do drzwi i zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę.

Drzwi ani drgnęły.

Nacisnął jeszcze raz i pociągnął mocniej, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Poza tym, że poczuł nieprzyjemne ukłucie nad

prawym pośladkiem.

Zaparł się nogami o poszarzałe deski, napiął mięśnie i pociągnął kolejny raz. Nadał nic.

Cholerny przeciąg!

No, ale skąd przeciąg? Przecież okno było zamknięte!

Ale na takim poddaszu musiały hulać przeciągi! – przekonywał sam siebie. Musiały!

Zniechęcony złapał za klamkę. I pomyśleć, że jeszcze parę minut temu naśmiewał się w duchu z Zojki, pewien, że utknęła w łazience. A teraz sam miotał się przy zatrzaśniętych drzwiach i nie mógł wydostać się z pokoju na poddaszu.

A może to ta diablica zamknęła go w pokoju? I teraz chichra się w najlepsze, patrząc, jak on nerwowo potrząsa klamką?

Wściekły redaktor przyklęknął przy drzwiach i przytknął oko do dziurki. Nie był w stanie nic dostrzec, to oczywiste, że w zamku znajdował się klucz! Czy był tam cały czas? Nie miał pewności, ale coś mu podpowiadało, że niekoniecznie. A to oznaczało, że ktoś splatał mu paskudnego psikusa!

Na myśl, że to sprawka Zojki, redaktor poczerwieniał ze złości. Musiał jednak przyznać, że bardziej niepokoiła go ewentualność, że młoda dziennikarka nie miała z tym uwięzieniem nic wspólnego. Bo to oznaczało, że jej zniknięcie nie było przypadkowe, a on nie mógł nic zrobić, by ruszyć jej z pomocą!

Przed oczami Zojki tańczyły wielkie zielono-różowe plamy. Mrużyła oczy, jednak i tak nie była w stanie nic zobaczyć. Ale przecież to wcale nie było potrzebne, dobrze знаła ten głos i wiedziała, z kim ma do czynienia! Co wcale nie znaczyło, że była przez to mądrzejsza!

– Co ty tu robisz? – zapytała. – Aspirant mówił, że zniknęłaś!

Patrysia usadowiła ją na twardym, drewnianym krześle

i odeszła. Zojka powoli odzyskiwała wzrok i widziała, jak tamta kuca pod ścianą, podpierając zdrową ręką biały temblak. Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu, rejestrując drewniane ściany, okno, którego wcześniej wypatrywała, przysłonięte jakimś burym kocem, belki pod sufitem obwieszane strzępami szarych pajęczyn. Pod ścianą leżała przyrdzewiała skrzynka z narzędziami, a na jego wieku leżał gumowy młotek. Zojka zmarszczyła brwi. Widząc zdumione spojrzenie dziennikarki, Patrycja wzruszyła ramionami.

– Bo zniknęłam – westchnęła. – Chciałam wierzyć, że zniknę i nikt mnie nie znajdzie, ale okazało się, że to nie takie proste. Jeśli nie masz pieniędzy i wpływowych przyjaciół, a ciągnie się za tobą nieciekawa przeszłość, znajdą cię nawet w mysiej dziurze!

– Kto? Policja? – zapytała zdezorientowana Zojka.

Patrycja parsknęła śmiechem i przewróciła oczami.

– Rozejrzyj się. Czy to wygląda na posterunek policji?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale ja nie rozumiem... kto cię znalazł? Kacper? – dopytywała przerażona. Patrycja pobladła i zerwała się na równe nogi. Skrzywiła się przy tym, jakby coś ją zabolalo.

– Kacper? A co on ma z tym wspólnego? I skąd ty w ogóle znasz mojego brata?

– Jak to: skąd? To ty nic nie wiesz? Przecież on na mnie napadł!

Patrycja wybałuszyła na nią oczy.

– To nieprawda. Kacper nie jest taki. Ja, owszem, trochę się pogubiłam w życiu i zrobiłam wiele głupich rzeczy, ale on jest porządnym facetem. – Potrząsnęła głową. – Skończył studia. Ma pracę. W życiu nie ukradł głupiej gumy do żucia. Już dawno powinien mnie skreślić, ale zawsze mi pomaga...

– Tak, tym razem też chciał ci pomóc – wtrąciła z przekąsem Zojka. – Był przekonany, że to ja zrzuciłam cię ze schodów, by dostać tę cholerną rolę, i chciał mi dać nauczkę!

– Nie, nie wierzę... – Upierała się Patrycja. Zojka wzruszyła ramionami.

– Taka jest prawda. Możesz porozmawiać z aspirantem Chochołkiem.

– Po prostu nie mieści mi się w głowie, że Kacper...

– Cóż, byłam nie mniej zdziwiona! Zgodziłam się przyjąć rolę Calineczki między innymi po to, żeby policja mogła schwytać człowieka, który cię napadł! Gdy mnie zaatakowano, uznałam, że to dzieło tego samego człowieka. Jakiś psychol, który nie lubi aktorek, Calineczek, może samego Andersena nie lubi, bo nie przeczytał lektury i zarobił pałę z polskiego! – gorączkowała się Zojka.

Patrysia uśmiechnęła się słabo i potrząsnęła ciemnymi włosami.

– Ale mnie wcale nikt nie zepchnął!

Aspirant Paweł Chochołek nie mógł skoncentrować się na oglądanym przedstawieniu. Niby patrzył na scenę i oklaskiwał aktorów na koniec każdego aktu, ale jego myśli wciąż krążyły wokół domku na wzgórzu, Burka oraz straconego pierścionka. Przeklinał w duchu chwilę, gdy uznał, że namoczone ciasto będzie idealną kryjówką dla złotego krążka. Całkiem możliwe, że już go nie odzyska, bo przecież nie sposób cały czas patrzeć psu pod ogon!

Działał odruchowo, nie chciał, by Klara zobaczyła błyskotkę. Sam przed sobą musiał przyznać, że przede wszystkim dlatego, że sam nie był pewien, co i kiedy zrobi z pierścionkiem. Kiedy klejnot w gustownym pudełeczku znalazł się w jego ręku, poczuł paraliżujący strach. Przecież oświadczyły to wielka rzecz! Chwila, która zmieni wszystko, wywróci do góry nogami życie jego i kanarka Kleofasa. To naturalne, że poczuł treść!

Jednak siedząc na widowni amatorskiego teatru, między babunią Łyczakową a roześmianą bibliotekarką, przyłapał się

na tym, że co chwilę zerka na zgrabne dłonie Klary i myśli, jak pięknie wyglądałby ten śliczny klejnot na jej smukłych palcach. Poczuł, że bardzo chciałby ofiarować go ukochanej!

No, ale wszystko stracone. Po ptokach, jak mawiała starsza pani. Nie dość, że potłukł rodzinną porcelanę i zraził do siebie przyszłą teściową, to jeszcze nakarmił pierścionkiem psa. No, właściwie to Zojka nakarmiła, ale jego udziału nie dało się pominąć. Byle tylko Burkowi nie zaszkodziło, bo dziennikarka gotowa Chochołka udusić...

A, właśnie, gdzież to ona się podziewała?

Chochołek oderwał się od niewesołych myśli dotyczących pożartego pierścionka (a konto puste, o jejku, jejku, nawet na ziarenka dla Kleofasa nie ma...) i nieprzytomnie spojrział na scenę. Chór parafialny piał w najlepsze od dobrego kwadransa. Babunia Łyczakowa przysypiała, pogwizdując cichutko w kolorową chustkę, a Klara co kilka sekund szeroko otwierała oczy, jakby walczyła z ogarniającą ją sennością. Chochołek obejrzał się za Kordeckim, ale na sali było ciemno i nic nie dostrzegł. W jasnym prostokacie drzwi ujrzał tylko zdenerwowaną Karolinę, która wyraźnie na kogoś czekała.

Telefon aspiranta wydał z siebie krótkie piknięcie. Policjant uświadomił sobie, że zapomniał wyciszyć dzwonek, i poczuł irytację. Tego dnia nic nie szło po jego myśli, nawet głupi telefon robił mu na złość. Ale skoro już się odezwał, nie zaszkodzi sprawdzić, kto się dobija. Na widok wiadomości od Kordeckiego, Chochołek uniósł brwi tak wysoko, że prawie zniknęły pod snopkowatą grzywką.

„Jestem w garderobie, szybko”.

Nachylił się do Klary.

– Zaraz wrócę – szepnął. Potem wstał, zapiał marynarkę i zaczął przeciskać się do wejścia. Kiedy mijał Karolinę, ta spojrzała na niego bezradnie.

– Zojka zniknęła!

Chochołek pomyślał, że właściwie to spodziewał się podobnych wieści. Ten dzień był szalony: zalane herbata

spodnie, połknięty pierścionek... Zniknięcie Zojki było przysłowiową wisienką na torcie. Aspirant westchnął i ciężkim truchtem rzucił się ku schodom. Miał nadzieję, że znajdzie Tuszyńską, zanim z wisienki zrobi się marmolada!

Zojka wpatrywała się oniemiała w pracownicę Jedynaka.

– Jak to: nie zepchnął? Więc co się stało, do cholery? – wydukała w końcu. Patrycja wzruszyła ramionami.

– Potknęłam się. Może nawet na tym cholernym kocie, o którym wspominałaś. Wiecznie kręcił się pod nogami.

– Ale przecież... – Zojka nie mogła przyswoić słów koleżanki. Niczego już nie rozumiała i wpatrywała się w nią zdumiona.

Patrycja sięgnęła po gumowy młotek i lekko podrzuciła go w dłoń.

– Powiedziałam policji, że ktoś mnie zepchnął, bo miałam nadzieję, że każą zamknąć ten cały pierdolnik. – Skrzywiła się.

– Pierdolnik? – Zojka również się skrzywiła. To słowo zupełnie nie pasowało do miejsca, w którym się znajdowały. – Jaki pierdolnik?

– Teatr oczywiście. Teatr.

– Nie rozumiem! – poskarżyła się Zojka. – Dlaczego przeszkadzał ci teatr Jedynaków? Przecież tak bardzo chciałaś zostać Calineczką?

– Czyżby? – Patrycja zaczęła obstukiwać młoteczką ścianę, po czym obejrzała się przez ramię na Zojkę. – Ja chciałam? Jesteś tego pewna?

Chochołek przeskakiwał po trzy stopnie na raz. U szczytu schodów potknął się na zwiniętym chodniku i ciężko upadł na prawe kolano. Szybko jednak pozbierał się i dopadł do drzwi

garderoby. W zamku tkwił klucz, więc przekręcił go, nacisnął klamkę i mocno pchnął drzwi do środka. Klęczący na podłodze Kordecki w ostatniej chwili zrobił unik i ustrzegł się przed podbitym okiem.

– Nareszcie! – zawołał na widok aspiranta i zerwał się na równe nogi. – Już myślałem, że nie odczyta pan wiadomości! Kultura wymaga, by przed wyjściem do teatru wyciszyć dzwonek w telefonie, ale pomyślałem, że pan na pewno o tym zapomni! – paplał, otrzępując ubranie. Chochołek popatrzył na niego ponuro. Kordecki przełknął ślinę. – Wie pan, gdzie jest Zojka?

– Zniknęła – grobowym tonem odrzekł aspirant.

– Jak to: zniknęła? Nie wróciła na scenę? Przecież nie rozpląnęła się w powietrzu! – zdenerwował się redaktor.

– Może pobiegła do domku sprawdzić, co z psem? – poddał Chochołek. Kordecki skinął głową.

– Też o tym pomyślałem...

– Więc pan już wcześniej jej szukał? – policjant zmarszczył podejrzliwie brwi.

– Przyszedłem tu po nią, ale jej nie znalazłem. Sądziłem, że robi sobie ze mnie jaja, za przeproszeniem, i że mnie tutaj zamknęła.

– Ale to nie ona.

– Nie wydaje mi się. – Kordecki podrapał się nerwowo po czubku głowy. – Gdzie ona się podziała?

– Trzeba sprawdzić inne pomieszczenia na plebanii. No i domek oczywiście. Poślę tam człowieka – stwierdził aspirant, mając na myśli Jurka, który przebrany za krzak nadal siedział za sceną. Wyciągnął komórkę i wybrał numer, ale policjant się nie zgłaszał. Najwyraźniej nie miał przy sobie telefonu. Albo po prostu pamiętał, że idąc do teatru, należy go wyciszyć.

– Co się dzieje? – dopytywał Kordecki.

– Nic, po prostu nie odbiera i będę musiał do niego pójść. Pan

w tym czasie niech zajrzy do kuchni i innych ogólnodostępnych pomieszczeń na parterze, dobrze?

– Oczywiście.

– I może – aspirant zawahał się z ręką na klamce – na razie nie mówmy nic pani Karolinie. Nie chcę, by wybuchła panika.

– To zrozumiałe. Ale coś jej powiedzieć musimy.

– Tak, tak, niech pan to zostawi mnie. Powiem, że Zojka źle się poczuła.

– Myśli pan, że coś jej zrobił? – Głos redaktora zadrżał. – Ten, co wcześniej napadł Patrycję Oleś?

– Zojka to nie Patrycja – oburzył się stróż prawa. – Nie da sobie krzywdy zrobić!

– No tak, ma pan rację...

– Ale na wszelki wypadek się pospieszmy...

– Nic nie rozumiem – biadoliła Zojka. – Przecież to wolny kraj. Skoro nie chciałaś grać w teatrze, trzeba było nie grać. Nie musiałaś go bojkotować. Tylko popatrz, ile złego wyrządziły opowiadane przez ciebie bajeczki! Twój brat był przekonany, że chciałam cię zabić. Próbował przejechać mnie samochodem! Kto wie, jak skończyłoby się nasze ostatnie spotkanie, gdybym nie weszła do chłodni z drobiem i nie przytuliła Mieczysława!

– Co? – Patrysia otworzyła szeroko oczy. – Co ty bredzisz?

– Och, nieważne! – zirytowała się dziennikarka. Posłała Patrycji wściekłe spojrzenie. – Przez twoje kłamstwa Kacper wylądował w więzieniu!

– Wiem! – zawyla tamta. – Myślisz, że dobrze się z tym czuję? Przecież nie chciałam nikogo skrzywdzić. Miałam nadzieję, że policja rozpocznie dochodzenie i zakaze organizowania teatru na plebanii, a ja będę wolna!

– Wolna? Co to znaczy? – Zojka potrząsnęła głową i obrzuciła

szybkim spojrzeniem mały pokój, narzędzia i dziewczynę obstukującą ścianę gumowym młotkiem. – W co ty się wpakowałaś?

Patrycja zaśmiała się bez cienia wesołości w głosie.

– W bagno, jakiego nawet nie umiesz sobie wyobrazić!

Kordecki odczekał, aż Chocholek zniknie w sali ze sceną, po czym sam pospieszył do kuchni. Wciskając kontakt, przypomniał sobie popołudnie, gdy siedzieli tu z Zojką i pałaszowali placki ziemniaczane przygotowane przez gospodynię księdza Seweryna. Wydawało się, że to było wczoraj, a przecież od tamtego dnia tak wiele się wydarzyło! Patrycja została napadnięta, potem tytułową rolę przejęła Zojka i również otarła się o śmierć.

Redaktor rozejrzał się po przytulnym pomieszczeniu, wyłączył światło i wrócił na korytarz, kręcąc głową zniechęcony. Czy ta dziewczyna kiedykolwiek zmądrzeje i przestanie pakować się w tarapaty? Z taką to nawet strach się na randkę umówić. Nie żeby na umawianie miał ochotę. Po prostu z natury był miłośniwy i żałował nieszczęśnika, który wpadnie na tak szalony pomysł.

Po sprawdzeniu kuchni, raz jeszcze wstąpił do łazienki, potem zajrzał do spiżarni pod schodami, kotłowni i kancelarii parafialnej. Pokoje proboszcza i gospodyni były zamknięte, więc wyszedł na zewnątrz i obszedł plebanie naokoło. Zojki nie znalazł, ale na dworze było tak zimno, że z pewnością nikt nie opuściłby budynku bez okrycia. Ponownie więc wdrapał się na poddasze i przeszukał wieszak z kurtkami. Płaszcz Zojki wisiał na swoim miejscu i redaktor poczuł wielką gulę w gardle.

Na schodach natknął się na Piotra Jedynaka. Biznesmen zmrużył podejrzliwie oczy.

– Co się dzieje, redaktorze? Dlaczego pan nie fotografuje?

– Co mam fotografować? – parsknął Kordecki. – Przecież od

pół godziny śpiewa ten cholerny chór. To znaczy, przepraszam... Zojka – przełknął głośno ślinę – gdzieś się zawieruszyła. Żona panu nie mówiła?

Jubiler skinął głową.

– Kazała mi jej poszukać. Był pan w kuchni?

– Tak. Tam jej nie ma.

– A na strychu?

– W garderobie? Tam został tylko jej płaszcz. Przynajmniej wiemy, że nie wyszła na zewnątrz i nie leży gdzieś ze złamaną nogą.

Jedynak zamyślił się.

– Ale ja nie mówię o garderobie, redaktorze. Strych nad plebanią jest duży i cóż, w nie najlepszym stanie. Jeśli zerwała się pod nią podłoga... sprawdźmy te pomieszczenia. Niech pan weźmie latarkę i pójdzie na prawo. Ja zajrzę do pomieszczenia na lewo. Tylko ostrożnie!

– Ale tam w ogóle coś jest? – zdumiał się dziennikarz. – I po co, na miłość boską, Zojka miałaby łązić po strychu?

– A bo ja wiem? Ale skoro sprawdził pan już wszędzie...

Kordecki wzruszył ramionami, włączył latarkę i ruszył w kierunku drzwi na prawo. Kiedy je uchylił, wydało mu się, że słyszy przytłumione głosy. To pewnie z dołu, gdzieś poniżej jest przecież sala, w której odbywa się występ. Mimo to zanurkował między stare graty i z zaciekawieniem przesunął po nich snopem światła. Widząc zwisające pajęczyny i kożuch kurzu zalegający na meblach, zazgrzytał zębami. Powoli przemierzył pomieszczenie i zatrzymał się pod ścianą. Tutaj głosy były jakby wyraźniejsze, do tego... tak! Smuga światła przy podłodze! To przecież drzwi!

Redaktor wyciągnął rękę w poszukiwaniu klamki. Nagle poczuł przeszywający ból z tyłu głowy i runął do przodu. Upuszczona latarka poturlała się po podłodze i zgasła. Strych zatonął w ciemnościach.

Zojka spojrzała na drzwi.

– Co to było? – zapytała nerwowo. Patrycja machnęła lekceważąco ręką.

– To pewnie kot. Widziałam, że kręci się po strychu.

Zojka pokręciła głową. Chciała wyjaśnić koleżance, że to nie może być kot, ponieważ osobiście wypuściła go na korytarz, ale nagle przyszło jej na myśl coś zupełnie innego. Coś, co natychmiast musiała wiedzieć!

– Byłaś tu przez cały czas? – zapytała przerażona. Patrycja parsknęła śmiechem.

– Oczywiście, że nie, głuptasie! Wykorzystałam zamieszanie przy drzwiach i wślizgnęłam się do środka.

– Ale po co? Co ty tutaj robisz? – ponownie spojrzała na gumowy młotek. – Wykonujesz jakieś prace konserwatorskie dla księdza proboszcza?

– Można i tak powiedzieć.

– Jesteś okropnie tajemnicza! A jak już coś mówisz, to kłamiesz! – zirytowana Zojka podniosła się z krzesła i ruszyła do drzwi. Patrycja natychmiast zagroziła jej drogę. W jej oczach błysnęła złość.

– Chcesz wiedzieć? Niech ci będzie, siadaj i słuchaj!

– Nie, już nie chcę! – Tuszyńska potrząsnęła głową. – Lepiej pójde po Chochołka. Jemu opowiesz!

– Siadaj! – wrzasnęła tamta i lekko pchnęła Zojkę w stronę krzesła. – A o Chochołku zapomnij. Nie wyjdiesz stąd, póki nie zniknę! Po przedstawieniu na pewno będą cię szukać, może trafią do tej zapomnianej klitki. O ile na powrót nie przysłonie drzwi szafą... – zagroziła, machając w powietrzu młotkiem. Zojka zaniemówiła. Opadła na siedzisko, nie spuszczać oczu z kołyszącego się młotka.

– Przecież ty nie jesteś taka... – powiedziała cicho.

– A skąd ty możesz wiedzieć, jaka ja jestem, co? – zdenerwowała się Patrycja. – Byłam dzieckiem, kiedy zmarła matka. Opiekował się mną starszy brat i na pół oszalała babka. Nienawidziłam tego biednego domu z przegniłymi podłogami i kibelem za stodołą. Pewnego dnia wzięłam nogi za pas i ruszyłam w Polskę. Tyle mnie widzieli!

– Nie ty jedna miałaś trudne dzieciństwo... – wtrąciła Zojka.

– Bo ty może też? Prała cię babka po plecach kablem od żelazka?

Zojka potrząsnęła głową. Przed jej oczami pojawiły się cudowne zabawy w domku na wzgórzu, na języku poczuła smak racuszków z jabłkami i malinowych landrynek, które babunia trzymała w kryształowej cukiernicze i podsuwała jej po obiedzie. A czasami przed nim.

– Więc mi nie pitol, że nie ja jedna! Poza tym miałaś słuchać.

– Słucham.

– Dałam dyla w Polskę i w końcu byłam wolna. Ale Kacper mnie odnalazł i sprowadził z powrotem. Powiedział, że we mnie wierzy, że na pewno wyjdę na prostą, tylko potrzebuję czasu. Tam, na wieś, nie było po co wracać, stara całkiem zbzikowała, więc załatwił mi szkołę z internatem. Ale wiesz, jak to jest. Tu zioło, tam browarek, dyskoteka z dziewczynami. Podobały mi się ładne rzeczy, a nie chciałam się puszczać jak koleżanki. Zaczęłam więc kraść.

Zojka skrzywiła się, a Patrycja, widząc to, parsknęła śmiechem.

– Tak, wiem, brzmi strasznie! Mówiłam ci przecież, że zrobiłam w życiu trochę głupstw... ale jedno musisz wiedzieć, byłam w tym naprawdę dobra. Nigdy nie wpadłam przed policją! Ale szczęśliwa karta w końcu się odwróciła!

– Co się stało?

– Cóż. Zaplanowałam małą akcję w salonie jubilerskim. To najgłupsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu. A uwierz – Patrycja popatrzyła na Zojkę znacząco – było ich trochę!

Chochołek przedarł się za scenę i złapał za ramię drzemiącego w kącie Jurka. Funkcjonariusz z trudem rozkleił powieki.

– Ho he heje? – wymamrotał.

– Zrzuć ten fikuśny kombinezon i skocz do domu Zofii Łyczak. Sprawdź, czy jest tam Zojka Tuszyńska, a jeśli tak, sprowadź ją tu natychmiast!

– Hojka? Ho he z nią hało? Hu jej nie ma!

– Oprzytomnij! – Chochołek bezceremonialnie trzasnął młodego policjanta w gębę. – Zasypiasz na stojąco!

– To ten huj!

– Ten czy tamten – warknął Chochołek. – Ty się weź w garść! Ruszaj! I dzwoń do mnie, jeśli znajdziesz ją w domku!

Jurek niezgrabnie gramolił się ku wyjściu, a aspirant przetarł rękawem wilgotne czoło.

– Dobra, sprawa domku załatwiona – mamrotał do siebie, zdmuchując z czoła grzywkę. – Teraz tylko wymyślić bajeczkę dla Karoliny...

– Jaką bajeczkę dla Karoliny? – usłyszał nagle za uchem. Gwałtownie odwrócił się na pięcie i spojrzał prosto w pałające złością oczy pani reżyser. Policjant otwierał i zamykał usta jak wyrzucona na brzeg ryba, by w końcu wydukać z trudem.

– No, bo, ten... niech się pani nie denerwuje, ale chyba Calineczka nam odleciała...

– Właściciel salonu wyglądał, jakby nie potrafił zliczyć do trzech. – Patrycja potrząsnęła głową. – Początkowo wszystko szło zgodnie z planem, pokazywał mi najpiękniejsze klejnoty i uśmiechał się uprzejmie, gdy umierałam z zachwytu nad nimi. Dyskretnie ukryłam kilka błyskotek w rękawie. Były nieduże,

ale sporo warte. Znam się na tym – dodała z dumą. – Ale kiedy zmierzałam do wyjścia, przeliczając w myśli zarobek, okazało się, że drzwi są zamknięte. Udawałam zaskoczenie, a on po prostu uśmiechnął się lodowato i powiedział, że na pewno się dogadamy. Nie ja pierwsza i nie ostatnia zlekceważyłam Piotra Jedynaka...

Zojka głośno przełknęła ślinę.

– Jedynaka? – powtórzyła. – Twojego szefa?

Patrycja wzruszyła ramionami.

– Dogadaliśmy się. Jedynak zatrudnił mnie w swoim salonie. Znałam się na biżuterii, więc potrafiłam nakłonić klientów do zamawiania najwymyślniejszych błyskotek, on je wykonywał na zamówienie i sprzedawał za ciężkie pieniądze.

– Nie rozumiem – poskarżyła się Zojka. – Chciałaś go okraść, a on za to ofiarował ci pracę w luksusowym salonie jubilerskim. To historia jak z filmu! Gdzie tkwi haczyk?

– Haczyk tkwił w biżuterii. Czasem miał postać poluzowanego karabińczyka, czasem innego drobnego defektu. Liczyło się tylko to, by klient przyniósł błyskotkę do poprawki. Kiedy ją odbierał, miał w ręku idealnie wykonaną kopię. Szlachetne kamienie wracały do skarbczyka Jedynaka, a nieświadomy niczego klient puszył się jak paw, obnosząc fałszywkę!

– I nikt się nie spostrzegł?

Patrycja potrząsnęła głową.

– Nie masz pojęcia, jakie cudeńka potrafi wykonać ten człowiek! Zresztą, chyba masz... – zachichotała, wskazując naszyjnik Zojki. – Poza tym do moich obowiązków należało także typowanie odpowiednich klientów. Nie z każdym mogliśmy ryzykować, rozumiesz to chyba.

– I zgadzałaś się na to?

– Nie miałam wyjścia. Miał nagranie, na którym widać, jak faszeruję rękaw złotem jak piniatę cukierkami! Poza tym, nie będę kłamać, odpowiadała mi ta fucha. Jedynak jest hojny, miałam dobrą pensję, mieszkanie do swojej dyspozycji, a do

tego mogłam zgrywać przed bratem odpowiedzialną i uczciwą!
Nie masz pojęcia, jak Kacper się ucieszył!

– A ciebie to nie uwierało? – Zojka spojrzała na koleżankę ze zdziwieniem.

– Początkowo nie. – Patrycja pokręciła głową. – Ale potem...
cóż, coś się zmieniło. Poznałam kogoś i chciałam z tym skończyć. Zmienić swoje życie. Wiem, frazes...

– Niekoniecznie – zaprzeczyła Zojka. – Gdy kogoś kochamy,
jakoś chcemy być lepsi.

– Cieszę się, że to rozumiesz! Niestety, mój szef nie był tak
wspaniałomyślny... – Patrycja rozejrzała się po pokoiku. –
Dlatego jestem tu, gdzie jestem!

– Ale nadal nie rozumiem, co tu robisz. Ukrywasz się? A może
czegoś szukasz?

– Ciepło, ciepło...

– Czego tu można szukać? – prychnęła lekceważąco Zojka. –
Skarbu chyba...

– No w końcu załapałaś! Czy tylko mnie zrobiło się gorąco?

– Gdzie jest Zojka? – Karolina cedziła przez zęby, świdrując
aspiranta spojrzeniem mocno podmalowanych oczu. Stróż
prawa wił się jak piskorz.

– Nie wiem – przyznał w końcu. – Szukamy jej z redaktorem,
ale bez skutku. Właśnie wysłałem policjanta, by sprawdził, czy
nie wróciła do domu.

– Do domu? Zojka na pewno nie zrobiłaby czegoś takiego! –
Kobieta potrząsnęła głową. – Wie, jak ważne jest to
przedstawienie! Już dawno powinna wrócić na scenę, chórowi
kończy się repertuar!

– Chu.. chór z tym – parsknął Chocholek. – Obawiam się, że
mamy poważniejsze zmartwienia.

Słowa aspiranta nie dotarły do Karoliny. Kobieta skubała zębami dolną wargę, gorączkowo nad czymś główkując.

– Ktoś musi zastąpić Zojkę w finałowej scenie. – Oznajmiła w końcu i zaraz złapała Chochołka za ramię, mocno potrząsając. – Pan!

– Ja? – osłupiał Chochołek.

– Tak, pan znajdzie Zojkę. A wcześniej mojego męża! Gdzie jest mój mąż?

– N-n-nie wiem. – Wydukał stróż prawa.

– Jak to pan nie wie? Czemu pan nie wie? Gdzie jest Zojka, gdzie jest mój mąż? Co tu się, do cholery, dzieje?

Chochołek rozłożył bezradnie ręce. Chciałby udzielić odpowiedzi na to pytanie, ale nie potrafił.

– Przecież z tym skarbem to bujda! – zarechotała Zojka. – No, sama powiedz... wierzysz w takie rzeczy? Że niby ktoś tu coś ukrył i przez lata tego nie odnaleziono?

– Nie ma znaczenia, w co ja wierzę! – Patrycja łypnęła na Zojkę złowrogo. – Liczy się to, w co wierzy Jedynek! A on oszalał na punkcie tego skarbu! Myślisz, że teatr na plebanii to przypadek?

– Myślałam, że chodziło o pomoc dla samotnych matek... – Zojka uniosła znacząco brew.

– Może jej, Karolinie, o to chodziło! On szukał pretekstu, by tu wejść, by bezkarnie przemieszczać się po plebanii i kontynuować te chore poszukiwania.

– Jak to: kontynuować? – zaniepokoiła się dziennikarka.

– Tak to! Przed laty zafundował modernizację centralnego ogrzewania i przegrzebał pół strychu!

Zojka spojrzała na Patrycję z niedowierzaniem.

– Wariat! – parsknęła. – No, ale skoro go to cieszy, niech

szuka! Co ty masz z tym wspólnego?

– Karolina coś zwietrzyła i miała go na oku. Nie, nie, o skarbie ona nic nie wie, słodka idiotka myśli, że kochany mężulek taki dobrodziej! – Ironizowała. – Ale podejrzewała go o romans i nie spuszczała z oka, potrzebował więc kogoś, kto przejmie pałeczkę. Czy raczej młotek. – Potrząsnęła narzędziem.

– Ciebie.

– Właśnie. Ale spadłam ze schodów i pokrzyżowałam mu plany. Tamtego dnia w szpitalu, kiedy wspomniałaś, że ktoś słyszał hałasy dobiegające z poddasza, przestraszyłam się i postanowiłam uciec. Ale on potrafi mnie zdyscyplinować. Zna moje słabe punkty i sprowadził mnie z powrotem. Przywoził mnie tutaj, kiedy mieliście próby, bo wasze głosy zagłuszały hałasy dobiegające z poddasza. Choć i tak podejrzewam proboszcza i gospodynię o głuchotę...

– A dzisiaj ostatni dzień na plebanii. – Przypomniała Zojka. Patrycja uśmiechnęła się słabo.

– Już niewiele zostało. Choć nie powiem, trochę wybiłaś mnie z rytmu...

– Nie będę ci dłużej przeszkadzać – Tuszyńska uniosła się z krzesła, ale czując trzonek młotka na piersi, ponownie przywarła pupą do siedziska. Przełknęła głośno ślinę. Nie może tu zostać! Przecież poradzi sobie z jedną Patrycją, szczególnie, że ta dysponuje tylko jedną zdrową ręką!

– Siedź spokojnie! – ostrzegła pracownica Jedynaka, zupełnie jakby czytała jej w myślach. – Nie zmuszaj mnie, żebym zrobiła ci krzywdę. Umiem to zrobić, uwierz mi na słowo! Po wszystkim cię znajdą i wypuszczą...

– Obawiam się, że po wszystkim obie tutaj zostaniecie! – warknęło od drzwi. Prerażona Zojka obróciła się ku wyjściu. Na widok czerwonej z wściekłości twarzy Piotra Jedynaka pisnęła bezwolnie i skuliła się w sobie. – Ty... – Jedynak wskazał na dziennikarkę – ... bo wężysz, gdzie nie trzeba. A ty – skierował lodowato niebieskie oczy na Patrycję – masz za długi język. Z radością go skrócę! – zademonstrował nóż.

Aktorzy wrócili na scenę. Zamiast Zojki w finałowej scenie występowała dziewczyna grająca jaskółkę. Nie знаła kwestii, ale dobrze improwizowała. Widzowie zaś, nawet jeśli byli zdumieni zamianą aktorek i skromną kreacją Calineczki, nic nie dali po sobie poznać. Zdenerwowana Karolina krążyła przy drzwiach.

– Gdzie oni się podzieli? – spojrzała z rozpaczą na wracającego z poddasza aspiranta.

– Nie wiem – bąknął stropiony policjant. – Mam złe wieści... redaktora też nie ma.

– Jeszcze to! – jęknęła pani reżyser. – Przecież zaraz skończy się spektakl! Kto robi zdjęcia sponsorom?

– Sponsorzy to nasz najmniejszy problem – zauważył trzeźwo Chochołek. Żona Jedynaka zaszlochała.

Kobiety wymieniły przerażone spojrzenia. Jedynak ciężkim krokiem wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Potem rzucił w czymś w Patrycję, ruchem brody wskazując na Zojkę.

– Zwiąż ją – polecił. Zojka przywarła plecami do twardego oparcia i posłała koleżance błagalne spojrzenie. Ta parsknęła.

– Jak mam to zrobić jedną ręką? – zapytała.

Jedynak zaklął szpetnie i pochylił się nad Zojką z głośnym sapnięciem. Szarpnął ją za ramiona i zmusił do przerzucenia rąk za oparcie krzesła. Przed oczami dziennikarki mignęło coś niebieskiego. Z przerażeniem zidentyfikowała to jako krawat Kordeckiego i wpadła w panikę. A potem we wściekłość.

– Gdzie redaktor? – wycodziła.

Jedynak zaniósł się suchym śmiechem.

– Póki co śpi sobie smacznie w jakiejś skrzyni. Ale kiedy już zajmę się wami, wrócę po niego. Dotrzyma wam towarzystwa.

Cieszycie się? – Wyszczerył zęby. – Ale najpierw zabiorę mój skarb...

– Tutaj nie ma żadnego skarbu! – cisnęła mu w twarz Zojka.

– Och, jest, jest! Dobrze wiem, że jest! Nie zwiedzisz mnie! Poza tym część już zabrałem, wiele lat temu!

Zojka podejrzewała, że biznesmenowi towarzyszyły jakieś omamy. Miała wielką chęć mu to uświadomić, ale drażnienie mężczyzny z nożem, gdy sama miała związane ręce, nie leżało w jej interesie. Poruszyła dłońmi, próbując poluzować krawat, ale węzeł okazał się zbyt ciasny. Biznesmen dostrzegł, że się kręci i pogroził jej palcem. Patrycja wysunęła się do przodu i skupiła na sobie jego uwagę.

– Dość tej zabawy, wypuść nas!

– Najpierw skarb! – warknął. – Nie wyjdę stąd bez skrzynki!

– Nie dostaniesz jej!

– Dostanę!

– Nie dasz rady! – szydziła dziewczyna. – Jest zbyt wysoko!

Zojka wybałuszyła oczy. Jedynek przypadł do Patrycji i uwięził jej zdrowe ramię w brutalnym uścisku.

– Wiesz, gdzie jest?

– Oczywiście! – parsknęła.

– Pokaż mi!

Patrycja ruchem brody wskazała poluzowaną deskę w ścianie, mniej więcej w połowie pomieszczenia. Twarz Jedynaka rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Zbliżył się do ściany, przesunął wypielegnowaną dłoń po szorstkiej powierzchni, a potem stanął na palcach i wyciągnął rękę najdalej, jak zdołał. Jego twarz poczerwieniała, żyły na skroni paskudnie nabrzmiały, a usta wykrzywiły się w grymasie wysiłku. Choć starał się, jak mógł, nie był w stanie dostać poluzowanej deski. Patrycja zachichotała.

– Podskocz! Ja tak zrobiłam! – zaproponowała z figlarnym uśmiechem.

Piotr Jedynak spojrział na swoją pracownicę z namysłem, a potem zbliżył się do ściany. Zojka pożałowała, że ma związane ręce, bo chętnie zasłoniłaby nimi oczy. Nie chciała na to patrzeć, więc mocno zacisnęła powieki.

Jedynak podskoczył raz i drugi, ale nie dosięgnął kryjówki. Podłoga pod jego stopami trzeszczała ostrzegawczo. A potem się zapadła.

Przedstawienie dobiegło końca. Babunia Łyczakowa ocknęła się z drzemki, otarła obślinioną brodę i spojrzała nieprzytomnie na scenę. Zerknęła przelotnie na Klarę.

– Cudowne przedstawienie. Czy to już koniec?

– Tak, właśnie skończył się ostatni akt, ale aktorzy zaraz do nas wrócą – dobrodusznie odparła bibliotekarka. Babunia się rozpromieniła.

– To dobrze, bo zamierzam oklaskiwać Zojkę na stojąco. Świetnie wypadła, prawda?

– Niewątpliwie – zgodziła się ukochana Chochołka.

Na scenie pojawiła się Karolina. Była wyraźnie bledsza, a jej ruchy były nerwowe. Za mało słońca, za dużo kawy, Zofia cmoknęła z dezaprobatą. Nie przepadała za Jedynakami, ale musiała przyznać, że pomysł z teatrem mieli trafiony. Tego całego Piotrka dobrze pamiętała. Ministrantem był i nic, tylko na plebanii siedział albo w kościele. Seminarium mu wróżyli, ale jak przyszło co do czego, złotnikiem został.

Zofia wyteżyła słuch. Co ta Karolina tak mamrocze pod nosem? W język się ugryzła?

Że chciałyby zobaczyć na scenie wszystkie osoby, bez których *Calineczka* nie doszłaby do skutku?

Zofia też chciała. Szczególnie Zojkę.

– Powitajmy ich – wymamrotała Karolina. – Oklaskami.

Widownia zafalowała.

W tej samej chwili coś głośno stuknęło. Przestraszona Karolina odskoczyła z głośnym piskiem, wskazując sufit. Posypały się najpierw drobne prószynty, następnie powała zatrzeszczała złowieszczo i na scenę opadły spróchniałe deski, a na sam koniec w powstałym gruzowisku wylądował oszołomiony Piotr Jedynak.

Po sali poniosły się pojedyncze oklaski.

Zofia biła brawo najmocniej.

• ROZDZIAŁ OSIEMNASTY •

Wejście do sali weselnej przystrojono girlandą z białych i niebieskich baloników. Zimowy ślub stylizowano na Krainę Lodu: sukienka Zosi skrzyła się dziesiątkami kryształków, a fryzura do złudzenia przypominała uczesanie księżniczki Elsy. Kordecki spojrział na błękitną koszulę, którą tego dnia założył, i zaśmiał się w duchu. Nawet on dostosował się do nastroju dnia. Jedyne przyniesiona przez niego wiązanka pomarańczowych róż psuła mdłą kompozycję sali. Kordecki rozejrzał się naokoło i zaklął w duchu. Wyglądało na to, że tylko on przyniósł ze sobą kwiaty, i zganił się w duchu, że niezbyt skrupulatnie podszedł do studiowania eleganckiego zaproszenia, które mu dostarczano. Czy czasem nie było tam nic o datku na dzieci z domu dziecka albo coś w ten deseń?

Redaktor złożył nowożeńcom życzenia i złapał lampkę szampana podsuniętą mu przez kelnerkę w niebieskim uniformie. Zaszył się z nią w kącie, skąd popijając musujący trunek, obserwował przybywających gości. Kolejni weselnicy ustawiali się w kolejce do Zosi i Mikołaja, by życzyć im szczęścia na nowej drodze życia, ale redaktor uparcie wbijał wzrok w drzwi. Wypatrywał Zojki. Ciekawe, czy ta szalona istota dopasowała się do klimatu wesela i założyła błękitną sukienkę, jak druhny Zosi?

On sam zjawił się w kościele z piętnastominutowym

poślizgiem i został w przedsionku świątyni. Z miejsca, w którym stał, widział tylko czubek głowy dziennikarki i ucieszył się, że rozpuściła włosy. Oczywiście nie miało to dla niego żadnego znaczenia, ale mimo wszystko, tak jakoś...

Do sali weselnej jechali osobno. On własnym samochodem, ponieważ po uderzeniu Jedynaka wciąż pobolewała go głowa i nie zamierzał pozwolić sobie na więcej niż lampkę szampana, a ona podstawionym autobusem. A na parkingu gdzieś zniknęła i nie zdążył zamienić z nią słowa i zapytać, jak się ma. I czy mogliby usiąść przy jednym stoliku. I może zatańczyć raz czy drugi. Bez zobowiązań, oczywiście.

Gdzie ona się podziewa? – Redaktor się stropił, błędząc wzrokiem po sali. Kolejka do Zosi i Mikołaja topniała, stos prezentów rósł, weselnicy zasiadali za stołami, by pochylić głowy nad talerzem weselnego rosółu i łabędziem z ptysiowego ciasta, a Zojki jak nie było, tak nie było! Co gorsza, nie było także Zofii!

Kordecki odchrząknął.

Chyba nie może dłużej czekać, trzeba zająć jakieś dogodne miejsce. Nie za blisko orkiestry i drzwi do kuchni. Nic przyjemnego ogłuchnąć na weselu. Albo skończyć z plecami w buraczkach na ciepło.

Redaktor upił łyk szampana i zrobił krok w kierunku najbliższego stołu, ale nagle jego uwagę przyciągnęło zamieszanie przy wejściu. Odwrócił się zaskoczony i o mało nie udławił się przelitykanym trunkiem. W drzwiach do sali ukazała się Zojka. Dziennikarka miała na sobie czerwoną sukienkę w białe groszki i wysokie czerwone szpilki. Zdecydowanie nie wpasowała się w klimat Krainy Lodu! W tej radosnej sukience, z rozwianymi włosami była latem w czystej postaci!

Dziewczyna nic nie robiła sobie z zamieszania, jakie wywołała swoim przybyciem. Przystanęła w wejściu, rozejrzała się po sali, lekko wydymając, usta i skinęła głową z zadowoleniem. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy i... czy ona naprawdę puściła do niego oczko?

I kiedy uznał, że nic nie jest w stanie zdumieć go bardziej, ona obróciła się za siebie, ujęła pod ramię nadchodzącą babunię i wyciągnęła drugą rękę, dotychczas ukrytą za plecami. Na widok tego, co trzymała w dłoni, Kordecki zachłysnął się szampanem. A ona z beznamiętną miną osadziła kowbojski kapelusz na głowie, drugi wcisnęła na pokrytą loczkami głowę Zofii i zadowolona z siebie przemaszerowała ze starszą panią przez całą salę.

Weselnicy szeptali, pokazując je sobie palcami, Krystyna ukryła twarz w dłoniach, Janek parsknął śmiechem, a matka Zosi zerwała się z za stołu z wściekłą miną i zrzuciła na podłogę miskę surówek. Kordecki opróżnił jednym haustem całą szampanówkę i odruchowo sięgnął po kolejną. A Zojka prowadziła babunię w kierunku nowożeńców, nie spuszczać wzroku z poblądłej Zosi. Czerwona sukienka falowała jej wokół nóg.

Parę chwil później znalazł ją na schodach. Siedziała, obejmując ramionami kolana i tupiąc stopą do taktu weselnej melodii dobiegającej z za drzwi. Kiedy padł na nią jego cień, uśmiechnęła się lekko i zrobiła mu miejsce. Usiadł na chłodnym stopniu i podsunął jej porcelanowy talerzyk.

– Przyniosłem ci kawałek tortu.

Jęknęła.

– Dzięki ci! Umieram z głodu! Pewnie cię to nie zdziwi, że pod obstrzałem spojrzeń ciotki nie przełknęłam nawet niteczki makaronu?

Kordecki parsknął śmiechem, patrząc na pochłaniającą tort Zojkę. Choć w rodzinie dziewczyna znowu będzie persona non grata, nie wydawało się, by się tym przejmowała. Wprost przeciwnie: wyglądała na wyjątkowo zadowoloną z siebie.

– Pycha! – mruzczała, oblizując palce z kremu. Kordecki mrugnął do niej okiem.

– Zostaw trochę miejsca. W kieszeni marynarki mam porcję sałatki jarzynowej!

Zaśmiała się, ale z jej spojrzenia biła powaga.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Nie przepadam za kremem – skrzywił się.

– Za to ja wprost przeciwnie!

– Zauważyłem! Poza tym masz u mnie minusa! Powiedziałaś, że kapelusze są ci potrzebne do przedstawienia! – zachnął się.

– I nie kłamałam! – wycedziła. – Najlepsze przedstawienie, w jakim brałam udział! Widziałeś kiedyś tak wstrząśniętą widownię?

Kordecki przypomniał sobie minę Zosi i nie potrafił powstrzymać śmiechu.

– Ech! – Zojka odłożyła talerzyk na schody i otarła usta wierzchem dłoni. – Cieszę się, że utarłam jej nosa! Następnym razem dwa razy pomyśli, zanim sprawi przykrość babuni! I wcale mi nie żal, że cała rodzina patrzy na mnie bykiem. Rosołu mi nie żal. Tylko...

– Co tylko?

– Tańców trochę mi żal. Dwa tygodnie chodziłam po mieście, zanim natrafiłam na wygodne szpilki! – zademonstrowała zgrabne pantofelki. Kordecki parsknął śmiechem.

– Wiesz, akurat na to znajdzie się rada.

– Serio?

– Jasne! Skoro dokarmiam cię po kryjomu, równie dobrze mogę z tobą zatańczyć...

– Też po kryjomu? – zmarszczyła brwi.

– Niekoniecznie.

– I nie boisz się, że oberwiesz panierowanym udkiem, którym ciśnie we mnie Zosia?

– Nic a nic! Więcej: obronię cię własną piersią przed każdą

porcją drobiu, jaka poszybuje w twoim kierunku!

– Zabrzmiało poważnie!

– Bo poważny ze mnie człowiek. To co: idziemy?

– Idziemy!

Kordecki wstał, podał rękę Zojce, a potem wsunął sobie jej dłoń pod ramię i poprowadził ją ku sali weselnej. Orkiestra grała jakiś szybki kawałek, więc natychmiast porwał ich tłum bawiących się weselników. Sukienka Zojki wirowała w powietrzu, włosy rozwiewały się na wszystkie strony, a policzki w pewnym momencie pokrył rumieniec. Dziennikarz uśmiechnął się i wyciągnął ramię, by nią obrócić, i nagle poczuł, jak dziewczyna traci równowagę i łąduje w jego ramionach. Zaskoczeni spojrzeli sobie w oczy, a potem jak na komendę spuścili wzrok na złamany obcas.

– A takie miały być wygodne... – wymamrotał Kordecki. Zojka kiwnęła głową, schyliła się i bez ceregieli zdjęła buty. Kiedy się wyprostowała, jej usta znalazły się tuż obok ust redaktora. Kordecki pomyślał, jak to cholernie dobrze, że nic jej się nie stało na plebanii. Gdyby nie spróchniałe deski, dziś nie założyłaby czerwonej sukienki, a on nie mógłby jej powiedzieć, że...

No właśnie, co ja miałem jej powiedzieć? – zastanawiał się Kordecki.

Oczy Zojki zmrużyły się filuternie. Kąciki ust uniosły się w uśmiechu. Powoli uniosła się na palcach i ich wargi się złączyły. Kordecki przypomniał sobie, co zamierzał jej powiedzieć. Tyle że musiało to poczekać, bo z oczywistych względów teraz nie chciał tego robić. Albo po prostu już nie musiał?

Nagle poczuł, że dziewczyna parska śmiechem.

– O co chodzi? – zapytał.

– Bo tak sobie myślę, jaka szkoda, że Burek pożarł Mieczysława. Tylko wyobraź sobie ten weselny rosółek ze świeżego drobiu...

Kordecki zmarszczył brwi.

– Ty się ciesz, że nie zeżarł pierścionka! Myślałem, że Chochołek oszaleje ze szczęścia, gdy znalazłaś go za psią miską!

– Tak, to mądre psisko! Nie żre byle czego... – przyznała Zojka z dziwnym błyskiem w oku. – Ta niedziela była zwariowana. Pierścionek Chochołka, młotek Patrycji i spektakularny lot Jedynaka zakończony złamaną nogą i zdewastowanym sufitem plebanii.

– Cóż, przynajmniej ksiądz Seweryn skorzysta. Co prawda skarbu nie znaleziono, ale Karolina odgraża się, że sprzeda ukochany salon Jedynaka i wszystkie pieniądze przekaze na dom samotnej matki i remont plebanii.

– Parafii się należy – sarknęła Zojka. – Choćby za te kielichy, do których wyniesienia przyznał się ten szubrawiec. Też mi skarb znalazł!

– Coś znalazł, ale my już się nie dowiemy, co... – westchnął Kordecki. Nagle popatrzył na Zojkę dziwnie.

– Ale...

– Co?

– Przecież Burek nie zeżarł Mieczysława! Poharatał go tylko trochę!

Zojka zachichotała.

– Co ty nie powiesz!

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ



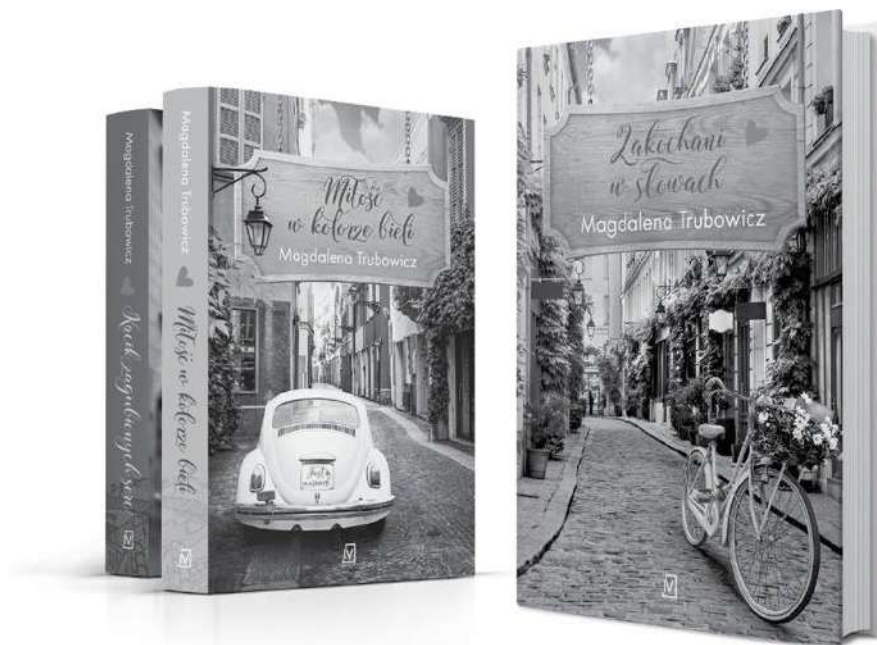
Te książki cię zaskoczą!



W życiu Joanny szykują się zmiany. Po latach spędzonych za granicą do Polski wraca Paweł. Czy teraz, gdy nie będzie ich dzieliła ogromna odległość, mężczyzna znajdzie sposób, by pokazać Asiu, że jest dla niego wyjątkowa?

Paweł spędza sporo czasu z podopiecznymi domu spokojnej starości, w którym pracuje Joanna. Przerabia ich ubrania na stylowe i niepowtarzalne. Kiedy w kolejce do przymiarki zaczynają się ustawiać nie tylko staruszki, ale też ich wnuczki, Paweł postanawia stworzyć linię ubrań „Warszawski element” i zorganizować pokaz. Lecz gdy na horyzoncie pojawiają się Maria i Genia, żywiołowe staruszki, które znowu wplątały się w kłopoty, a korytarzami ośrodka sunie gubiąca ubrania zjawą, nawet szarlotka – bez cynamonu, dokładnie tak, jak lubi Joanna – może nie wystarczyć do przywrócenia wszystkim równowagi.

Przekonaj się, że ze świetnymi babkami nie będziesz się nudzić!



A co jeśli miłość czeka tuż za rogiem?



Tomasz jest nieśmiałym bibliotekarzem i nie może oderwać myśli od Kornelii, która jest piękną, wyrafinowaną kobietą. Jest tylko jeden problem – to bardzo popularna aktorka, którą oczarowany jest każdy. Izabela – przyjaciółka Tomasza – wspiera go na każdym kroku i pomaga przeniknąć skomplikowaną kobiecą naturę.

Tymczasem biblioteka gości coraz bardziej osobliwych czytelników. Pewnego dnia odwiedza ją grupa mężczyzn, którym bardzo zależy na rozmowie z Tomaszem. Książki polecane przez bibliotekarza potrafią bowiem odmieniać życie łózkowe...

Kogo oczarują słowa pełne uczuć?

• SPIS TREŚCI •

- ROZDZIAŁ PIERWSZY •
- ROZDZIAŁ DRUGI •
- ROZDZIAŁ TRZECI •
- ROZDZIAŁ CZWARTY •
- ROZDZIAŁ PIĄTY •
- ROZDZIAŁ SZÓSTY •
- ROZDZIAŁ SIÓDMY •
- ROZDZIAŁ ÓSMY •
- ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY •
- ROZDZIAŁ DZIESIĄTY •
- ROZDZIAŁ JEDENASTY •
- ROZDZIAŁ DWUNASTY •
- ROZDZIAŁ TRZYNASTY •
- ROZDZIAŁ CZTERNASTY •
- ROZDZIAŁ PIĘTNASTY •
- ROZDZIAŁ SZESNASTY •
- ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY •

• ROZDZIAŁ OSIEMNASTY •

Polecamy również